

Wrażenia z podróży.

162159

mi obywateli

DR. W. MIKLASZEWSKI.

Wrażenia z podróży

PO WYBRZEŻU PÓŁNOCNEM
AFRYKI.



WARSZAWA
DRUK PIOTRA LASKAUERA I S-KI
ul. Ś-to Krzyzka Nr. 11.

—
1902.

UNIVERSALION

MEMORIAL

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Іюня 1902 года.

162/59

II



.5061

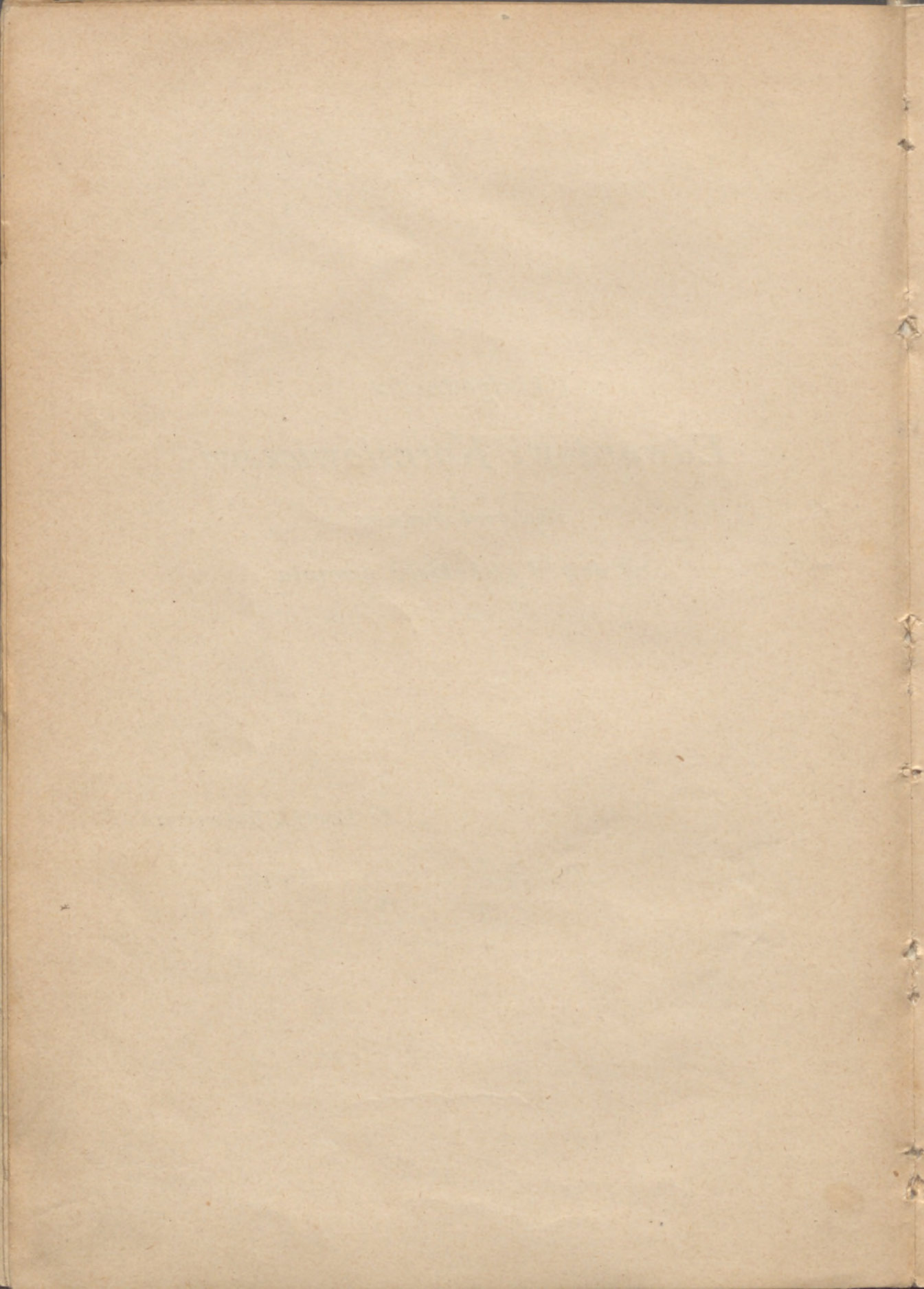
Czcigodnemu
Edwardowi Korziłowiczowi

Doktorowi Medycyny

w dowód głębokiego uznania

te kartki poświęca

Autor.



WSTEP.

Podnoszono kotwicę. Wynurzała się ona powoli ze szmaragdowych toni i zawisła poważnie na przodzie okrętu, błyszcząc w promieniach południowych słońca. Zwolniono liny, które trzymały nasz parowiec na uwięzi; zawarczała śruba, podnosząc fale na wodach zacisznych, i okręt skierował się z wolna do wyjścia z portu, który tworzą dwa łuki kamienne, oddzielające kawałek zatoki spokojnej od burzliwego morza.

Żegnałem oczyma Palermo, które wychylało się z poza skał nadbrzeżnych. Jedna z nich, góra Pellegrino, wystąpiwszy na przód, kazała podziwiać swój wzrost wiorstowy, swe plecy czerwonawe, jak gdyby wypłowieła od palących promieni słońca, swą głowę, posypaną siwizną śniegu, który nie czuł dwudziesto-stopniowego ciepła, pieszczącego ziemię.

Dziwną jest siła wasza, góry: śnieg nie traci na was swej białości nieskażonej, która gńie na naszym padole, nie czuć jego chłodu przejmującego, jak gdyby był nie kryształem wody, lecz srebrem, solą... Wyście, jak duch ludzki: im wyższy nad poziomy, tem czystszy...

Żegnałem oczyma Palermo. Z wybrzeża powiewano chusteczkami. W tłumie chusteczek ani jedna nie powiewała dla mnie; byłem jak odludek pośród ludzi...

Wodzę oczyma po wybrzeżu, po mieście, czy nie ujrzę kogo, kto i mnie przesłałby pozdrowienie?

Oto z ogrodu towarzyszek wysunęła się na przód palma daktylowa smukła, wysoka, w koronie pierzastych liści. To moja znajoma!

Wczoraj jeszcze siedziałem u jej stóp, uwielbiając postać wyniosłą królowej drzew; ona zaś podejmowała mnie gościnnie cieniem swych skrzydeł, które fontanną wytryskały z jej korony. Tak mi dobrze było przy niej!! Więć żegnałem ją dziś tęsknemi oczyma.

Lecz dumna królowa nie patrzyła na mnie; jej ramiona rozwarte nie przesłały mi ani jednego pozdrowienia. Zdała się mówić: nie znam cię, przybyszu!

Jechałem sam. Moich towarzyszków żegnały chusteczki z brzegu.

Wyłynęliśmy za pierścień kamienny portu. Morze przyjęło nas falami. Jak stado owiec, wypuszczone z owczarni na pastwisko, biegły fale ochoczo, deptając szmaragdowe przestrzenie i połyskując swem runem białem. Wszystkie dążyły na nasze spotkanie: jedne uderzały o mur portowy, rozbijając się na drobny pył śnieżno biały, inne przerzucały się przez bramę portową do wód zacisznych zatoki, niektóre przeskakiwały przez pierścień kamienny portu, inne uderzały w pierś naszego okrętu, który chwiał się pod ich naciskiem. Po chwili zaczęło się silne kołysanie naszego parowca: to przód jego wynurzał się z toni, to śruba warczała głosem przerywanym, wydostawszy się z wody, to kadłub okrętu nachylał się tak silnie w bok, że trudno było ustać na nogach. Powietrze przepełniał drobny pył wodny i przeszywał ciągły jęk fal, i przerywane warczenie śruby. Z wysokości sklepień błękitnych przysłądowało się okrętowi słońce promienne, a skały wybrzeży Sycylii podziwiałały w niemem milczeniu jego odwagę.

Minęliśmy parę wysepek. Dzikie, nagie skały sterczały nad wzburzonymi falami, prując je piersią kamienną; potęga morza młodzieńczo namiętne go walczyła z potęgą ziemi sędziwo-poważnej.

Srtaciłem z oczu Palermo. Długa, ciemna smuga dymów w powietrzu, ginąca gdzieś na widnokręgu, znaczyła drogę, którą przebył nasz okręt. Czy również wyraźną, niezmienną drogę widzisz, okręcie, przed sobą, myślałem, patrząc, jak boryka się z morzem? I kiedym pytałem, zabłysła mi kotwica w promieniach słońca, chyłącego się ku zachodowi: okręt miał na przodzie godło nadziei, ufności w swe siły... Więć nie dziwiłem się, że nie uląkł się fali wspanionej, huku złowieszczonego toni.

Szczęśliwy!

Niebo odziało się purpurą, a morze lśniło się srebrną białością fal; potem purpura spłowiła, białość stopniała, jak śnieg, i tarcza słońca pograżyła się w toniach. Na odległych brzegach zamigotały mieniące się światła latarni morskich. Na niebie zaświeciły gwiazdy.

Zbliżaliśmy się do Trapani, by spocząć kilka godzin w porcie. Ulica wybrzeża świeciła się długim szeregiem latarni gazowych. Miasto było ciemne; tylko gdzieś z pomiędzy murów błyszczało światełko, jak robaczek świętojański. Na sklepieniu niebios rysowały się kształty dwóch o wyglądzie średniowiecznym kopuł, któremi szczyty się miasto.

Po upalnym dniu, przyszła chłodna, przejmująca noc styczniowa, jak gdyby przywędrowała z północy w ten kraj ciągłej wiosny. Wzeszedł księżyc i rozlał swe zimne blaski po widnokręgu. Zdawało się wtedy, że oko sięga gdzieś w nieskończoność, która chowa się w zwojach mgieł i półcieni. Z pośród nich wyłaniają się jakieś białe lśniące masy, poprzerywane ciemnymi pasmami, o konturach niepewnych, zlewających się z tłem nieba. To góry, przysypane śniegiem.

Koło północy zęgnąłem się z brzegami Sycylii, z krańcami Europy. Jechaliśmy na tamtą stronę morza Śródziemnego, ku wybrzeżom Afryki. Znów zaczęło się kołysanie okrętu pod uderzeniem fal, znów czuł podróżny swą małość wobec potężnego żywiołu.

Chodziłem po pokładzie, podziwiając ogrom tajemniczości przestworzy. Białe szczyty gór tonęły w blasku, który wypełniał widnokrąg. Ich zarysy zacierały się stopniowo i pograżyły się wreszcie w morzu blasków tak, że nie widziałem już, czy góry, czy też obłoki patrzą na mnie z północy.

Byliśmy na pełnem morzu, które, jak okiem sięgnąć, pokryło się białą pianą i jęczało nutą grobową nurtów, choć powietrze było spokojne, a niebo marzące w ciszy blasków księżycowych. Więc uleciałem wspomnieniem do płaszczyzn nadwiślańskich, bielejących teraz śniegiem styczniowym i tak cichych w noc księżycową, jak gdyby oniemiały z zachwytu. Jakże dawno już ich nie widziałem!!

Taka tęsknota ogarnęła mnie za niemi, jak gdybym nie miał nigdy uż ich oglądać... Po co jadę do tej Afryki? Czy nie lepiej byłoby mi teraz w noc księżycową słyszeć chrzęst śniegu pod stopą, mknąć w sankach przez zagony ojczyste?.. I w takt jęku morza popłynęła dziwnie tęskna pieśń. Skąd wzięła się? Wszak sam jeden chodzę po pokładzie, wszak na całym okręcie niema człowieka, który rozumiałby mowę moją, myśli moje, czucia moje... Ach! to ja sam nuciłem preludjum naszego mistrza:

„Czemu sercu smutno...“

Silne kołysanie okrętu przerwało moje marzenia. Trzeba były zamknąć się w swojej kajucie, słuchać plusku fal, skaczących do okien, leżeć bezsilnie na łożu okrętowym, patrzeć na walizkę, jak tacza się po podłodze, na zasłonę nad łóżkiem, jak wykonywa ruchy wahadłowe, odczuwać brak powietrza i straszny bezwład, który ręką ołowianą uciśka ciało i ducha, liczyć chwile, kiedy ujrzy się wreszcie ląd stały, gdzie będzie cisza i spokój.

Długo wzywałem snu, by skrócił litościwie przykre chwile wy-czekiwania.

I.

Zbudził mnie spokój, jaki zapanował na okręcie: słychać było tylko warczenie jednostajne śruby i cichy plusk wody, a wycie morza, trzeszczenie parowca i łoskot zamilkły zupełnie. Przez okienka kajuty przedzierały się tęczą promienie wschodzącego słońca. Drobne drżenie okrętu świadczyło, że płyniemy jeszcze, pewno wjeżdżamy do portu.

Po przygodach nocy podniosłem się z łoża z prawdziwym wysiłkiem; w głowie kołowało mi, w uszach szumiało. Chwiejnym krokiem wszedłem na pokład. Płynęliśmy przez kanał, ciągnący się kilkunastowiorstwą wstęgą, ujętą w ciemne linje brzegów przez spokojne wody nieruchomego jeziora. W dali huczało morze. Przed nami rysowały się góry Tunisu niskim pasmem z kilkoma wyniosłymi wierzchołkami. W dolinie bielała wielka masa, zachodząca aż na góry: to długie szeregi domków arabskich.

Okręt przybił do wielkiego pomostu drewnianego, na którym roziło się od mrowiska ludzi w jaskrawych ubiorach. Zaledwo spuszczone schodki z okrętu, by go połączyć z pomostem, skoczyła na pokład garść tej cizby, polecając swe usługi nielicznym podróżnym. Dwaj ogorzali arabi w połatanych burnusach, krótkich spodniach, odsłaniających spalone łydki i bosc stopy, w zawojach białych na głowie, walczyli o moją walizkę. Zeszliśmy na pomost, gdzie urzędnicy celni zajęli się przetrząsaniem rzeczy z taką gorliwością, jak gdyby zawartość mej walizki miała zgubić cały Tunis. Wreszcie arab usadowił mnie w dorożce, wyłudził franka za obsługę i wskoczywszy na kozioł, towarzyszył mi do hotelu, by i tam dostać daninę za sprowadzenie gościa.

Jechaliśmy przez europejską dzielnicę, na której znać było wyraźnie brak tradycji: szablonowe domy dochodowe, nie pociągają oka ani budową, ani krasą zewnętrzną, na ich obliczu wyryte są wyra-

źnie cele praktyczne mieszkańców, brak wymagań estetycznych, zwyczajnie jak u świeżych przybyszów, którzy nie zdołali jeszcze nasycić pierwszego głodu kosztem ludności tubylczej.

Na ulicach panował duży ruch pieszy; główny udział brali w nim arabi: jedni z nich o twarzach białych w różnobarwnych, jaskrawych strojach haftowanych, upiękuszonych świecidełkami, w burnusach, zarzuconych fantazyjnie na ramiona, lub w togach białych, spadających sutemi fałdami od ramion do stóp, obuci w pantofle na wysokich obcasach, nad którymi zwieszają się pięty w białych pończochach, szli wolno, poważnie; — to ludność zamożna, zajmująca się przeważnie handlem, przemysłem i rzemiosłami. Inni opaleni, często czarni, jak węgiel, na wpół odziani w białe koszule z grubego płótna, przepasani sznurkiem lub chustą, bosci, czasem w zarzutkach białych w rodzaju płaszczy, posuwali się szybko, gorączkowo — to ludność wyrobnicza, która pamięta, jeszcze dobrze niewolnictwo, zniesione formalnie w ostatnim lat dziesiątku. Ruch kołowy panował niewielki: czasem przesuwała się kareta z bogatym arabem lub z zasłoniętymi szybami, z poza których wyglądały zakwefione twarze. Za to często spotykaliśmy jeźdźców na osłach. Kilka wielbłądów objuczonych przesunęło się powoli; kołysały się one, jak okręty na morzu. Na ich widok wspomniałem jazdę pełną przygód i cieszyłem się, że jestem już na lądzie stałym.

Dotarliśmy wreszcie do hotelu. Arab zeskoczył z kozła i poniósł coprędzej moje rzeczy. Nie zdażyłem rozmówić się z gospodarzem o pokój, a już byłem otoczony przez rozmaitych kupców i pośredników, którzy polecali swoje towary i usługi. Umieściwszy się w zajezdzie, rozpatrzyłem plan miasta. Trudno było rzeczywiście zorientować się na nim; jedynie dzielnica europejska, ciągnąca się do wybrzeża, ma ulice dość proste i długie; dzielnica zaś arabska i żydowska przedstawiają prawdziwy labirynt wązkich, krętych, jak arabeski uliczek i przesmyków, których nazw nie umiałbym spamiętać.

Wyruszyłem z przewodnikiem na oględziny miasta. Rychło przedostaliśmy się do dzielnicy arabskiej, przeszedłszy przez „bramę Francji“ o wyglądzie średniowiecznym. Na niewielki placyk za bramą otwiera się kilka uliczek. Skierowaliśmy w najszerszą z nich. Nizkie.

przeważnie piętrowe domki, ciągnące się dwoma szeregami białych ścian z nielicznymi otworami w postaci ozdobnych drzwi wchodowych i okien hiszpańskich z gęstą kratą. Słońcu trudno przejść przez te otwory, zawieszane kotarami, a cóż dopiero oku nieproszonego przybysza, który nie ma do tych domów żadnego dostępu. Bo w tych murach jest siedlisko życia rodzinnego araba, tam mieszkają jego żony i dzieci, tam przechowują się zwyczaje, uświęcone przez wieki, i wypełniają się obrzędy i obowiązki, nakazane przez wielkiego Mahometa. Cóż więc dziwnego, że arab zamyka szczelnie wszelkie wejścia dla oczu ciekawego cudzoziemca, który niezdolny jest zrozumieć obcej mu postaci życia i zawsze gotów wydawać o niej sądy w poczuciu swej wyższości rasowo-społecznej.

Ulica, wyłożona płytami kamiennymi ze ściekiem po środku, wije się tak dalece, że o parę kroków nie widać nic, prócz białych ścian, zagradzających drogę; tylko w górze może spocząć oko na błękitcie nieba. Jednak i ta perspektywa ginie wkrótce w ulicach sklepionych, które ciągną się w postaci długich kurytarzy nawpół ciemnych, oświetlonych przez rzadkie okna w sklepieniach.

Na ulicach był ruch niewielki: prócz arabów, jakich widziałem w europejskiej dzielnicy, spostrzegłem tu kilku półnagich negrów kupujących, lub roznoszących towary i szereg kobiet z twarzami przysłoniętymi przepaską, w której niewielka szczelina odsłania czarne oczy.

— Co to za kobiety? — pytałem przewodnika — przypatrując się z zajęciem postaciom w bieli w chustach długich na głowie, w hajdawarach baniastych nawpół sztywnych, ściągniętych powyżej kostek w małych pantofelkach na wysokich obcasach ze zwieszającymi się piętami.

Przewodnik wskazał mi różne stany kobiet: więc widziałem matronę z twarzą całkiem przykrytą w bogatym haftowanym stroju, jak szła drobnym krokiem, zaledwo suwając nogami, wyciągnawszy na podobieństwo ociemniałej naprzód ręce, ukryte pod bogatą chustą — szła w towarzystwie sługi — niewolnicy w skromnym białym ubiorze; widziałem zubożałą wdowę, donaszającą resztki wystrzępionych szat jedwabnych; widziałem żony i matki biednych wyrobników, ubranych w długie okrycia płócienne, odziewające całe ciało — i liczną klasę kobiet

wolnych, które nie mogły czy nie chciały skończyć swej kariery życiowej w haremach i przeniosły swobodę i niezależność nad prawa wielkiego proroka. I one miały twarz przysłoniętą i szaty podobne do reszty kobiet, lecz drobna różnica stroju pozwalała z łatwością poznać do jakiego stanu należą. Zdziwiony byłem, że spotyka się między nimi masę starych, zgrzybiałych niewiast.

Szliśmy przez ulice sklepione. Po obu stronach ciągną się długim szeregiem sklepiki z rozmaitemi towarami. Przed wejściem stoją stoły i na nich leży cały zasób do sprzedania, małe zaś wewnątrz sklepu jest prawie puste. Kupiec siedzi za stołem lub na progu, założywszy nogę na nogę i wsparłszy się na łokciu, zda się dumać czy też drzemać. W paru sklepach toczy się ożywiona rozmowa, uwydatniona przez gesty wyraziste. Największy ruch panuje w kawiarniach arabskich, które można poznać już o kilka kroków po silnym zapachu kawy. Goście siedzą tam na tapczanach z podwiniętymi pod siebie nogami w niemem zamyśleniu, lub oddają się grze w karty, otoczeni przez całe grupy widzów. Przypatrywałem się, z jakim zajęciem grało towarzystwo kawiarni w ciemnym jej wnętrzu: ani gospodarz, ani nikt z obecnych nie zwrócili na mnie oczu, chociaż zasłaniałem drzwi, jedyny otwór, przez który wpadało trochę światła do sklepu. Tak dalece byli pochłonięci grą.

Szliśmy dalej. W jednym z zakątków rynku zaleciał mnie odurzający zapach róż, fijołków i innych kwiatów.

— To dzielnica handlu olejkami — tłumaczył mój przewodnik. — Dalej zapachniały skóry, bo weszliśmy w dzielnicę garbarzy i szewców. Potem widzieliśmy warsztaty siodłań, tkanin, turbanów, fezów, przy których pracowało po kiku robotników w ciemności i ciszy; jak maszyny wykonywali oni jednostajne ruchy w takim niemem zamyśleniu, że nie zwracali uwagi na nic, co się działo wkoło.

Weszliśmy do jednego z wielkich sklepów z tkaninami. Przewodnik mój oświadczył, że jestem cudzoziemcem i że chciałem zobaczyć wyroby tuniskie. Gospodarz przywitał nas bardzo serdecznie i usadowiwszy w jednej izbie sklepowej, zaczął znosić rozmaite wyroby. Napróżno tłumaczyłem mu, że nie mam zamiaru kupić czegokolwiek; znosił śliczne serwety haftowane, kołdry, dywany, chustki i t. p., rozwo-

dząc się nad ich wielkimi zaletami i niską ceną. Wreszcie kazał podać nam po filiżance pysznej kawy arabskiej „przez gościnność“.

— Przyjęcia kawy nie wolno odmawiać — zrobił mi uwagę przewodnik — a towarów można nie kupować, byle chwalić.

Wstyd mi było, że przyjął znakomitą kawę i że nie kupiłem nic; lecz myśl, że trzebaby wieźć te towary przez dziesięć komor, płacić za nie dziesięć razy cło, odebrała mi ochotę do wydania nawet kilku franków.

Jednak gospodarz nie tracił nadziei, że nie omieszka kupić czegokolwiek, nawet w chwili, gdy opuszczał sklep, przeprasząc go za kłopot sprawiony i dziękując za gościnność.

Przewodnik pocieszał mnie, że jest zupełnie przyjęte tylko zwiedzanie sklepów, nie kupując nic; gdy jednak czyniłem mu wyrzuty, że mnie naraził na nieprzyjemne położenie, rozbroił mnie zupełnie powiedzeniem, że kupcy proponowali „przez gościnność“ podwójne ceny na wszystkie towary. Jeden zwiedzacz, który da się złapać na tę „gościnność“, płaci za dziesięciu innych, którzy doznali przyjęcia. Arabowi, uczył mój przewodnik, należy dawać czwartą część żądanej ceny, a kupuje się za połowę, lub trzecią część. Dla przekonania się o tem wstąpiliśmy do innego sklepu. Zażądałem chustki na szyję i omal nie byłem zmuszony kupić ją, bo arab po krótkim targu godził się już na trzecią część pierwotnej ceny. I tu starano się olśnić mię pięknymi wyrobami, roztaczano pyszne dywany wschodnie w cenie paru tysięcy franków i materye jedwabne różnobarwne.

— Pewno panie z Europy, myślałem, zaszedłszy do takiego sklepu, muszą doznawać wzruszeń wstrząsających i nie jedna wysupła ostatni grosz, by nasycić żądzę posiadania wyrobów wschodnich.

Wydobyliśmy się z dzielnicy handlowej. Znowu zaczęły się szeregi białych domków piętrowych, znowu uliczki zaczęły więc się, krzyżować i przecinać.

Weszliśmy do budynku parterowego, gdzie panował ruch ożywiony. Przez ciemną sień przedostaliśmy się na podwórko, otoczone dookoła krużgankiem.

— Tu prowadzą się sprawy rozwodowe — objaśnił mnie mój towarzysz. Arabi mahometanie dzielą się na cztery sekty: maleki i ha-

szefi są najliczniejsze, a hambeli i szafai są odstępcami nielicznymi. Każda sekta ma przedstawiciela starszego kapłana, który daje tu rozwody. W razach wątpliwych czterej kapłani naradzają się wspólnie.

Przez podwórko szedł w białych długich szatach stary arab, poprzedzany przez młodego. Na ich spotkanie wyszedł trzeci arab i witał starca, całując go w ramiona.

— To kapłan—mówił mój przewodnik.

Goniłem za nim oczyma. Wszedł do przedsionka i, zrzuciwszy burnus, siadł w celce na tapczanie, pokrytym miękkim dywanem. Po chwili dwóch dozorców wiodło doń młodego araba, który zrzucił pantofle w przedsionku i, złożwszy głęboki ukłon kapłanowi, wręczył zwitek papieru z prośbą o rozwód. Duchowny zabrał się w milczeniu do przeglądania papieru, uczestnicy wpatrywali się w niego z niecierpliwością. Po chwili zaczęła się rozmowa po arabsku; nie rozumiałem jej ani słowa. Po kwadransie sprawa była skończona; małżonek zapłacił należną takse, zwrócił żonie jej odzienie i miał prawo wypędzić ją z domu.

— A cóż ona na to?—pytałem mego przewodnika.

— Musi opuścić dom męża — odrzekł — bo mąż ma nad nią zupełne prawo. Znudziła się mu, czy zdradziła go, czy nie opłaca się jej utrzymanie — to wszystko jedno, zawsze może zmusić ją głodem, uciemiężeniem, zaniedbaniem, nawet okrucieństwem do zgody na rozwód, chociażby nie miała gdzie się podziać.

— I nikt nie ujmie się za pokrzywdzoną? — oburzałem się.

— Któż może się ująć? Ojciec dostał za nią kilkaset franków, gdy sprzedawał ją za mąż — i rola jego skończyła się na tem, bo dziewczyna opłacała się. A po za rodziną kogóż więcej może obchodzić kobieta, którą trudno już sprzedać?

— A jakież jest dalszy los takiej opuszczonej żony?

— Jedne wracają do domów rodzicielskich i tam pracują na równi z innymi kobietami, niektóre wychodzą ponownie za mąż, inne wreszcie stają się kobietami wolnymi i zarabiają na chleb wedle możliwości i umiejętności.

— A dzieci przy kim zostają? — pytałem dalej.

— Dzieci — odparł mój przewodnik — są zawsze własnością męża. Jeżeli są to dziewczyny, to ma on nadzieję, że się opłaca z biegiem czasu.

— A czy zdarza się, że kobieta żąda rozwodu wbrew życzeniu męża?

— O! zdarzają się i takie wypadki — odrzekł mój towarzysz — choć rzadko. Wtedy duchowni wysyłają pośredniczki w rodzaju adwokatów do takiej kobiety na zbadanie sprawy; potem sprowadza się męża i zmusza do rozwodu, o ile są ku temu słuszne dane.

— A jak można zmusić męża? — pytałem.

— Jeśli nie chce puścić żony, zostaje skazany na zamknięcie w kozie, dopóki głód nie zmusi go do zgody — tłumaczył przewodnik — i, prowadząc w koniec ciemnego kurytarza, wskazał mi celę, w której siedział za kratą właśnie jeden taki mąż uciemniony. Wtulił głowę w kolana i nie widział nic, co się działo wkoło. Mój towarzysz zaczął mówić doń. Więzień wznosił leniwie głowę w naszą stronę; w twarzy miał boleść wielką, straszny smutek, wodził błędnymi oczyma dokoła.

— Głodny jesteś? — zartował przewodnik — albo jedzenie, albo żona! — wszystkiego nie można zagarnąć.

— Chcą mi ją zabrać — płakał więzień i zapadł znowu w milczenie.

Patrzyłem nań jeszcze chwilę. Nie podniósł już głowy i siedział nieruchomy, zziębły, zgłodniały, nieczuły na wszystkie braki, bo pochłonięty jedną straszną myślą: zabiorą mi ją.

Czy to „zabiorą mi ją“ miało znaczyć: bez niej żyć nie mogę, wolę śmierć głodową; czy też: nie stać mnie na to, bym kupił sobie inną żonę, przepadły moje pieniądze na nią wydane?.. Cokolwiek myślał ten więzień, zawsze widać było, że cierpi bardzo. Jeśli nie był uspołeczniony o tyle, by kochać swą żonę tylko dlatego, że była jego żoną, jeśli widział w niej najkosztowniejszy przedmiot w swym domu, to godzien podwójnego współczucia, bo cierpiał za swój naród, za jego kulturę.

„Zabiorą mi ją“, jęczał mi w uszach grobowy jęk mężki, a twarz zboliała i oczy załzawione wtórowały temu jękowi... I nagle przyszło mi na myśl: a jak wygląda kobieta w chwili, gdy jej powiedzą: wygnana



jesteś z domu męża i pana twego. Czy cierpi i rozpacza, czy godzi się niema z przeznaczeniem? A jeśli cierpi, to czy dlatego, że drogim był jej mąż, ojciec jej dzieci, które kochała miłością żywiołową, czy też dlatego, że sama teraz musi zdobywać dla siebie dach nad głowę i czarny chleb dnia? W wieku rozkwitu włożono jej na twarz zasłonę, z poza której świat wydawał się jej szarym, martwym. Potem sprzedano ją, jak zwierzę—i stała się niewolnicą swego męża, zdana na jego łaskę i niełaskę. Z poza ścian bezokiennych haremu nie mogła dojrzeć życia; wśród towarzyszek niedoli, pędząc dni jednostajne przy hafcie i szyciu, współzawodnicząc z niemi o względy męża, nie zdawała sobie nawet sprawy, że jest człowiekiem, że człowiek może pragnąć, dążyć, działać, zdobywać, że może istnieć jakie inne życie, którego szczęście mierzy się pracą, czynem... I takiej istocie powiedzieć mogą jej władcy: wygnaną jesteś z domu pana twego!..

Jak liczne muszą być rozwody, jeśli codzień przed południem w każdej z czterech cel udzielają ich kapłani po parę. Wiele to kobiet, wyrzuconych na bruk, musi wstępować w życie bez jego znajomości, bez praw, bez środków, bez możności pracowania na chleb.

Straszne to i dziwne, że w tych masach niewolnic ujarzmionych nie zbudziła się jeszcze dążność do wyzwolenia!

Z celi kapłana wyszedł arab, otrzymawszy rozwód; wdział w przed-sionku pantofle i skierował się wesoły ku wyjściu. Rad był, że pozbył się żony uprzykrzonej, że na jej miejsce weźmie sobie inną, rad był, że jest mężczyzną, że ma prawa człowieka wolnego, lecz pewno nie przeszło mu przez myśl, że i jego żona, którą teraz wypędzi, jest także człowiekiem, bo zrosł się z myślą, że to niewolnica.

Na dziedzińcu wskazał mi przewodnik kilka kobiet w białych płaszczach. Siedziały na ziemi, wsparły brodę na kolanach.

— To adwokatki — mówił, — które są posyłane do haremów w roli pośredniczek w sprawach rozwodowych, by zbadać żony oskarżone lub skarżące. W razach wątpliwych sprowadzają one kobiety do sądu, by składały przysięgę w meczecie co do prawości zeznań. Za krzywoprzysięstwo i przekleństwo kobiety, są karane więzieniem z wyroku kapłanów.

Opuszczałem gmach sądu rozwodowego w zadumie. Więc kilkanaście wieków cywilizacji, myślałem, mądre zasady Koranu, styczność z kulturą innych narodów nie były w stanie stworzyć takich podwalin życia, na których kobieta zyskałaby prawa człowieka? Jej siostra w pobliskiej Europie jest istotą wolną, samodzielną, korzystającą z praw... I nagle stanęły mi przed oczyma szeregi pracownic igły, która nie może zapewnić im najskromniejszego bytu, szeregi zmizerowanych i zdenerwowanych nauczycielek, które jęczą pod brzemieniem przepracowania i braku, szeregi wyrobnic z miasta i wsi, które w dwudziestu kilku latach są już stare ciałem, a nigdy nie były młode duchem, szeregi „panien na wydaniu“, które poszukują na targach towarzyskich nabywców na swe osoby, szeregi nabytych kobiet, jak pędzą gnuśnie żywot bezcelowy w bezczynności, w ciągłym łaknieniu silnych wzruszeń, by zbudzić się choć na chwilę z odrętwienia, szeregi kobiet wykluczonych z towarzystwa, jak gorączkowo korzystają z chwili, która ma im wystarczyć za całe życie... więc gdy te szeregi europejskie przeciągały przed memi oczyma, pytałem siebie, czy kobieta arabska nie różni się od naszej tylko kwefem na twarzy? Bo przecież i tu i tam istnieje taka sama bierność kobiety, taki sam wyzysk przez mężczyznę, takie samo uciemiężenie, graniczące z niewolnictwem, takie samo uważanie kobiety za rzecz, towar na sprzedaż. Nigdy nie widziałem tak jasno, jak w tej chwili, jak daleko Europie, przewodniczce świata w dziele cywilizacji do prawdziwego uspołecznienia... I przestałem dziwić się Tunisowi i całemu mahometaństwu, że nie wystąpili pierwsi w świecie z inicjatywą uznania kobiety za człowieka.

* * *

Szliśmy znowu przez wązkie, kręte uliczki, mijając nielicznych przechodniów. Na niewielkim placu skręciliśmy do dużego budynku arabskiego. W szerokiej sieni siedziało kilkunastu turkosów, rozprawiając głośno. Na ścianach wisały strzelby o wyglądzie staroświeckim. Przewodnik poprowadził mnie na pierwsze piętro, gdzie w paru salach odbywają się posiedzenia sądu cywilnego. W jednej z tych sal zauważyłem w posadce kratę, przez którą dochodziły głosy z dołu.

— Co to jest? — spytałem przewodnika.

— To więzienie tymczasowe dla przestępców, którzy czekają tu na wyrok sądu — tłumaczył zapytany.

— Więc trzymają ich wszystkich razem? — wyraziłem zdziwienie — i w takiej ciemnicy, dokąd ledwo trochę światła przechodzi z sali sądu?

— A tak — mówił przewodnik — chwilowo siedzą tu, póki nie zostaną wypuszczeni na wolność, lub przeniesieni do wielkiego więzienia na parę tysięcy przestępców.

— A któż sędzi ich? — ciągnąłem dalej.

— Arabi mają swój własny sąd cywilny, karny i duchowny; naj-najwyższym ich sędzią i ostatnią instancją jest bej. Sąd skazuje na grzywnę, więzienie, wygnanie, nawet na śmierć.

— A jakież jest stosunek władz francuzkich do wymierzania sprawiedliwości? — badałem swego przewodnika.

— W te sprawy władze francuzkie nie wchodzą zupełnie; mamy sądy własne dla europejczyków, arabom zaś są pozostawione ich urządzenia państwowe, jakie zastano przed traktatem z roku 1881, którego mocą Francya zyskała tylko protektorat nad Tunisem. Bej jest po dawnemu władcą kraju; jedynie w sprawach administracyjnych jest zależnym od ministra francuzkiego.

Wyszliśmy z gmachu sądowego. Przewodnik prowadził mnie do pałacu beja. Zewnętrznością nie różni się pałac od większych budowli arabskich, chyba tem, że wygląda opuszczono. Przy wejściu spotkał nas arab w czerwonym fezie i prowadził do wnętrza. I tu czuć było, że pałac jest niezamieszkały, bo liczne sale świeciły pustką zupełną. Zastępują one na uwagę tylko dzięki fantazyjnym ścianom fajansowym, pięknym ornamentacyom i rzeźbom. W jednej z sal stoi przy stole podłużnym fotel złożony dla beja, a po bokach krzesła dla starszyny. Tu odbywają się narady i rozstrzygają sprawę raz na tydzień.

— Dlaczego tu wszędzie taka pustka? — pytałem moich przewodników.

— Bej nie mieszka w tym pałacu — odrzekli — od czasu zajęcia Tunisu przez francuzów, przeniósł się do swej rezydencyi Marsy

o 16 kilometrów ztąd. Raz na tydzień przyjeżdża koleją do miasta. Inaczej było tu dawniej, lecz bej posprzedawał wszystkie kosztowności, lub powywoził je do Marsy, by zabezpieczyć od zrabowania w czasach wojennych.

— Bej musi być już w wieku podeszłym? — dopytywałem się.

— Ma już 86 lat z górą — mówił przewodnik — jednak jest czynny dotąd. Po kilkogodzinnej pracy wypoczywa w swoim pokoju, który zaraz zobaczymy. To mówiąc, przewodnik poprowadził mnie do małego pokoiku, w którym nie zastałem nic, prócz twardego łóżka, zasłanego żółtem jedwabnem pokryciem staroświeckiem. Przy pięknych ścianach fajansowych, sufitach rzeźbionych, posadzkach mozaikowych wyglądała ta pustka na pałac bankruta, z którego wyniesiono wszystko wartościowe, co można było zabrać.

I w rzeczy samej bej zbankrutował, podpisawszy traktat 1881 roku; bo europejczycy nie po to wychodzą po za granice swej części świata, by dźwigać sztandar kultury: niosą go na przodzie, by zakrył porpce bojowe, narzędzia mordy i okrucieństwa i nienasycone łaknienie posiadania i władzy.

Przedostaliśmy się po wązkich schodach na płaski dach pałacu. Słońce paliło, jak z sierpniowego, a nie styczniowego nieba. Panowaliśmy nad całym miastem, nad jego białymi niskimi domami o dachach płaskich. W kilku miejscach strzelały do góry minarety; jeden z nich w postaci sześciąnu o bokach koronkowych i gzemsie w drobne zęby spoglądał majestatycznie po mieście; inny ośmioboczny wcisnął skromnie na głowę daszek w postaci czapki szpiczastej i przytulił się do sąsiednich budowli. Na nich złociły się półksiężyce. Liczne kopuły meczetów wychylały się zaledwo ponad dachy domostw i zlewały się z ich białą barwą. W oddali widzieliśmy jezioro spokojne, a na skraju widnokregu morze; kilkunastowiorstowa odległość nie pozwalała dosłyszeć jego wczorajszej wściekłości. Na zachodzie i południu wznosiły się nagie pagórki piaszczyste.

Dziwnie martwo wyglądał ten cały krajobraz: małe domki, wznoszące się zaledwo płaskimi dachami nad poziom ulic bezludnych przypomniały mi Pompeję, wydobytą z grobu; jezioro, zapatrzone zwiercia-

dłem swoich toni w sklepienia błękitne niebios pod bokiem szalejącego morza, zdało się pogrążonem w marzeniach snu; wzgórze nagie, nie widząc dokoła zieleni ożywczej, schyliły bezwładnie głowy i zatonęły w zadumie posepnej. Na cały ten obraz odrętwienia i braku życia zlewało nieprzyćmione na chwilę słońce obezwładniające promienie.

II.

Po południu było pusto w dzielnicy arabskiej, na ulicach żadnego ruchu, sklepy i rynek zamknięte. W tej porze arabi obiadują, potem drzemią i dopiero koło trzeciej powracają do pracy, której oddają się już do nocy.

Udaliśmy się do dzielnicy żydowskiej. Panował tu ruch gorączkowy w licznych sklepikach i straganach na wązkich, krętych uliczkach i zaułkach. Mężczyźni, ubrani przeważnie z europejska lub nawpół z arabska, gestykulowali żywo, mówili szybko z przejęciem; kobiety w strojach, podobnych do arabskich, lecz z twarzami odsłoniętymi, zameżne w wysokich czapkach stożkowatych, panny w chustkach barwnych zwracały uwagę swą urodą. Wszystkie śniade brunetki o czarnych, iskrzących się oczach, z wyrazem energii w twarzy, nie przypominały ani na chwilę dobrze znanych nam rysów o tak zwanym nosie orlim, wardze habsburskiej, uszach odstających; co dziwniejsza, zauważyłem, że białe szaty kobiet były rzeczywiście ani czarne, ani popielate, ani nie stanowiły wdzięcznej mozaiki barw z przewagą jednej. tak trudnej do bliższego określenia, że ją nazwano — wprost brudem. I na ulicy, i w sklepach było względnie czysto. Tak mało wspólnego z naszymi żydami przedstawiali mieszkańcy zwiedzanej dzielnicy, że chwilami gotów byłem przypuszczać, iż mój przewodnik wprowadza mnie w błąd.

Więc żydzi mogą być czyści i porządni, dziwiłem się, byle mieli dobry przykład. Tu mają go, bo arabów można naśladować w czystości. Może nasi żydzi rażą tak niechlujstwem, bo mają nieświete wzory przed oczyma.

Na dwieście tysięcy ludności Tunisu wypada na arabów sto tysięcy, na żydów czterdzieści, tyleż na włochów, dwanaście na francuzów, osiem na turków i inne narodowości. Dziwna rzecz, pytałem przewodnika, że, pomimo tak małej liczebności francuzów, można rozmówić się wszędzie ich językiem; Arabi uczą się widocznie chętnie po francuzku; muszą zatem panować tu przyjazne stosunki narodowościowe?

— Rzeczywiście — mówił przewodnik — język francuzki przyjęł się tu łatwo w stosunkowo krótkim czasie, bo nie spełna we dwadzieścia lat głównie dzięki zupełnej swobodzie wyznaniowej, językowej i narodowej. Ludność arabska ma swoją dzielnicę, w której nie wolno mieszkać cudzoziemcom, ma swoje prawa, urządzenia, władzę, zwierzchność, niezależną religię, swoje szkoły, swój przemysł, handel, nawet monetę i wojsko, bo 500 żołnierzy jest pod komendą beja. Do nauki języka francuzkiego nikt nie zmusza arabów; oni sami zapoznają się z nim, by móż prowadzić handel z Europą.

— Uderzyła mnie jedna cecha w arabach w stosunku do nas — zwierzałem się przewodnikowi; — nie wiem, jak ją nazwać, bo określenie: nieśmiałość i bojaźliwość jest nie trafna, a służalczość — zasilne. Zauważyłem mianowicie, że arab ustąpi mi zawsze z drogi, gdy spotkamy się, nadskakuje mi z wielką usłużnością, gdy wejść doń do sklepu, stara się odpowiedzieć coprędzej, gdy go o co zapytam, zawsze gotów jest do usług i grzeczności, jak gdyby miał sobie za zaszczyt, że styka się z europejczykiem. Zdaje mi się, że gdybym był arabem, to byłbym dumny z tego również, jak dziś, że jestem polakiem; i dlatego w tym stosunku do nas dopatruję się małego rozwoju poczucia godności narodowej i osobistej.

— To jest słuszne spostrzeżenie — odrzekł przewodnik — lecz tłumaczą je sobie inaczej; arab jest przede wszystkim kupcem, dla którego handel jest najpierwszem i najświętszem w życiu. W każdym europejczyku widzi człowieka, którego trzeba i można przyciągnąć i wyzyskać.

— Więc to taktyka kupiecka, a nie cecha arabska? — myślałem — wszystko to robi się „byle handel szedł“, jak mówi kramarz Syrokomli.

Po trzeciej weszliśmy znowu w dzielnicę arabską. Przez wąskie uliczki przedostaliśmy się na szeroki plac, okolony szałasami i domkami zaniechanymi. Panował tu wielki ruch. Arabi nawpół odziani, przeważnie mocno opaleni, krążyli około straganów z cebulą, owocami, chlebem, rybami i t. d. Przez plac ciągnęło kilku arabów z osłami objuczonymi. Gdym patrzył na te zwierzęta poniewierane i znieważane przez człowieka na całym obszarze ziemi, zacząwszy od cieśniny Dardanelskiej, a skończywszy na skałach w mem mieście rodzinnem, jak niosły na grzbiecie ciężary, ważące więcej od nich samych i na dokładkę araba, który siedząc na biodrach tylnych osła, wymachiwał nogami w takt jego chodu — chciałem napisać apologię tych zacnych stworzeń i nazwać je w obliczu całego świata wcieleniem wytrwałości, pracowitości i poświęcenia. Lecz przyszedł mi na myśl pewien domorosły filozof, który uprzedził mnie; powiedział bowiem o jednym urzędniku, gdy ten rozchorował się z przepracowania: „trzeba było być osłem, by tak pracować bez upamiętania;“ a dalej, tłómacząc swój wykrzyknik, dodał: „przecież człowiek ma na to rozum, by zwalić swe obowiązki na innych, tylko osieł ulega przemocy“.

Więc, gdy przypomniałem sobie to orzeczenie, zaniechałem apologii osłów w obawie, by wzięty filozof nie upomniał się o swoje prawa (rozumie się — nie osłe, lecz prawa pierwszeństwa pomysłu).

W drugim końcu placu zabrzmiał niski głos bębna. Podążyłem w tym kierunku, by przypatrzeć się tłumowi.

— Zobaczmy taniec z węzami — tłómaczył przewodnik. — Dziad zwołuje na przedstawienie, które zacznie się niedługo.

Korzystając z czasu, rozglądałem się po placu. Pod ścianą nędznego doniku zajmowało się kilku wędrownych cyrulików goleniem głów i bród; czynność tę dokonywali bardzo zręcznie, chociaż obchodzili się nawet bez mydła, poprzestając na maczaniu włosów wodą. Zpod brzytwy wychodziły głowy, jak kolana; tylko na czubku zostawiali sobie niektórzy strojnisię kępkę włosów w postaci ogonka. Cała

czynność zajmowała koło pięciu minut i kosztowała jednego su (trzy grosze). Szereg arabów czekał na swą kolej.

Prócz golenia, cyrulicy zajmują się i lecznictwem. Oto jeden z arabów uskarżał się na ból głowy. Golarz, jak gdyby był uczniem naszego „starszego flejcera“ z Koziej wólki, zarządził bańki cięte za uszami. Patrzyłem, jak wyjął z zakurzonej kobiałki dwa naczynka blaszane kształtu sitek od konewki, zrobił po kilka nacięć za uszami brzytwą, którą golił przed chwilą, zapalił po kawałku papieru w naczynkach i przystawił do rany. Była chwila, że chciałem wmieścić się w tę sprawę i wyłożyć golarzowi najgłówniejsze zasady [antyseptyki, przedstawić niebezpieczeństwo, na jakie naraża chorego, lub narobić gwałtu na cały plac. Lecz nieśmiałość wrodzona i obawa wtykania nosa w cudze drzwi, wzięła górę nad popędem szlachetnym. Prawda! przecież i w naszej kochanej Warszawie „starszy felecer“ puszcza krew scyzorykiem, którym obcinał przed chwilą paznócie i uspakaja mnie, gdy go oświecam, przekonywającemi słowy: „pan doktor nie potrzebuje sze bacz, i ja sobie nie boje“. Prawda, prawda! W najgorszym razie, gdy chory dostanie róży, powiada się mu: „czemu się zaziębiasz, przecież mówiłem, że po puszczeniu krwi nie należy zaziębiać się“ —no i rzecz skończona, czyli, jak mówi przysłowie: i wilk syty, i owca cała... zjedzona— dodaje złośliwy świadek.

Oho! myślałem, gotów jestem założyć się wbrew zwyczajowi, że ci golarze wędrowni ostrzegają swych chorych przed zaziębieniem, zawianiem i innymi czynnikami, bo przecież musi być jakaś przyczyna choroby — i pewien jestem wygranej, bo uderzające podobieństwo zabiegów leczniczych u nas i u arabów każe przypuszczać, że i zjawiska chorobowe muszą być tłómaczone jednakowo.

Gdym tak rozmyślał, golarz odjął jedną bańkę, wytrząsnął z niej skrzep, wygarnął resztę palcem i, porozumiawszy się z chorym, upuścił mu krwi tą samą metodą jeszcze za jednego su. Po chwili ukazał się ten sam rękoczyn i za drugim uchem. Chory siedział z zamkniętymi oczyma, a golarz gładził go po twarzy, karku, szyi i plecach w przekonaniu, że napędza w ten sposób krew do baniek. Potem odjął je, zakleił ranki i — odebrał swoją należność, zrobiwszy wszystko, co nakazywała mu

jego wiedza. Chory zaś rad z siebie, zdał się mówić do swej głowy: „niczego ci nie żałuję, choć narażasz mnie na takie wydatki; lecz jeśli nie przestaniesz boleć, to cię nauczę rozumu“.

Na placu rozbrzmiewał coraz głośniejszy bęben; lud gromadził się, by popatrzeć na taniec z węzami. I my podążyliśmy na to widowisko.

Trzech dziadów uderzało w instrumenty w rodzaju tamburyna, lecz bez blaszek i dzwonek. Odbywało się właśnie strojenie instrumentów, nad tlejącymi węglami. Po skończeniu tej czynności wstępnej trzech dziadów uderzyli razem w tamburyny, o różnych wysokościach stroju i zawyli dzikimi głosami.

— Afryka, Afryka! w całym słowa znaczeniu — myślałem — ogłuszony tym koncertem.

Z całego placu napływali widzowie i wkrótce nasze koło urosło poważnie. Pierwszy rząd widzów siedział na ziemi, następne tłoczyły się do środka, gdzie krzątał się główny mistrz przy urządzaniu widowiska. Był to mężczyzna około lat 60-ciu w podartym odzieniu, które odsłaniało suchą pierś spaloną, podobnie jak twarz, ręce i nogi. Znać, że przywdziewał on swe nędzne szaty tylko do stolicy. Twarz pomarszczona, oczy błyszczące, nos i wargi grube, oślizgłe, robiły nieprzyjemne wrażenie. Nasuwała się myśl, którą stronę tłumu pragnął wyyskać: ciekawość, czy miłosierdzie? Otaczał wielką tajemniczością siebie i swe worki skórzane, leżące na ziemi pod płachtą: zbliżał się do nich — i odskakiwał, unosił rąbek płachty do góry — i wydawał świst przesywający, tańczył na jednej nodze, chwycił tamburyno, uderzał w nie pięścią, lub lekko potrząsał palcami i spiewał, lub raczej wył dziko. Dwaj inni dziadów, siedzący na ziemi, walili co siłą pięścią w swe bębny i również nie szczędzili głosu do tak zwanego spiewu. Po chwili zawiązał się pomiędzy nimi dyalog, w którym oni dowodzili, że węże są straszne, że na ich widok truchleje wszystko, co żyje, a ukaszony ginie na miejscu; a on brawował, że nie boi się ich, że ma na nie czary, że je zwycięży.

Mistrz ceremonii wyjął z za pasa szpikulec, nakreślił nim cztery koła na piasku i w podskokach uniósł róg płachty. Po chwili przystąpił do rozwiązywania jednego worka i wyjmowania z niego węża z wiel-

kiemi ostrożnościami: wkładał rękę i wyciągał ją pospiesznie, znów próbował zapuścić i cofał się w przestachu. Po kilku takich ruchach, mistrz wyciągnął kłęb zwiniętego węża, poczem odskoczył, chciał uciekać, znów wracał i ciągnął i t. d. Ten sam motyw efektowy powtarzał się dziesiątki razy jednostajnie, jak motyw dźwiękowy tamburyna, a wreszcie dziad wydobył całego węża i umieścił go w narysowanem kole.

Parometrowy płaz, zwinięty w kłębek, leżał nieruchomie na piasku. Kuglarz pochwycił tamburyno i dawał znaki widzom, by rzucali w nie pieniądze, albowiem zacznie się teraz najważniejsza część przedstawienia. Posypały się miedziaki. Dziad zebrał je w kupkę, przykrył tamburynem i przystąpił do rozwiązywania reszty worków z podobnymi ostrożnościami. Wreszcie cztery węże zostały umieszczone w czterech kołach. Jeden z nich skorzystał ze swobody i zaczął pełznąć w kierunku widzów. Podniosła się wrzawa: arabi siedzący w pierwszych rzędach, zerwali się copędzej do ucieczki; rzędy następne nie pozostały w tyle. Mistrz dognał węża, chwycił go za ogon i jednym rzutem okręcił go sobie wkoło szyi. Płaz otworzył pysk, strzygł językiem, wysunął łeb w kierunku twarzy dziada i chwycił go rozwartymi szczękami za nos. Dziad rzucał się, jak opętany, wił się z bólu, trząsał głową, biegał w koło, wył przeraźliwie; a płaz zwieszał mu się jak pijawka od nosa do ziemi.

Tamburyny podniosły zgiełk ze zdwojoną siłą w zupełnym bezładzie.

Widzowie byli zachwyceni. Dzikie głosy wtórowały wyciu dziadów i zgiełkowi instrumentów.

Po paru minutach wąż odpadł od nosa i kilka kropli krwi stoczyło się z ranek. Widzowie wydawali oznaki zadowolenia, a bohater oświadczył, że nie dał pokonać się wężowi, i uchwyciwszy tamburyno, zaczął zbierać znowu miedziaki.

Powtórzyły się podobne popisy z innymi węzami z tą różnicą, że dziad brał głowę płaza do ust, pozwalał mu czepiać się języka, przewłóczył ogon węża przez nos i wyciągał przez usta, owijał sobie głowę i szyję węzami itd.

— Czy te płazy są jadowite? — pytałem przewodnika.

— Niektóre są nawet bardzo jadowite — mówił — widziałem sam raz pewnego, jak taki sztukmistrz padł trupem po ukaszeniu węża. Czasem ukąszony obcina zaraz na miejscu członek skaleczony, by nie pozwolić jadowi dostać się do krwi.

I tu wskazał mi dziada, siedzącego na ziemi, który podczas popisu z węzami obciął dwa palce, ratując się od śmierci.

— Dlaczegoż więc — dziwiłem się — nasz dziad nie skonał na miejscu? — Przecież w ciągu paru minut, jakie wąż trzymał się nosa, jad mógł przejść do krążenia.

— Są oni przyzwyczajeni do jadu węży — tłumaczył przewodnik — uodparniają się przez szczepienie. Prócz tego mają oni różne sposoby na zmniejszenie ich jadowitości.

— Jak często odbywają się takie przedstawienia? — pytałem dalej — i czy zawsze treść ich jest taka sama?

— Przed wielkimi świętami ściągają do miasta rozmaici kuglarze — mówił przewodnik — bo wtedy mogą liczyć najłatwiej na zarobek. Niektórzy wykonywują bardzo trudne sztuki, np: gryzą i łykają kawałki szkła, rozpalone żelazo, chodzą boso po szkle tłuczonym i t. d. Przed paroma miesiącami urządziła u nas pewna rossyanka wielką ucztę, na którą sprowadzono dziesięciu takich sztukmistrzów; kosztowało to kilkaset franków, lecz sztuki były istotnie zadziwiające.

I mój przewodnik zaczął opowiadać z zachwytem o tych kuglarzach, którzy wykonywali sztuki najbardziej sprzeczne z naturą ludzką; a ja dziwiłem się bardziej poziomu umysłu i serca ludzi, którzy mogą rozkoszować się takimi widowiskami, niż z niedorozwoju duchowego biedaków, którzy dla marnego grosza frymarczą nawet zdrowiem i życiem. Dla marnego grosza: bo i ten dziad na placu, i dwaj jego towarzysze byli prawdziwymi nędzarzami, spalonymi na węgiel przez słońce, nieodzianymi i nienakarmionymi przez los, bezdomnymi włóczęgami, którzy nie zaznali szczęścia rodzinnego i mieli zawsze do wyboru śmierć od ukąszenia węża, lub z głodu. Wielki wybór wobec rozkoszy, obiecanych przez Allacha!

Zabierałem się do odwrotu, gdy moją uwagę zwróciła postać kobieca, idąca w poprzek placu. Miała twarz odsłoniętą, oczy iskrzące,

policzki zapadłe, czoło pomarszczone, włosy rozpuszczone w nieładzie wydostawały się z pod płachty. Szła spiesznie, wspierając się na długim kij. Lud rozstępował się przed nią, wołając: „idzie święta“. Ona zaś zbliżała się do straganów i brała z nich wszystkie towary darmo.

— Kto to taki? — pytałem przewodnika.

— To waryatka — odrzekł; — arabi uważają ją za świętą i oddają jej cześć, jako istocie, opętanej przez potężnego ducha.

Gdym patrzył na tę obłąkaną, jak całe społeczeństwo otacza ją już nie opieką, lecz czcią świątobliwą, przyszli mi na myśl ci nieszczęśliwi chorzy, których widuję tak często na ulicach naszych miast ojczy-
stych w otoczeniu gawiedzi, znęcającej się nad biedakami. O ileż była szczęśliwszą ona w swem nawpółdzikiem społeczeństwie!

I rzecz dziwna, że ci sami ludzie, którzy rozkoszowali się niebezpieczeństwami, na jakie narażali się kuglarze, ludzie zdrowi, zdolni do pracy wytwórczej, byli — zdało się — gotowi do wszelkiej ofiary, by dogodzić wymaganiom istoty, która zamarła już duchowo.

— Święta, święta! — powtarzały głosy tysięcznego tłumu.

III.

Zbliżało się święto Ramadana. W mieście czuć było ruch gorączkowy. O zmroku minarety zaćmiewały światłem kagańce, sklepy blaskiem lamp.

— Dziwne święta — mówiłem do przewodnika — że targ odbywa się, jak dzień w powszedni.

— Nawet jest bardziej ożywiony — zauważył zagadnięty; — arabi nie przestają pracować nawet w dni uroczyste.

— Czem więc różni się święto od dnia powszedniego? — pytałem.

— Właściwie różnica jest bardzo nieznaczna — odpowiedział przewodnik, — nabożeństwo w meczecie, lepsze jadło, najporządniejsze

szaty, przechadzka po ulicach miasta lub w okolicy, zwiedzanie sklepów, robienie zakupów i t. p. — oto główne urozmaicenia w dni świąteczne.

— To znaczy, — myślałem, — że niema istotnej różnicy w sposobie przepędzania świąt pomiędzy europejczykami i arabami; i tu, i tam życie wyrobiło jednakie zarysy bytowania. Tylko jednostka o silnej osobowości odrywa się od tego szablonu.

Szliśmy przez wązkie uliczki, na których snuli się gorączkowo arabi, kupując, sprzedając, roznosząc towary, owoce, słodycze. Rzemieślnicy pracowali w najlepsze, a kupcy otrząsnęli się z drzemki, która obezwładniała ich we dnie.

Zbliżyliśmy się do największego sklepu, noszącego szumną nazwę: „Musée Ahmed Djemal.“ Przewodnik opowiadał mi przez całą drogę o cudach, jakie miałem tam ujrzeć. Przecisnęliśmy się przez tłum, który oblegał szczelnie wejście do wnętrza budynku. W pierwszej sali, przybranej dywanami i gobelinami było tłoczno; jednak zauważono nas odrazu i jeden z gospodarzy pospieszył na nasze powitanie.

— Niech panowie będą, jak u siebie — mówił, prowadząc nas do wielkiej sali piętrowej i prosząc, byśmy usiedli. — Wszystko jest tu na wasze usługi. Zaraz podam kawę.

I, nie zmieniając tonu, ani czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: Prawda, że tu u nas bardzo ładnie? Takich kosztownych gobelinów niema na całym świecie. Mamy tu różne piękne wyroby z jedwabiu, drzewa, kości słoniowej, kamienia, metali. Wszystko można u nas dostać i to bardzo tanio. Zaraz pokażę.

Oddalił się na chwilę, a ja, korzystając z czasu, rozejrzałem się po sali. Ściany były zawieszane pięknymi dywanami, drzwi opięte materjami jaskrawymi. Meble różnych fasonów, były zajęte przeważnie przez europejczyków, których głośna rozmowa głużyła dźwięki gitary, dochodzące z kąta sali. Przy blasku kilku lamp wiszących zlewała się różnobarwność urządzenia w malowniczą całość.

Po chwili prowadził nas gospodarz na górne piętro, na którym znaleźliśmy prawdziwe składy rozmaitych tkanin, ozdób, mebli i t. p. Wzięło mnie w obroty dwóch gospodarzy, zarzucając prawdziwą lawi-

ną różnych wyrobów. Chwaliłem wszystko już nie tylko dlatego, że tak należało, lecz i z prawdziwego zadowolenia estetycznego.

— To wszystko praca naszych żon, — mówił gospodarz, zachęcając mnie wcale niedwuznacznie do kupna.

Daremnie tłumaczyłem, że nie mogę nic kupić; gospodarze zasyrywali mnie coraz piękniejszymi wyrobami z wzrastającym zapałem, nie tracąc nadziei, że kupię cokolwiek, choćby dla odczepienia się. Zwłaszcza, gdy podano kawę czarną po arabsku, gdy powietrze wypełniła miła jej woń, a zmysły pobudzał jej smak wyborny, gospodarz przypuścił ostatni szturm, pokazując szkatułki przepięknej roboty.

Nie wszyscy goście byli tak zakamieniali, jak ja. Przy sąsiednim stoliku kusił inny gospodarz jakąś damę. Od jednego spojrzenia można było poznać w niej znawczynię, która rozpatrywała wyroby ze zrozumieniem i przejęciem. I to jeszcze z jakim przejęciem! Chwilami dochodziła do zachwyty i stała wtedy z szeroko rozwartymi żrenicami, nieruchomymi rękoma, z wyrazem takiej błogości na twarzy, że z pewnością nie jeden z jej wielbicieli zgodziłby się być haftem arabskim, byleby zechciała tak patrzeć na niego. To znowu widziałem na jej twarzy pożądlivość, żądzę posiadania, zazdrość... A kusiciel, korzystając z nastroju, otaczał ją morzem uroków...

— Prawdziwa niewiasta — myślałem — na nitce jedwabnej doprowadzić ją można do bram piekielnych, choć umie zrywać najtrwalsze łańcuchy, węzły najstalsze.

Jej towarzysz, pewno mąż, był „człowiekiem bez gustu“, „bez wyrobienia estetycznego“, „natura zimna“, bo patrzył obojętnie na piękności, w których tonęła jego żona i nie zdradzał ochoty sięgnięcia do kieszeni po pieniądze. „Skąpiec bez serca“ czytałem w jej oczach. I stanęła mi w pamięci jedna z nieszczęśliwych żon, która w podobnych warunkach tak biadała nad swym losem: „gdzież może być mowa o szczęściu małżeńskim, gdy mąż nie rozumie swej żony!..“

Mężowie! Jeśli nie chcecie przekonać się choćby po kilkonastoletnim pożyciu małżeńskim, że nie rozumiecie swych żon, nie zawoźcie ich do Tunisu, lub w razie ostatecznym nie prowadźcie do składu wyrobów wschodnich, bo kupcy arabscy są strasznymi kusicielami.

Pożegnałem gospodarzy, zapewniając, że jestem zachwycony ich bogactwem i gościnnością. Ledwo przecisnęliśmy się przez tłum, który otaczał „Muzeum“. Na ulicach było gwarno. Podążyłem do kawiarni arabskiej, by zobaczyć „taniec brzuchów“. Przez drogę przewodnik opowiadał mi o pewnej rossyance, która wydała w „Muzeum“ cały kapitał, przeznaczony na ratowanie zdrowia i nie miała za co pozostać w Tunisie, ani powrócić do kraju. Wreszcie musiała wyzbyć się części swych zakupów za dziesiątą część ceny, a resztę zabrano jej na komorach za cło.

Tak, tak, myślałem, za wszystkie nasze namiętności musimy płacić wysokie cła, lub wyrzec się ich na komorach życia, by wrócić do siebie.

Po chwili weszliśmy do kawiarni. Była to niewielka sala, oświetlona kilkoma lampami błyskawicznymi. Prócz nas dwóch nie było nikogo z europejczyków, pośród przynajmniej setki widzów.

Na wzniesieniu w końcu sali popisywała się jedna tancerka, a za nią siedziało kilka jej koleżanek w różnobarwnych strojach i trzech muzykanci z boku. Jeden z nich grał na jakimś instrumencie klawiszowym, w rodzaju fisharmonii, wydającym zaledwie kilka piskliwych głosów; drugi dał w piszczałkę, a trzeci uderzał w tamburyno. Zgiełk tych nieharmonijnych dźwięków zaledwie pozwalał stworzyć sobie pojęcie o takcie, lecz nie można było uchwycić w nich żadnej melodi. Jeden krótki motyw powtarzał się z nieubłagalną jednostajnością i jeszcze nieubłagańszym brakiem harmonii. Każdy z grających silił się, by wydobyć ze swego instrumentu jak najgłośniejsze dźwięki, uważając się za jedyłą miarę piękna.

Nagle urwał się ten zgiełk całkiem nieoczekiwanie i tancerka usiadła na swem miejscu. Po chwili wszedł na wzniesienie posługacz i przyniósł kilka kieliszków wódki dla tancerek. Córy Terpsychory rzuciły się łakomo na napój, jak dzieci Bachusa, i znowu wróciły na miejsca, czekając na swą kolej.

Pomiędzy publicznością przeciskał się kelner, brudny, obdarty włoch i roznosił kawę arabską, napoje gazowe i wyskokowe. Arabi pili ciągle i otaczali się kłębamii dymu tytoniowego. Nastrój zadowolenia

panował wśród zebranych i toczyły się rozmowy o urodzie i zręczności tancerek.

W pierwszym rzędzie przy samem wzniesieniu siedział młody arab o białem obliczu, wysokiem czole, pięknych czarnych oczach, rozumnym wyrazie twarzy; po wykwintnym ubiorze łatwo było domyślić się w nim syna bogatego kupca lub przemysłowca. Siedział nieruchomy z oczyma utkwionemi w tancerkę, która skończyła przed chwilą swój popis. Jak zahypnotyzowany, nie spuszczał z niej oczu. Zachwyty i uwielbienie malowały się na jego twarzy. Wodził wzrokiem po jej pełnem, rumianem obliczu, ustach koralowych, czarnych oczach, płomieniejących wesołością, życiem, wplatał spojrzenia w pukle włosów krucznych, przystrojonych świecidełkami, obejmował jej szyję i kibić wiotką rozmarzonymi źrenicami. Upojony nie widział, nie słyszał nic po za nią i zdał się pragnąć jedynie, by piękne widziadło nie zginęło mu z przed oczu, by mógł je mieć ciągle przed sobą, bo nie śmiał marzyć, by — przy sobie.

A ona? — Ona patrzyła dokoła iskrzącemi oczyma, dumna ze swego powodzenia wśród publiczności, rada z owacyj, jakie jej czyniono. Założyła nogę w szerokich hajdawerach na kolano po arabsku i, wsparłszy się na niej łokciem, bujała się na krzeselku. Chwilami wzrok jej zatrzymywał się na młodym arabie, który zalewał się wtedy pąsem i patrzył w nią, jak w królowę, wydającą nań wyrok. Więc wołał oczami: miej litość nademną, ja ciebie tak kocham, tak pragnę twego szczęścia, wszystkom gotów poświęcić dla ciebie!

Lecz darmo wzywał nieborak litości. Rumiane oblicze tancerki odwracało się niebawem od niego, a spojrzenie lekceważące mówiło: i cóż ty, biedaku, możesz dla mnie uczynić? Zamkniesz mnie w haremie i zrobisz pierwszą żoną swoją, otoczysz bogactwami, zbytkiem, kołem służebnic, by były na me skinienie, sam będziesz mym pierwszym niewolnikiem... I myślisz, że będę szczęśliwą? — Nie, kochanku! Dziś nie mam czarnej zasłony na twarzy, dziś jestem wolną, jestem człowiekiem, biorę od życia, co mi ono dać może, korzystam z mej młodości, talentu... I ty myślisz, że me człowieczeństwo sprzedam za cokolwiek w świecie? Nie, mój kochany! Dla ciebie żony są wśród tych dziewczyn, którym za-

kweifiono oblicze, wśród tych biednych niewolnic, które będą sprzedane, jak zwierzęta temu, kto zapłaci drożej... Ha, ha! powiadasz, że i matka beja była dawniej tancerką. A ja wolę być wolną kochanką twoją i innych, niż pierwszą żoną beja...

Wpatrywałem się w tę rozmowę oczu dwojga ludzi z prawdziwym przejęciem. To nie był tylko wytwór mojej wyobraźni: tak patrzeć, jak patrzył młody arab, umie tylko prawdziwie rozkochany, bez względu na swą narodowość, pochodzenie, obyczaje; a być obojętną na gorącą miłość męską może tylko kobieta, dla której to uczucie jest jarzmem niewoli, kajdanami życia. W jego zapałach odzywa się żywiołowy pęd męczyzny, ujarzmiaciela świata;— w jej obojętności — wyzwolenie się z utartego szablonu pragnień i celów jej społeczeństwa. Ta tancerka jest emancypantką w świecie kobiet arabskich; zerwała z rodziną, zaparła się zwyczajów ojczystych, uświęconych wiekami, wzgardziła tem, o co ubiegają się jej rówieśnice — i poszła sama w świat, chcąc mu dowieść, że da sobie radę. I rzecz dziwna: ci sami mężczyźni, którzy przestrzegali najsumienniej zakon Mahometą, czynili jej szumne owacye w kawiarni, choć nie puściliby tancerki na próg domu. Jeden tylko, ten zapatrzony w nią, wybaczyłby jej wszystko, przywróciłby cześć utraconą, wprowadził do domu swego, gdyby ona tylko przystała...

Więc czemu odrzuca ze wzgardą to, co tysiące przyjęły by z obliczem rozpromienionem?!

I młody arab pogrążył się w zadumie: czyż może istnieć większe szczęście dla kobiety, niż zostać pierwszą żoną młodego bogacza?

Na wzniesieniu występowały kolejno tancerki przy ogłuszającym brzęku orkiestry. Dziwny jest ten „taniec brzuchów“, w którym cała zręczność polega na robieniu jak największych ruchów częścią dolną tułowia przy spokojnem położeniu ramion i klatki piersiowej.

— Ślicznie, znakomicie! — szeptał zachwycony arab w mem sąsiedztwie, wpatrując się w młodą dziewczynę, która, nie ruszając się prawie, wyrzucała brzuchem raz po raz w takt muzyki. Rzuty te od ledwo dostrzegalnych, potęgowały się stopniowo i dochodziły do takich rozmiarów, iż zdawało się, że szczupła tancerka staje się chwilami tęga,

pełną niewiastą. Szerokie szarawary drżały, jak gdyby porwane pędem wiatru, a cała postać była prawie nieruchoma.

— Cudownie, prześlicznie! — powtarzali arabi, a inne tancerki patrzyły okiem zazdrosnem i robiły uwagi uszczypliwe.

— Co wyraża ten taniec? — pytałem przewodnika.

— Cóż ma wyrażać? — zdziwił się zagadniony — taniec, jak taniec.

— Tyle i ja rozumiem — odparłem. — W każdym czynie ludzkim, więc i w tańcu, jest pewna myśl: mazur — to niepowstrzymana fantazyja, która rwie się naoslep naprzód, walc — to czułe marzenie, bujanie w obłokach, polonez — to buta szlachecka, lansjer — etykieta i t. d. i t. d. Otóż i w tem wyrzucaniu brzuchem chciałybym dopatrzeć się jakiej myśli.

Niewiele wyjaśnił mi w tej sprawie mój przewodnik, z którym nie mogliśmy zgodzić się i co do tego, czy ten taniec robi wrażenie przyjemne. Brak estetyki uderzał mnie zwłaszcza w chwilach, gdy widzowie podziwiali silne rzuty brzucha.

Popisy następnych tancerek umocniły mnie w przekonaniu, że motyw do tańca wzięty jest z życia kobiety, że wyraża okres, gdy, wijąc się w strasznych bólach, walczy każdej chwili ze śmiercią. Czy wtedy może ktokolwiek z otoczenia doznawać uczuć estetycznych? Przypuszczam, że nawet dziki opanowany jest jedynie przez współczucie, obawę, niepokój, pragnienie sprawienia ulgi cierpiącej.

Czemuż więc te przykre motywy wzruszeniowe wzbudzają taki zachwyt, gdy je odtwarza tancerka? Dlaczego ona sama wyszydza i ośmiesza niedolę swej własnej płci?

Może njawnia przed światem mężczyzn, co zrobili z kobiety; może przeciwstawia siebie wyzwoloną im uciemionym, ośmiesza ich uległość i niedołęztwo?

— I ty byś chciał zrobić ze mnie taką niewolnicę? — mówiła spojrzeniem obojętnem tancerka do młodego araba, który przyrósł do niej oczyma i jak zahypnotyzowany nie widział, nie słyszał nic po za nią.

Pomiędzy widzami przesunął się kelner, robiąc różne uwagi.

— Jak się panu podobała ta mała, która teraz tańczy? — pytał mnie. — Prawda, że śliczna, jaka zgrabna! Piękna dziewczyna, — ciągnął dalej, nie doczekawszy się odpowiedzi.

I oberwany włos starął się wzbudzić we mnie zajęcie tancerką, pomimo, że traktowałem go pogardliwie.

— Tancerki dostają wszystkiego po dziesięć franków za występ — tłómaczył mój przewodnik, gdy opuszczaliśmy kawiarnię.

— A jakież dalszy los tych kobiet? — badałem towarzysza — co dzieje się z nimi, gdy tracą urodę, młodość?

— Część ich utrzymuje się z zaoszczędzonych pieniędzy, część wychodzi za mąż, a reszta radzi sobie, jak umie.

— Więc tak wygląda emancypacya kobiet arabskich! — myślałem, — wracając do domu przez spokojne ulice. Gdzieniegdzie błyszczały światła kawiarni, w której arabi grali w karty, gdzieś sklepiak otwarty oczekiwał na zgłodniałego przechodnia, lub rzemieślnik pracowity podążał od roboty.

— Więc los takiej tancerki zwie się wyzwoleniem kobiety arabskiej z niedoli społecznej? — dręczyło mnie ciągle pytanie — i niema innej drogi, po której kobieta doszła by do praw ludzkich?

Nad moją głową iskrzyło się niebo gwiazdami również pięknymi, jak u nas w noc bez chmurki. Taka cisza panowała w przestworach widnokregu, jak gdyby na nim istniał zupełny spokój, szczęście zupełne, jak gdyby wszystkie pragnienia były tam zaspokojone, ukojone wszystkie cierpienia...

Ta noc spokojna, cicha, patrząca z wyżyn niebieskich na niedolę kobiety, wydała mi się strasznie szyderstwem...

IV.

Europejska dzielnica Tunisu przedstawia nie wiele godnego uwagi. Zajmuje ona dawne dno osuszonego jeziora, do którego wybrzeży ciągnie się paroma szerokimi ulicami poprzecinanymi przez kilka wąskich. Budynki, przeważnie nowe, nie pociągają oka kształtami i wykończeniem; znać na nich wyraźnie ducha spekulacyjnego, pogoń za prędkim wzbogaceniem się, tymczasowość. Po tych cechach łatwo domyśleć się, że tę dzielnicę zaludniają przybysze, których nie wiąże nic z ziemią, gdzie rozrzucili swe legowiska.

Przy głównej ulicy, wysadzonej pośrodku aleją drzew liściastych, wznosi się parę ważniejszych budowli, gdzie mieszczą się urzędy i wojsko. Tu również znajduje się świeżo wykończona świątynia katolicka.

Zaszedłem do jej wnętrza; było tam pusto. Kościół nie przedstawia nic osobliwego prócz motywów arabskich w budowie i urządzeniu wewnętrznym.

Przed ołtarzem klęczały dwie niewiasty o twarzach spalonych na węgiel, błyszczących czarnych oczach, szerokich wywiniętych wargach. Od jednego spojrzenia można było poznać w nich murzynki.

— Więc one są chrześciankami? — pytałem przewodnika — czy dużo mahometan przyjmuje chrzest w Tunisie?

— O! jest ich dosyć -- mówił zapytany — przybywa coraz więcej, zwłaszcza z pośród kobiet, które garną się chętnie do naszej wiary.

— A cóż mówią na to mahometanie? — badałem towarzysza.

— A cóż mają mówić!—odrzekł—uważają przechrztów za zdrajców, odsuwają się od nich, lecz najczęściej nie prześladują, bo i cóż mogliby im zrobić?

Najwięcej kobiet i to z warstw najniższych ucieka pod rozwarte ramiona krzyża. Dlaczego? Czy nauka chrześcijańska jest dla nich bardziej przekonująca, mędrsza, wznioślejsza, od mahometanizmu? Nie!

Ani jednej, ani drugiej nie zdolne są one pojąć i ocenić należycie, bo to przekracza ich możność, rozwój umysłowy; przecież to są istoty, nie umiejące rozumować. Więc może strona zewnętrzna religii, obrządki, kościoły i t. d. olśniły wrażliwe kobiety? Nie! Bo mało widziały ich, a przytem mahometanizm nie ustępuje pod tym względem ani na krok chrześcijaństwu. Więc co pociąga te niewiasty, co skłania je do odszczerpienia, do zdrady zasad i wierzeń, które czyniły zadość wymaganiom całych szeregów pokoleń?—Chyba nic innego, jeno idea chrześcijaństwa o równości wszystkich ludzi: ona zdjęła więzy z rąk niewolników i zrobiła ich pierwszymi wyznawcami Chrystusa, ona podniosła ujarzmioną kobietę do godności człowieka. Tak! Zyskać godność człowieka, gdy kto się nim czuje, gdy nim chce zostać i dla świata, dźwignąć się z ponizienia i upodlenia, którego zgnilizna zatruwa krew, myśli — to cel, dla którego nie jedna istota wyrzeknie się Edenu. Więc kobieta arabska ma jeszcze inną ucieczkę, prócz zostania tancerką? Emancypacya i postęp i tu może dążyć do podniesienia i uszlachetnienia kobiety, a nie do wyłamania z pod przyjętych zwyczajów, by oddać ją rozpuszcieniu i wyuzdaniu. Zetknięcie się kobiety arabskiej z europejską w wielkich środowiskach życia wywiera niewątpliwie silniejszy wpływ na arabki przez porównanie, niż krzewienie chrześcijaństwa przez misye i zakony w głębi Afryki.

Wyszedłszy z kościoła, wstąpiłem do sąsiedniej cukierni. Na szerokim chodniku jest tam urządzona weranda. Przy licznych stolikach siedziało sporo Europejczyków. Zaledwie zająłem miejsce, gdy otoczyli mnie przekupnie arabscy, częstując rozmaitemi wyrobami skórzanymi jedwabnemi, drewnianemi i t. d. Kelner odpędzał ich co chwila, lecz bezskutecznie. Dzieciak arabski zaczął wdzięczyc się do mnie, wskazując cukier na spodeczku i kładąc co chwilę palec do ust. Ofiarowałem mu kawałek cukru; pochłonał go od razu i, nie straciwszy miłego wyrazu twarzy w skutek doznanego zadowolenia, już dopominał się oczyma i rękoma o drugi kawałek, niezrażony napaściami kelnera. Niebawem zjawił się drugi dzieciak, dając do zrozumienia gestami i mową łamaną, że jest biedny i głodny. Za nim ciągnął chłopak, odsłaniając przed gośćmi owrzodzenia na piersiach i ramionach. Każdy z nich zadawał się

małym datkiem, lecz gdy odszedł, zjawiał się zaraz inny, jeszcze bardziej potrzebujący pomocy nędzarz—dzieciak, dorosły, lub starzec. Nadržęstwo i wyzyskiwanie wrażliwości i słabostek ludzkich nie ustępuje tu ani na krok podobnym cechom ludności we Włoszech środkowych i południowych.

W Europejskiej dzielnicy spotyka się dość liczne sklepy arabskie. W oknach wystawowych pociąga przechodniów przynęta najwspanialszych wyrobów; dość jednak przystanąć na chwilę, by kupiec lub pośrednik nie użył całej usilności, aby wciągnąć cię do wnętrza sklepu i sprzedać za cenę wygórowaną coś takiego, czegoś nie zamierzał nigdy kupić.

— Oni umieją handlować — mówił z miną wesołą mój przewodnik; — to też wielu dorabia się ogromnych majątków w krótkim przeciągu czasu.

— A jakże żyją ci bogacze arabscy? — pytałem. — Czy nie poddają się wpływowi europejskiemu, nie przyjmują naszej oświaty, uspołecznienia, religii?

— Bardzo nieliczni — odparł zapytany — bo i po cóż mieliby przeobrazać się? Czy to im źle z tem, co mają? Duży majątek to najlepsze uspołecznienie, a w mahometaniźmie łatwiej żyć, niż w chrześcijaństwie. Niech no pan spojrzy na tego araba w karecie—ciągnął—wskazując tęgiego mężczyznę bogato ubranego. Czego mu braknie? Ma duży majątek, piękne konie i powozy, harem z kilkunastu żon, wielkie stosunki i wpływy. Byłby chyba głupcem, gdyby się ochrzczył, bo trzeboby wyzbyć się wielu rozkoszy życiowych.

Tak mówił europejczyk na afrykańskiej ziemi. W jego ojczyźnie twierdzono, że kraj ponosi wielkie ofiary w ludziach dla uspołecznienia dzikiej Afryki; i on w chwilach zapału rozповідаł: „my niesiemy naszą pracę i nasze życie w celach cywilizacyjnych“. A jednak nie był on niczem innym, niż lichą postacią najezdника, który przyszedł zerować tam, gdzie o żer najłatwiej.

Takie wzory miały zachęcić arabów do przyjęcia uspołecznienia europejskiego!..

-- Byłby głupcem arab bogaty, gdyby ochrzcił się—mówił przewodnik. — I miał słuszność, bo chrześcijaństwo— to wiara maluczkich; potężni tego świata nie zdolni są pojąć jego idei, bo „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi dostać się do Królestwa Niebieskiego.“

* * *

Nieopodal kościoła znajduje się teatr francuzki. Miłośnicy wrażeń scenicznych sklečili na prędce salę, mieszczącą kilkaset widzów. Dawano operetkę, która ośmieszała w nielitościwy sposób jąkałę. Rzecz sama przez się nędzna z logiką iście operetkową, grana była wcale dobrze i była przez to tem niebezpieczniejsza dla właścicieli fezów i zawojów, którzy zapełniali szczelnie galeryę i wyrażali gorące oznaki zadowolenia, ile razy rozgrywała się jaka prawdziwie głupie scena. I w krzesłach było dość arabów; ci jednak zachowywali się spokojniej—znać, że oswoiли się już należycie ze sposobem myślenia i czucia europejczyków.

Nigdy przed tem nie wywarła na mnie operetka tak przykrego wrażenia, jak w tem środowisku zbliżania się dwóch społeczeństw o rozmaitych dziejach, zadaniach, dążnościach, uspołecznieniach... Gdyby istniał tu jaki kierunek umoralnienia, dźwignięcia młodej braci afrykańskiej, to przecież piśmiennictwo sceniczne pozwoliłoby wynaleźć coś bardziej budującego nad operetkę. Może taka sztuka nie robiłaby kasy, lecz za to całe społeczeństwo tubylców i przybyszów mogłoby wzbogacić się duchowo, mogłoby ciągnąć zbawienne korzyści ze zbliżania się wzajemnego. Dziwna rzecz, że rządy i filantropi zaniechali wprowadzenia w czyn tej myśli i wydają społeczeństwo na łup przedsiębiorców, dla których jedynem probierzem pożytku jest ilość zagarniętego szlachetnego kruszcu.

V.

Podczas układów z dorożkarzem o zrobienie wycieczki za miasto, przyplątał się młody arab i ofiarował mi swe usługi jako przewodnik za bardzo niskie wynagrodzenie, bo za franka. Prawie przemocą wdarł się na kozieł, obiecując, że pokaże wszystko godne widzenia.

Jechaliśmy do Bardo, dawnej siedziby beja, obecnie niezamieszkałej, odległej o 4 i pół kilometra drogi bitej od Tunisu. Zaledwo wydostaliśmy się za bramę miasta, gdy mój nowy przewodnik, nie mogąc dogadać się ze mną z wysokiego kozła, przesunął się zręcznie na przednie siedzenie. Usta nie zamykały mu się na chwilę; pytany, czy niepytany miał ciągle coś do powiedzenia.

— Niech pan patrzy — mówił — to karawana beduinów ciągnie z towarami do miasta!.

Nie zdołałem jeszcze przyjrzeć się wielbłodom objuczonym, które, kiwając się, jak okręty, szły wolnym krokiem, wiedzione na sznurze przez czarnolicych arabów w białych burnusach, gdy mój towarzysz pokazywał mi już domek rolnika, potem stado flemingów, szybujących nad morzem, to drzewo w oddali, górę na widnokręgu, to swój burnus błękitny haftowany, to zalecał mi środek bardzo skuteczny do długiego i szczęśliwego życia, to wskazywał zioła na wygubienie pryszczy na twarzy, na rozbudzenie uczucia w kobiecie i t. d.

— Niech pan spróbuje — zachęcał — kosztuje bardzo tanio, dla pana zrobię ustępstwo. A może pan kupi mój burnus? Sprzedam go za trzy luidory, kosztował sześć, a wart ośm.

Nie mogąc na żaden sposób powstrzymać gadulstwa araba, który nie pozwolił mi skupić uwagi na czemkolwiek, zmusiłem go wreszcie do powrócenia na kozioł pod grozą, że każę mu wysiąść z dorożki. Dopiero, zdobywszy się na ten krok stanowczy, zacząłem rozglądać się po okolicy.

Kilkanaście wzgórz na bliższym i dalszym planie, wznoszących się wśród równiny i niepowiązanych w łańcuch, stanowią jedyne punkty, na których może zatrzymać się oko. Po za nimi ledwo gdzie niegdzie zabieleje domek pojedynczy rolnika, lub drzewo karłowate zaczernieje na widnokręgu, lub zieleń świeża łanu oziminy oderwie na chwilę wzrok od szarości jednostajnej. Królestwo mineralne zamknęło [dostęp światu roślin i zwierząt murem kamienistej i piaszczystej gleby do łona ziemi życiodajnej — i dla tego od tych przestrzeni wieje martwością pustkowie.

Mijaliśmy pracowitego araba, który zwalczał sochą nieżyzliwość gleby. Koń sprzężony z krową, ciągnęły wspólnymi siłami radło, zarzucone już na polach Europy. Do Tunisu nie doszedł jeszcze pług, przewracający odkładnicą ziemię, wykrojoną lemieszem; arab, po dawnemu, bruździ ją tylko sposobem pierwotnym.

Biedna, chuda krowina musi pracować wspólnie z koniem na wyżywienie człowieka, bo cielę, które karmi i mleko, które daje arabowi, nie opłaca jej nędznego utrzymania. I na rataju nie znać, by ziemia, którą orze, dawała mu chleba dostatek; szczupły, mizerny, o twarzy spalonej, nawpół ledwo okryty łachmanami, jest on trzecią siłą pociągową, która popycha sochę, by ulżyć strudzonej parze ciągnącej.

Radło odsłania glebę również oschłą i bezpłodną, jak ta, która leży na powierzchni, a rataj nie traci nadziei, że przerobi ją na swą żywicielkę.

Zbliżyliśmy się do Bardo. Arab na koźle kręcił się niecierpliwie, dając do zrozumienia, że chce powiedzieć coś ważnego. Wreszcie, nie zdoławszy powściągnąć się, oświadczył mi: to Bardo, siedziba poprzedniego beja, niezamieszkała obecnie. Przy turkocie kół nie zdołałem usłyszeć wiele więcej.

Wjechaliśmy w dziedziniec pałacowy. Brama i ogrodzenie są uszkodzone mocno i nie znać, by dbano o podtrzymywanie ich; w wielu miejscach pozostały z muru tylko gruzy. Wejście do pałacu jest bardzo piękne; po schodach z białego marmuru, przybranych ośmioma lwami, z których każdy jest inny, dostaliśmy się do krużganka, zajmującego cały przód budynku. Lekkie, strzeliste filary dźwigają długie szeregi

łuków, które koronką przewiewną okalają budynek zewnątrz, przechodzą przez kurytarz i obejmują cały dziedziniec wewnętrzny.

Niebawem zjawiła się służba pałacowa, wprowadzając nas do wnętrza. Przeszliśmy przez parę sal o ścianach fajansowych, sufitach złożonych, posadzkach mozaikowych. Mój przewodnik zachwycał się wszystkim, poczynawszy od okien hiszpańskich, skończywszy na meblach atłasowych, bronzach i obrazach. A kiedy weszliśmy do największej sali tronowej, na twarzy araba zjawił się podziw; bo też pewno nie widział nigdy tak wielkiego salonu, mierzącego z 15 metrów długości i z 8 szerokości. Posadzka froterowana lśniła się, jak lustro, a liczne portrety w całej postawie osób kolorowanych zdobiły ściany.

— Nie podobnego pewno pan nie widział — badał mnie arab. — Nawet w Paryżu niema takiej sali, no i nigdzie na świecie.

Nie odbierałem złudzeń zachwyconemu, bo i cóż by mu przyszło z tego, gdyby był dowiedział się, że sala tronowa beja byłaby gdzieindziej niżona do godności przedsionka pałacowego. Przecież w jego zachwycie dźwięczała tak wyraźnie jedna z najszlachetniejszych strun duszy ludzkiej — struna miłości tego, co swoje. Nie śmiałem zakłócać mu tej rozkoszy, której my polacy wyrzekamy się zbyt często dobrowolnie.

Dawne pokoje haremu przerobiono na muzeum starożytności. Najwięcej zebrano tu rzeźb i nagrobków mocno uszkodzonych z Kartaginy i jej okolic, głównie z czasów rzymskich. Posągi przeważnie bez głów i innych członków ciała robią nawet w tym stanie szczątkowym duże wrażenie, w którym tkwi coś więcej prócz namaszczenia, z jakim przystępujemy do utworów świata starożytnego.

— Dlaczego? — pytałem siebie.

I wzrok mój zatrzymał się na posągu bez głowy z poodrażanymi rękoma i nadwyrężonymi nogami. Linia karku, tworząc kąt rozwartą z piękną linią kręgosłupa, wskazuje, że głowa posągu była zwieszona; wdzięczny owal resztek ramion, piękne kształty tułowia, dziewiczo świeże zarysy piersi, a przy nich resztki palców, które zasłaniały skromnie powaby kobiece, biodra nawpół skrzyżowane, jak gdyby postać, po-

chwyciona znienacka, nie wiedziała, czy schronić się, czy uciekać, cały ten zbiór zarysów pociąga oko, pobudza wyobraźnię.

— To musi być Wenus — zagadnąłem dozorcę muzeum.

— Tak jest — odparł — i zaczął opowiadać dzieje znalezienia tego zabytku sztuki. A ja zachwyciałem się talentem rzeźbiarza, który zdołał tchnąć w marmur tyle prawdy, że nawet z odłamków posągu można odtworzyć sobie jego całość.

— Tak — myślałem — nie co innego, tylko prawda jest w sztuce przyczyną głębokości wrażenia.

Pomiędzy zabytkami starożytności cieszy się wielkiem uznaniem mozaika z podłogi, mająca 140 metrów kwadratowych i przedstawiająca Neptuna. Jest ona ułożona z drobnych kamyczków w podobnym rodzaju, jak w pałacach cesarów w Rzymie lub domach patrycyuszów w Pompei; zachowała się wcale dobrze.

Arab zaczął znów unosić się nad pięknnością i starożytnością tego zabytku, z którym, jak mniemał, nie może porównać się żaden inny w świecie. Jednak, gdym chciałem wyciągnąć mego przewodnika na ściślejszą rozmowę, przekonałem się, że nie ma on żadnego pojęcia ani o samym zabytku, ani o epoce, która go wydała. Dla araba zaczynają się dzieje od Mahometa, przed którym były różne dzikie narody i błędne wierzenia, nie zasługujące na to, by zastanawiać się nad niemi. Nie go nie obchodzi, czy tu, gdzie obecnie błyszcą półksiężyce, mieszkali dawniej fenicyanie, grecy, czy rzymianie. Dość, że dziś i od wieków ziemia ta jest w rękach arabów, że oni są bogatymi, potężnymi spadkobiercami przeszłości.

— A protektorat Francyi nad Tunisem, który jutro lub po śmierci 86-cio letniego beja może zmienić się na zależność zupełną, czy nie powinien nasunąć panom myśli, że i wy przeminiecie, jak przeminęły inne ludy na tej samej ziemi? — pytałem mego araba,

— E, to być nie może! — odparł gorączkowo mój towarzysz — zbyt długo tu siedzimy, by mógł nas stąd wyprzeć ktokolwiek.

I choć nie wiedział nic o tych, którzy przed dziesiątkami stuleci zamieszkiwali ziemię, którą on uważa teraz za swoją, jednak powtarzał za nimi dosłownie te same zdania, będąc przekonany, że siła i potęga

arabska musi trwać wiecznie, bo któżby mógł ją skruszyć i co stałoby się ze światem, gdyby arabów zabrakło?

To przekonanie, że nikt go nie zdoła zastąpić, jest dziwnym objawem psychologicznym starzejącego się człowieka i narodu.

W tylnej stronie dziedzińca leży gruz i kawałki taflí fajansowych; jedna strona pałacu jest zburzona i odsłania resztki dawnych komnat. Nie skorzystałem z tego, by zwrócić uwagę mego towarzysza, że zaczął się już upadek tej pięknej siedziby, że może niedalekie pokolenia podziwiać będą w ruinach piękno i bogactwo zniszczonej świetnej przeszłości, która rokowała sobie wieczność, nieznikomość.

Wracaliśmy w kierunku Belwederu, parku spacerowego. Ubogo wygląda ten park, położony na pochyłości góry. Z piaszczystej ziemi, którą bardzo rzadko zrasza deszcz, a żaden strumyk i źródło nie zasila wodą, nie zdoła nawet karłowata roślina ukoić pragnienia, tem bardziej że chciwe słońce walczy z nią o każdą kropelkę, którą pochłania, zanim korzenie zdążą ją pochwyć. To też drzewa stoją pojedynczo, jak gdyby obawiały się współzawodnictwa pomiędzy sobą, jak gdyby nie chciały uszczuplać sobie nawzajem cennego nektaru. Biedaki! - Pędzą żywot samotny bez towarzyszy, bez przyjaciół; nie mają przed kim użalić się szmerem liści o porze zachodniej, że słońce paliło je niełitościwie w ciągu dnia, że człowiek barbarzyńca pozbawił je gałązki, nie mają z kim snuć o wschodzie złotej nici nadziei, że obłoki osłonią je może w godziny spiekoty, że chmury zwilżą oschłe ich liście. Obcą jest im rozkosz miłości, która opromieniłaby ich życie; u ich stóp nie wdzięczą się młode roślinki, o których mogłaby powiedzieć: to największe skarby nasze. Jak niewolnice, muszą pędzić żywot posepny po to jedynie, by służyć swemu panu i władcy.

Przykro było patrzeć na stare drzewo, karłowate i pogarbione, jak gdyby zgnębione przez brzemień życia; stokroć przykrzej na młode lato-rośle, jak w wieku zapałów i marzeń miały już korony zwieszzone beznadziejnie.

Dotarliśmy do szczytu wzgórza, skąd roztacza się rozległy widok na okolicę. W dolinie leży Tunis w postaci płotu białego na szarem tle ziemi; kilka minaretów roboty koronkowej i liczne sklepienia mecze-

tów wznoszą się ponad poziom dachów płaskich, które zlewają się w jedną masę białą. Po za Tunisem ciągnie się szyba martwa jeziora, a na skraju widnokregu rysuje się sina linia morza. Na wschód wskazał mi przewodnik Kartaginę.

— Bardzo zajmująca wycieczka — przekonywał mnie — musi pan pojechać tam jutro zemną, pokażę panu wszystko, co jest do widzenia. Można pojechać koleją, ciągnął swe zachęcanie, wskazując linię drogi żelaznej, biegnącą nieopodal wybrzeża lub powozem, co jest o wiele dogodniejsze, choć kosztuje drożej. Prawda, że pojedziemy?

— Czy to meczet na tej górze Kartagińskiej? — pytałem araba, przypatrując się przez lornetkę wielkiej budowli z kopułami w stylu arabskim.

— Nie, to kościół katedralny katolicki, świeżo postawiony — tłumaczył arab.

— Tak — myślałem, — więc na gruzach świątyń kartagińskich, nad meczety mahometańskie wzniosłaś się świątynio Chrystusowa na wyżynach góry, by widziano cię zewsząd z oddali. Przywdziałaś szatę obcą, by nie razić uczuć ludzi, którzy cię nie uznają, nie trwożyć tych, co boją się ciebie i przygarnąć liczne rzesze, które pociągnie podobieństwo zewnętrzne, a uciemienienie skłoni do szukania praw człowieczych pod twoją osłoną. — Muszę pojechać do Kartaginy choćby po to, by zobaczyć, czy chrześcijaństwo jest tam rzecznikiem postępu i uspołecznienia, czy też środkiem propagandy politycznej i wyzysku nawracanych.

— Tam w dolinie na lewo — wskazywał mi arab — leży Marsa, siedziba obecnego beja. Wstąpimy tam po drodze do Kartaginy. No, prawda, że jutro pojedziemy?

I arab starał się mnie zachęcić wszelkimi sposobami do wycieczki w jego towarzystwie: opowiadał o bogactwie muzeum, o piękności okolicy, o uroczej katedrze, o ruinach świątyń i cyrków rzymskich. Lecz czuć było wyraźnie w całym jego zapale, że nie zdaje sobie nawet sprawy, co może w takiej Kartaginie pociągnąć podróżnego; bo dla niego ruiny były tylko rumowiskiem kamieni, wykopaliska — głazami

i skorupami, a ziemia, po której stąpał — skąpą karmicielką; nie było spójni duchowej między nim a tą zamierzchłą przeszłością.

Słońce chyliło się do zachodu, gdy wjeżdżaliśmy w mury Tunisu. Na ulicach snuł się tłum arabów i europejczyków. Mój towarzysz umilkł na chwilę, zauważywszy, że nie słucham wszystkiego, co opowiada mi w wielkiej gorliwości. Woźnica ostrzegał przechodniów, którzy tłoczyli się w wązkich ulicach.

— Dla czego u was jest taka masa ospowatych? — pytałem przewodnika, zauważywszy ślady ospy na twarzach bardzo wielu arabów. — Czy nie robicie szczepień ochronnych?

— Religija nie pozwala — tłumaczył.

— Widzicie przecież, jak mało ospowatych spotyka się pomiędzy europejczykami, bo zapobiegają chorobie przez szczepienia, — dowodziłem arabowi; — przecież i w Turcyi, gdzie jest wyznawaną nauka Mahometa, ludzie zabezpieczają się od ospy.

— Cóż z tego — prawil arab — i tak chorują u nas nie wszyscy, a że często umierają, to już taka wola Allacha, na to nic poradzić nie można. Nikt nie uniknie tego, co mu sądzone.

— Znać zapamiętałego mahometanina w tych słowach — myślałem; — lecz w tej samej chwili wspomniałem, że i na brzegach naszej Wisłki kmiotek patrzy na te sprawy podobnemi oczyma, nawet wyraża swe poglądy w taki sam sposób.

A więc nie religia bruździ tu, lecz brak oświaty.

Bo i skąd wzięłaby się oświata na tej ziemi, upośledzonej przez naturę, spalonej przez słońce, niszczonej od niepamiętnych wieków przez człowieka? Ludy przechodziły tędy po ludach, wiedzione żądzą rabunku; z południa niosły wiatry piasek jałowy Sachary i jej martwość. Tu mogła chyba tylko zaginać oświata, jeśli kiedykolwiek istniała!

VI.

Kartagino! Kartagino! — marzyłam przez noc całą; jak wyglądasz po wiekach potęgi i sławy?

W półsennych marzeniach przesuwają mi się dzieje gwiazdy starożytności wybrzeży Afrykańskich. Więc wspominałem, jak w dziesiątym wieku przed Chrystusem wyłudziła bajeczna królowa Dido od pokrewnego plemienia fenickiego kawałek ziemi, jaki pokryje skóra wołu, jak założyła tam kolonię, która zaczęła rosnać szybko, dzięki związkom z sąsiednimi libijczykami i podbojom wśród innych ludów. Już po upływie trzech wieków stała się Kartagina tak rozległą, że ciasno jej było na wybrzeżu Afrykańskim, które zajęła w znacznej części; więc zakładała kolonie na wyspach morza Śródziemnego i brzegach Hiszpanii. Kto mógł był wtedy jej dorównać, kto zdołałby oprzeć się? Ona dzierżyła ręką silną handel, ona dobywała kruszce, wytwarzała tkaniny, hodowała owoce, ona miała wielką flotę, zdolną pływać po morzu otwartem. Czyż nie była królową ziemi i wód?

Jedna wyspa trójkątna, Trinakria, ośmieliła się temu zaprzeczyć. Liczne kolonie greckie, które rozsiadły się na Sycylii, nie chciały uznać zwierzchnictwa Kartaginy, ba, ośmieliły się nawet współzawodniczyć z nią. Duma podrażniona olbrzymą, przy którym śmiał karzeł rozprawiać o równości, pchała Kartagine, by nauczyć kolonje Sycylii poszanowania potęgi. I oto okręty, które przódki woziły towary, wysadziły na wyspie trójkątnej zastępy zbrojne; grody kamienne zaczęły ginąć pod naciskiem najazdu kartagińczyków. Czasem spotykali oni opór zacięty, czasem ponosili straty olbrzymie, straszne pogromy, które niszczyły setki ich wiosłowców, nicestwiły trzystatysięczną armię (pod Himerą 480 r. przed Chrystusem); czasem bywali wypchnięci całkiem z wyspy. Jednak wracali niebawem z nową potęgą wiosłowców

i armię zbrojną, by dowieść, że nie zbrakło im środków na pokrycie strat i głów ludzkich do ścięcia, jeżeli chodzi o dopięcie celu; bo handel dostarczał dość bogactw, by zbudować nową flotę, a ludzi do stracenia było zawsze poddostatkiem pośród niewolników.

Nie spostrzegła Kartagina, jak z kolonii handlowej przedzierzgnęła się z biegiem wieków w kolonię najezdniczą; nie spostrzegła, że jej potęga maleje, choć wzbogaca się ona łupem z miast zburzonych; bo nie wiedziała, że nie rozległość posiadłości, nie skarby nieprzebrane stanowią o potędze kraju, lecz wartość jego obywateli, bo nie wiedziała, że na wojnie dziczeją ludzie, których uszlachetniła praca.

I stało się, że w czwartym wieku przed Chrystusem posiadała Kartagina całą Sycylię prócz Syrakuz, których bronił dzielnie tyran Dyonizy; potem zdobyła i ten punkt ostatni, lecz nie na długo, bo krwawe powstania kolonii greckich groziły jej zupełnem wygnaniem z wyspy. Był to już okres upadku, którego nie domyślał się jeszcze świat ówczesny, olśniony rozległością i bogactwem Kartaginy. I ona sama nie przypuszczała ani na chwilę, że Sycylia, którą okupiła setkami tysięcy żyć ludzkich, niebywałemi wydatkami, zaniedbaniem handlu w ciągu kilku wieków, że ta wyspa trójkątna była przyczyną jej zguby, zanim jeszcze noga rzymska tam powstała.

Wybiłem się całkiem ze snu, wspominając te straszne czasy, gdy w początku trzeciego wieku przed Chrystusem zmierzyły się dwie potęgi świata starożytnego na wybrzeżach Sycylii. Szereg wielkich działaczy, mężnych wodzów po obu stronach, walczących w ciągu 120-tu lat podczas trzech wojen Punickich, przesunął mi się w pamięci. Gdyby ci ludzie umieli stwarzać a nie niszczyć, to o wiele poszłoby naprzód życie! A tak, dwie potęgi, walczące o wyłączność posiadania i władania, niszczyły dorobek uspołecznienia i rozwijały w sobie dzikość i okrucieństwo. Nie pomogły zwycięstwa Hamilkara w Hiszpanii, bohaterska wyprawa Hannibala przez Pireneje i Alpy pod bramy Rzymu;—Kartagina, szarpana niesnaskami wewnętrznymi i nieszczęściami, musiała uledz. Półtora wieku przed Chrystusem skończyły się dzieje potęgi Kartagińskiej; miasto zostało zburzone, mieszkańcy wytopieni lub oddani w niewolę, nawet imię jej zatracone. Za cesarów, jako prowincya

rzymska, została Kartagina w części odbudowana i zakwitła znowu, jako miasto handlowe; lecz i to poniżenie do miana prowincyi wydało się, losowi zbyt małym: w V-ym wieku po Chrystusie zburzyli ją Wandalowie, w połowie VI-ego wieku przyłączono ją do państwa Bizantyjskiego, w końcu VII-go wieku zniszczyli ją Arabi. Od tego czasu nie podniosła się już z gruzów i przechodziła przez różne ręce. W połowie XVI-ego wieku zdobyli ją Hiszpanie, potem Turcy i znów Arabi.

Cóż pozostało po tej potędze, która przez wieki gromadziła łupy wojenne po to tylko, by ich starczyło dla całych pokoleń przybyszów, łaknących zdobyczy, ciągnących po nią z daleka?

W gorączce niecierpliwości doczekałem rana. Niebawem znalazłem wczorajszego woźnicę, który zgodził się zawieźć mnie do Kartaginy i jej okolic. Wyjechaliśmy z miasta przez bramę wschodnią po drodze bitej, ciągnącej się prawie równolegle do toru kolejowego w pobliżu jeziora. Słońce rozlewało palące promienie po pustych przestworzach piasków bezpłodnych, na których wyrastały wzgórza rozrzucone i po wodach stojących, skąd powiewało zgniłą wilgocią. Gdzieś tam sterczał kaktus samotny, uczepliwszy się szeroko pnem drzewiastym ziemi i chełpiąc się zielonością swych mięsistych liści; czasem kilka kaktusów, zebrawszy się w gromadkę, kazały podziwiać siebie przechodniowi w przekonaniu, że nie istnieje na świecie nic piękniejszego od nich, bo nie widziały dokoła potężniejszych roślin. Mijałyśmy nielicznych przechodniów i przejezdnych, który posuwali się leniwie, jak gdyby nie mieli spieszyć się do czego.

— Te ruiny to pewno dawne wodociągi? — pytałem woźnicę, wskazując długi szereg słupów kamiennych, połączonych miejscami w arkady, ciągnący się z zachodu na wschód.

— Tak jest, odparł zagadnięty, akwedukty ciągnęły się przeszło 70 kilometrów od źródeł górskich do Kartaginy.

Dla 700-tysięcznego miasta, dziwiłem się, jakim Kartagina była w czasie drugiej wojny Punickiej, trzeba było sprowadzać wodę o 70 wiorst, bo w pobliżu nie ma rzeki, a ziemia nie posiada wód zaskórnych. Jak mogło rozwinąć się tak dalece miasto, pomimo braku wody słodkiej i to w klimacie gorącym, gdzie ilość opadów jest niewielka?

Zdobycie grodu, położonego na półwyspie, który łączy się przesmykiem parowiorstowym z lądem, nie przedstawiało wobec tego wielkich trudności; dość było zburzyć jeden słup, wodociagowy, by skazać miasto na śmierć z pragnienia.

Zbliżaliśmy się do wodociągów, które biegną długim szeregiem wysokich arkad, słupów samotnych lub rumowisk. Na szczycie jednej z arkad ujrzałem dwóch ludzi, którzy rąbali ją kilofami.

— Co robią ci wandale! — wołałem z oburzeniem na woźnicę.

— Rozbijają arkadę — odparł spokojnie, — bo tędy będzie przeprowadzona kolejka, więc trzeba dla niej zrobić miejsce.

— To kolejki nie można poprowadzić o kilkanaście kroków dalej tam, gdzie ludzie i czas zdążyli już zniszczyć piękny ten zabytek starożytności? — mówiłem gorączkowo.

— E, proszę pana — twierdził mój woźnica — mamy tych rumowisk całkiem niepotrzebnych o wiele za dużo; zabierają one tylko niepotrzebnie miejsce. I komuby tam chciało się robić zbyteczne nakłady, aby ominąć jedną taką arkadę.

Ustami woźnicy mówił przybysz, którego nie wiązało nic z pamiętkami ziemi, całkiem dlań obcej, syn wieku, który żyje tylko teraźniejszością, ceni to tylko, co ma wartość wymienną, gotów wyzbyć się wszystkiego, by posiadać kruszec szlachetny, byle prędko, byle jak najwięcej.

Na rumowiskach wielkiej budowli przeszłości skubało kilka owiec nędzną trawę; i one wołałyby, żeby na miejscu tych bezpłodnych kamieni porosło zieleń soczyste...

Z arkady pod uderzeniem kilofów spadały skruszone głązy.

W milczeniu dojechałem do Marsy, obecnej stolicy beja. Na tle pustki, jaka zaległa okolicę, wygląda pałac z otaczającymi go ogrodami jak wspaniała oaza. Przeszedłem przez dziedziniec, zastawiony armatami bronzowymi, które dawno już chyba nie spożywały prochu. Warta wzbraniała przystępu do bramy pałacowej; musiałem przeto zadowolnić się widokiem ogólnym, jaki był dostępny z podwórza. Prawdziwie wschodnia budowla z licznymi krużgankami, różnobarwnymi ścianami

fajansowemi z przewagą koloru zielonego, oknami hiszpańskimi, wieżyczkami i sklepieniami, płaskimi dachami — wyglądała wspaniale przy niskich białych domkach bez okien, które obległy ją wokół.

Przeszedłem przez drugą bramę w końcu dziedzińca, przy której zastałem mego woźnicę. Mijaliśmy stajnie i wozownie beja. Z po za muru, okalającego zabudowania gospodarze, ujrzałem wielbłąda, który z głową zwieszoną kiwając się na prawo i lewo, obracał kierat, pompując wodę dla pałacu. Po zbiedzonej zewnętrzności tego pracowitego robotnika nie można było przypuszczać, że trudzi się dla największego dostojnika w całym Tunisie.

W tej samej chwili wzrok mój zatrzymał się na otyłym Arabie, bogato przystrojonym w atłasowe szaty.

— Kto to taki? — pytałem woźnicę.

— To eunuch z haremu beja — odparł zapytany.

— Lepiej być u beja euńuchem niż wielbłądem — myślałem, — mijając otylezucha o bezmyślnym wyrazie pucołowatej twarzy.

Wyjechaliśmy znowu na szosę. W oddali bieląca na wzgórzu wioska Sidi Bou Said. Wstąpiliśmy tu na chwilę. Konie nie mogły uciągnąć pod górę, bo spadek jest bardzo znaczny. Musiałem przeto iść pieszo. Mały Arabczyk czekał już na nas u podnóża i poprowadził do wsi. Po drodze spotykaliśmy Arabów, jadących parami na małych osiołkach, które szły pod górę takim samym miarowym krokiem, jak po płaszczyźnie.

Na pochyłości rozłożyły się amfiteatralnie małe domki, porozrzucane przeważnie pojedynczo. Na ulicach było całkiem pusto, jak gdyby cała wieś spała. W tem z wąskiego zaułka wybiegła młoda, czarnobrewa z odsłoniętą rumianą twarzą, iskrzącym wzrokiem. Wśród martwej ciszy wioski wyglądała ta bijąca życiem i zdrowiem dziewczyna, jak gzygzak piorunu na ciemnym tle ołowianego nieba. Mimowoli pobiegłem za nią oczyma, i, wskazując na twarz, pytałem, czemu nie pokrywa oblicza?

Ona zaś uśmiechnęła się do mnie filuternie, mówiąc: czy taka brzydka moja twarz, że każesz ją zasłaniać?—i znikła, jak widzenie, za białemi ścianami.

Pewno mądry wasz ustawodawca, Mahomet nie nakazałby wam, kobiety, chować twarze za kwefami, gdyby one były brzydkie!

Minąwszy wioskę, dotarliśmy do latarni morskiej na szczycie góry. Wzniesiony kilkaset metrów nad poziom morza, widziałem, jak fala wdziera się na podnóża góry, jak widnokrąg sinych wód styka się ze sklepieniem błękitnem, jak na tem tle w dole ciemniejszą plamy niekształtne — wyspy skaliste — a na tamtem w górze przesuwają się cienie białe — obłoki. Pochyłość góry porosły kaktusy.

Latarnik rozwodził się nad ważnością tego punktu dla okrętów, nad pięknością latarni morskiej, którą widać o dziesiątki kilometrów.

— A jakże życie upływa panu na tej górze? — pytałem — przerywając opowieści, które wydały mi się bardzo przesadnemi. Czy mieszka pan tu sam, czy z rodziną, czy widuje pan rodaków?

— Trudne są tu warunki — biadał latarnik; — brak ludzi, towarzystwa, rozrywek; człowiek dziczeje pośród tych Arabów. Trzeba prawdziwego zaparcia się siebie i poświęcenia, by tracić zdrowie i życie w tem pustkowiu bez roślinności, bez wody, w bezmiarze palących promieni słonecznych.

Przy wieży bawiło się wesoło troje dzieci; czwarte na rękę matki wpatrywało się wielkimi, błękitnymi oczyma w szczęśliwe rodzeństwo i wyciągało doń rączęta.

— Czy to pańska rodzina? — pytałem latarnika.

— Tak jest — mówił dość obojętnie, — to moja żona i dzieci.

— I w takim otoczeniu czuje się pan samotnym, niezadowolonym, pokrzywdzonym?

Na wzgórzu, dokąd rozciągała się stara Kartagina, rozmawiałem z człowiekiem przycywilizowanym, który wyrzekł się naturalnych rozkoszy życiowych w pogoni za czemś nieokreślonym, niedoścignionem. W pustej dali morza wypatrywał silnych wrażeń i wstrząśnień upajających, gdy tuż u jego boku śmiało się doń szczęście żrenicami pokolenia, które nie szemrze jeszcze na niedole życia.

Po chwili siedziałem już w dorożce i jechałem w dalszą drogę.

Mijaliśmy pojedyncze domki arabskie, nagie wzgórza, bezładne zwaliska, prawie zrównane z ziemią.

— Co to za budynek? — pytałem woźnicy, spostrzegłszy wielką sklepioną budowlę bez drzwi i okien, jedynie z otworem, prowadzącym w dół, jak do podziemia. Wewnątrz było mnóstwo opalonych Arabów.

— To dawne cysterny, zbiorniki wody słodkiej z wodociągów — tłumaczył zapytany. — Obecnie służą one plemionom koczowniczym za domy mieszkalne. W tej okolicy jest dużo takich zbiorników; niektóre są olbrzymie.

Wysiadłem z dorożki, aby przypatrzeć się z bliska cysternom. Kamienne ich ściany pokryła warstwa pyłu zbita w rodzaju polepy. Sklepienia zachowały się dobrze. Przez jedyny otwór w ścianie wpada do zbiornika trochę światła, które odcina się ostremi liniami od całej ciemnej rozległej przestrzeni.

Te zabytki dawnego budownictwa, imponujące trwałością i rozległością sklepień, zostały zużytkowane przez bezdomnych na legowiska ludzkie dla tego jedynie, że mogą osłonić głowę przed promieniami słońca i nawałnicą z chmur. Wiek utylitaryzmu dojada spadek po wiekach potęgi, jak sęp drapieżny, który szarpie zastygłe ciało olbrzyma!

Po za zbiornikami Kartaginy zapomnianej, rozparły się zbiorniki współczesne. Patrzą one wyniosłą, butną twarzą czerwonych ścian na leżące w gruzach resztki przeszłości; z miną dorobkowicza przeświadczonego o swej wielkości, zdają się mówić: kochamy w was szczątki naszych przodków, bo łączą nas z wami pochodzenie, tradycja i cele wspólne.

A ruiny kamienne wodociągów, wież i cystern odwróciły się od ceglanych budowli i pozapadały w ziemię, jak gdyby chciały zakopać w niej wraz ze swemi trupami i swe przeszło dwudziestowiekowe szlachectwo, po które ośmiela się dorobkowicz wyciągać rękę świętokradzką.

Jechaliśmy drogą krętą, ciągnącą się pośród głębokich rowów, zalegających gęstą siecią okolicę.

— To cmentarzyska fenickie — tłumaczył woźnica. — Od paru dziesiątków lat zaczęto tu poszukiwania i wykopano sporo zabytków starożytnych, które są umieszczane obecnie w muzeum kartagińskim.

Minęliśmy zwaliska świątyni Cerery, po której pozostały pojedyncze kolumny marmurowe i trochę podwalin, ocalałych dziwnym sposobem przed rabunkiem. Podobny obraz spustoszenia przedstawia świątynia Saturna i Junony.

Na sąsiednim wzgórzu wznoszą się pojedyncze domki arabskie. Uderzyły mnie piękne odrzwia marmurowe jednej z tych siedzib. Pewno pochodzicie ze świątyni, myślałem; służyłyście przed wiekami sławie bogów, upiększając ich przybytek, potem ległyście w prochu pod gruzem i ziemią, czekając całe stulecia, by stać się ozdobą nędznej chaty arabskiej.

A ta bryła marmurowa, która stanowi obecnie próg domostwa, była może kiedyś posągiem Baala, Molocha, Melkarta, Astarty. W zartartych liniach tego kawału marmuru dopatrywałem się kształtów potężnego tułowia. Po grzbiecie dawnego bóstwa, przed którym tłumy zgięły kolana, któremu co rok przynoszono całopalenie z dzieci najmniejszych rodziców, dziś wchodzi Arab do swej chaty; a władca świata, potęga nieujęta, leży w prochu uniżony i sponiewierany.

Smutna rzeczy kolej! Nawet bogowie nie mocni byli jej uniknąć, nawet nad nimi wisiał los nieubłagalny, który Grecy zwali koniecznością (ananke), a Rzymianie — przeznaczeniem (fatum).

Cóż dziwnego, że ludzie i dzieła ich nie zdołały wyłamać się z pod przejściowości i zmienności form, które w języku powszednim zowią się znikomością, zagładą!

Droga ciągnęła się wężykowato pod górę. Na spadku sąsiedniego wzgórza widziałem piękną willę kardynała de Lavigerie, otoczoną rozległym ogrodem z winnicami. Na tle zwalisk posepnych i pustkowiec okolicy wygląda ten ogród jak młodzian zapalony, który rwie się naprzód z wiarą w siebie, z ufnością, że praca i wytrwałość są w stanie przerobić nawet skamieniałą przyrodę. Dziwnie silnego wrażenia doznałem, patrząc na ten ogród, który zdał się wołać: Kartagino! dość ci już kirów żałobnych, dość łez wdowich i skarg sierocych! One nie odrodzą z gru-

zów twej przeszłości. Patrz, żelazem zbrzdowałem ziemię, zasiliłem ją sokami — i dziś wdzięczy się ona wesolą zielonością do błękitnego nieba; złączyłem rozproszone kamienie trwałym cementem — i wzniosły się one wieżami strzelistemi do góry, roztaczając pogodę dokoła; zebrałem z okolicy rozpierchłych ludzi, których toczył robak zniechęcenia — i czują się dziś szczęśliwymi, wyrwawszy się z bezczynności ospałej. Patrz, na miejscu martwoty budzi się życie, do którego należy przyszłość. Kartagino! dość ci już kirów, łez i skarg; do czynów wzywa cię życie!

Na szczycie góry zatrzymaliśmy się przed muzeum Ojców białych. Zapukałem do furty; otworzył ją braciszek w białym habicie, przypominającym płaszcz arabski i wpuścił do ogrodu. Pomiedzy pomnikami z kamienia, nagrobkami, posagami, odłamkami kolumn, płaskorzeźb i napisów, któremi zastawione są uliczki i ścieżki ogrodu, przedostałem się do budynku parterowego z krużgankiem arabskim. Drzwi wchodowe zdobią dwie płaskorzeźby, wyobrażające bogactwo i zwycięstwo. W trzech salach muzeum nagromadzono dużo wykopalisk kartagińskich z różnych czasów, począwszy od epoki założenia miasta aż do czasów Ludwika Ś-go, któremu poświęcono jedną salę na freski i pamiątki. Bogate zbiory monet złotych i srebrnych z przed Chrystusa, upiększeń kobiecych, wyrobów ze szkła, gliny, napisów na papierze ołowianym i t. p., stanowią najcenniejsze zabytki w tem muzeum. Bardzo dobrze zachowały się wyroby z metali szlachetnych: pierścienie, kolczyki, naszyjniki, pieniądze, pomimo dwudziestu kilku wieków, jakie przeleżały w ziemi, bo niektóre sięgają dziewiątego wieku przed Chrystusem. Może dlatego właśnie wytrwały tak długo, że skryła je ziemia i świętość grobowców przed nienasyconością ludzką. Bo dziwnem jest, że metal szlachetny wzbudza w człowieku najnieszlachetniejsze popędy.

Dwóch Ojców białych z długimi brodami, w białych szatach oprowadzali gości po sali, udzielając objaśnień.

— Przez kilka lat odkąd zaczęliśmy kopać — tłumaczył jeden z nich, — zebrało się to wszystko, co mamy w muzeum. Przed nami rabował każdy, kto żył; dlatego też niewiele zachowało się z przeszłości. Jednak przy ciągłych poszukiwaniach znajdujemy coraz nowe zabytki.

W ogrodzie stoi mała kapliczka pod wezwaniem Ś-go Ludwika; jest całkiem pusta i odgrywa rolę pomnika. Przed jej wejściem czołgał się żółw, mieszkaniec ogrodu. Patrzyłem nań, jak przesuwał się powoli pomiędzy kamieniami pamiątkowemi, zmierzając do kępki trawy. Wtem wysunęli się z poza kaplicy dwaj młodzi ludzie. Jeden z nich pospieszył do żółwia, zaczął potrącać go nogą i śmiał się, że zwierzę chowa głowę i łapy do skorupy; potem przewrócił żółwia na wznak i cieszył się, że nie może wrócić do swego naturalnego położenia. Nie dość było młodzikowi tego znęcania się nad zwierzęciem bezbronem; stanął mu na grzbiecie i mówił do towarzysza: patrz, co za twarda skorupa, nie pęka podemną, choć waży 200 funtów.

Gdybym nawet nie słyszał, że młodzik mówi po niemiecku, mową gardłową i nie widział jego berlińskiej twarzy, jeszcze poznałbym w nim kreaturę bismarkowską; bo Prusak czuje się wtedy dopiero naprawdę wielkim i potężnym, wtedy najwięcej rozprawia o swych zadaniach społecznych, gdy może deptać po karkach słabszych od siebie lub całkiem bezbronnych. Gdy niema Poznańczyka, lub Chińczyka, popisuje się swem junkierstwem przed żółwiem.

W otoczeniu pamiątek przeszłości, pogrzebanej w otchłani nicestwa, wyglądał mi Niemiec, przekonany o swej wielkości i sile, na zaślepińca jak ten, który uważa się za mocnego wskrzesić państwo Rzymskie.

W nastroju rozdrażnienia opuszczałem muzeum, podążając obok seminaryum Ojców białych do kościoła katedralnego. Wznosi się on na szczycie nagiej góry, skąd roztacza się rozległy widok na okolicę i morze. Gdyby nie małe krzyże nad kopułami, możnaby wziąć katedrę za meczet, tak dalece przypomina go ostrołukowemi liniami drzwi i okien, koronkową robotą gżemsów, okalających płaski dach i szczyty wież sześciennych nad ścianą wejściową. Małe, wąskie okienka, na trzech wysokościach ściany nadają jej oryginalny wygląd... A wewnątrz kościoła wypełnione kolumnadą arabską, ożywione iście wschodnią mozaiką barw na tle białych marmurów, wygląda bardzo efektownie dla Europejczyka i musi niewątpliwie olśnić Araba. Bo nie o co innego chodziło zdaje się, twórcom tej świątyni, niż o to, by Arab czuł się w niej jak w meczecie, nawet lepiej, niżli tam. Wyzyskano tu tak powszechną

ułomność ducha człowieczego, który zbyt często zapomina o istocie rzeczy, skupiwszy całą uwagę na stronie zewnętrznej.

Przez katedrę przeszedł szereg białych zakonników; uklękli przed ołtarzem, odmawiając modlitwy przedwieczorne. Prócz nich nie było w świątyni nikogo, kto szukałby łask i ukojenia; a jednak mogłoby tu pomieścić się kilka tysięcy ludzi. Tylu chrześcian nie liczy Kartagina i jej okolica. Taki budynek na wyrost przewiduje powiększenie ilości wiernych kosztem ludności mahometańskiej, która podobno garnie się chętnie do nowego kościoła.

— Są już nawet klerycy w seminarjum i księża z pośród Arabów — opowiadał mi woźnica, gdy zjeżdżaliśmy z góry — Za jakie kilkadziesiąt lat — przewidywał, — będą tu już sami chrześcianie.

— Skąd to przeświadczenie? — pytałem mówiącego. — Mahometanizm liczy już blisko 13 stuleci, styka się ciągle z chrześcijaństwem, a jednak nie ulega mu. Dlaczegoż miałby tu wygasnąć w tak krótkim czasie?

— Musi zginąć — zapewniał woźnica — bo nasza wiara jest najlepsza, my jesteśmy najwyżej uspołecznieni, mędrsi i bogatsi od nich, w naszych rękach jest władza w tym kraju.

I woźnica zaczął rozwodzić się nad zaletami Europejczyków z takim głębokim przekonaniem, że można byłoby przypuszczać, że po drugiej stronie morza Śródziemnego zaginęła już w ludziach nienasycona żądza władzy i posiadania — z nieprawem jej dziećmi: nienawiścią i okrucieństwem, i że zapanowała tam wreszcie miłość bliźniego, którą co dnia powtarzają miliony jako dewizę chrześcijaństwa... bezmyślnemi usty.

Czemu 19 wieków nie zdołało pojąć tej zasady? Czemu nie umiały one zbudować na niej swego życia?

Mijaliśmy wielkie rumowiska, w których od jednego spojrzenia domyśliłem się ruin cyrku rzymskiego. Przypominają one zupełnie Colloseum rozległością elipsy i budową poważną. Z dwóch pięter arkad zewnętrznych ocalały miejscami tylko pojedyncze filary, choć część budowy jest zachowana wcale dobrze. Wnętrze przedstawia obraz zniszczenia: olbrzymie głazy pospadały ze swych wyżyn i leżą bezładnie na arenie; klatki i przejścia dla dzikich zwierząt odsłoniły się wskutek za-

padnięcia sklepień; miejsca widzów ogołoczone z marmurów, po których pozostały tylko szczątki.

Po środku areny wznosi się kolumna na cześć męczenników, którzy wyzionęli tu ducha za swą wiarę.

Ze starcia się potęgi rzymskiej z gorliwością pierwszych wyznawców nowej idei cóż pozostało? — Rumowiska i gruzy, z budowli, które mogły przestać stulecia i kilka imion męczenników, obrońców idei, która miała trwać wiecznie.

Czy ta idea przeszła w życie?

Otoczyli mnie wyrostcy arabscy, oświadczając gotowość oprowadzenia po podziemiach cyrku i pokazania rozmaitych osobliwości. Znajdywali na poczekaniu monety starożytne, kamienie pamiątkowe, kawałki mozaik staroświeckich i t. d. Każdą taką osobliwość można było kupić bez targu za jedno su. Na szczęśliwca, który zdołał wyłudzić odmieńnię miedziaka za jakąś monetę, niepewnego pochodzenia, zwróciły się nienawistne spojrzenia jego towarzyszy; jak psy o kość gotowi byli szarpać się jednej chwili. Dzika natura człowieka, nieogłodzona przez dziwność wieków chrześcijaństwa i trzynastę stuleci mahometanizmu, wychodziła na jaw u tych wyrostków.

Więc na to tysiące męczenników przelewało krew w tym cyrku, na to noworodzące się idee obracały stary świat w rumowiska, na to fanatyczni wyznawcy z mieczem w rękę, a mędrzy ze słowem żywym i obliczem natchnionem wstępowali w świat barbarzyński, by po tylu wiekach nie zaginęły szpony i kły człowieka — zwierzęcia! Wszystko posiąść dla siebie, wydziedziczyć innych i podeptać tych, co ośmiela się kusić o posiadanie, zniszczyć i zrównać z ziemią, czego nie można rozszarpać — woła człowiek uspołeczniony, woła naród głoszący o wielkości i bożkości swoich wierzeń.

Wobec tych prastarych pamiątek życia zagasłego chciałoby się widzieć w człowieku istotę najszlachetniejszą, która wybacza przeszłości, bo ją rozumie i pracuje dla przyszłości, bo ją kocha.

A tu snują się szeregi czarnych wspomnień, obrazy krzywd i okrucieństw, prześladowań i uciemieżeń w imię hasła: posiąść, które rozbrzmiewa po całej kuli ziemskiej.

Z takimi myślami wracałem do Tunisu. Słońce zachodzące oświetlało przepięknie obłoki na widnokregu: przez ich potężne ciemne kadłuby nie zdołały przedrzeć się promienie; za to brzegi były ozłoczone szerokimi jaskrawymi wrębami, które przechodziły na zachodzie w bogate arabeski.

I w tych obłokach, potężnych bogactwem linii fantastycznych i barw, drgających życiem, rysowała mi wyobraźnia wielkość i siłę świata starożytnego: więc widziałem zamki i wieże obronne, pałace bogate, świątynie przepiękne, okręty olbrzymie... Widziałem jak stały nieruchome, poważne, dumne, przeświadczone o swej wiekoistości. I słyszałem głos Horacego, który mówił... będziecie trwać wiecznie „*dum Capitalium scandet cum tacita virgine Pontifex*“¹⁾

Ale po chwili zaczęły topnieć wręby złote, żywe barwy zaczęły zamierać i kadłub obłoków stał się siny; potem oblały go czerwone blaski jak płomienie pożogi; i widziałem jak ginęły w nich zamki, wieże, świątynie, okręty...

A potem cały zachód zatonął w świetle krwawem, które objęło wielkie przestrzenie pustkowia...

I zginęła potęga w pochodz i krwi...

I znowu brzmiały mi wiersze Horacego: „*Tu ne quaesieris, scire nefas, quem mihi, quem tibi finem dii dederint...*“ kończące się hasłem epikurejskiem: „*...Carpe diem, quam minime credula postero*“.

Pytasz daremno, jaki los
Czeka nas. Przyszłość przed tobą, przede mną
Skryta. Nie powie żaden głos
Jaką czas dolę zgotuje tajemną.
Lepiej obojętnie brać
Wszystko to, co Jowisz zseła w ofierze,
Czy w długie dni zechce dać
Jakie zło, czy życie dziś ci odbierze.
Porzuć nadzieję, życie zmień,
Spędzaj je w rozkoszy i przy winie,
Z chwili korzystaj: ucieka dzień!...
Przyszłość mnie nie nęci, nie!... Niech zginie!!

¹⁾ ...Póki kapłan z westalką będą wchodzić na Kapitol.

Wreszcie płomienie ogniste poczęły gasnąć, krew spłynęła do oceanu, cierpień i ciemności zapanowały nad opustoszałym przestworzem.

Z przeciwległej strony nieba wstał księżyc i spieszył ku zachodowi z zimną twarzą, uczonego archeologa, chcącego zbadać ruiny wielkiej przeszłości

— Więc nic nie pozostało z tej wielkiej Kartaginy prócz rumowisk i karty dziejowej! — rozmyślałem, — wjeżdżając w bramy Tunisu, I nic nie postąpiło uspołecznienie człowieka, choć zniszczył on świat, który zwał pogardliwie barbarzyńskim!

Tyle sił, tyle potu, tyle krwi, tyle ofiar — i wszystko nadarmo?!

VII.

Wczesnym rankiem opuszczałem białe mury Tunisu, udając się do Konstantyny. Chłód styczniowej nocy wyziębził ziemię, rozpaloną we dnie. Na dworcu było zupełnie pusto; ledwo paru podróżnych czekało na pociąg. Siadłem do wagonu. Posługacze wnieśli doń płaskie naczynia blaszane z wodą gorącą, która miała ogrzać przestrzeń przedziału. Ten pierwotny sposób ogrzewania, stosowany z powodzeniem na całym południu Europy, nie działał jakoś skutecznie na wybrzeżu Afryki; i bynajmniej nie dlatego, by zasady kalorymetryczne, wynalezione przez Europejczyków, nie miały obowiązywać i innych części świata, lecz dla prostej przyczyny, że przez liczne szpary w wagonie napływało do niego powietrze zewnętrzne.

Byłem sam. W sąsiednich przedziałach znajdowało się paru Arabów i Żydów, którzy zabrali się zaraz po zajęciu miejsc do snu. I mnie pociągał chłód i znużenie do oderwania się od wrażeń; lecz myśl, że nie wybiorę się już chyba nigdy poraz drugi w te okolice, wzięła górę; do-

brze choć z okien wagonu zobaczyć mały pasek części świata, która od najdawniejszych czasów pociągała Greków, Rzymian, Fenicjan, Żydów, którą badały całe pokolenia uczonych, podróżników, a pomimo to pozostała do chwili obecnej niepoznana, pełną tajemniczości. Więc patrzyłem na niknące minarety i kopuły Tunisu, na przesuwające się wzgórza, rozrzucone po nagiej ziemi, na niebo z gasnącemi już gwiazdami, choć ziemia tonęła jeszcze w cieniach. Ciszę dokoła przerywał tylko miarowy oddech lokomotywy i jednostajny stuk wagonów.

Na wschodzie ukazały się różowe obłoczki, zwiastujące, że rydwan króla słońca wynurzy się niebawem z za gór i mórz. Za nimi biegli paziowie—małe chmurki—odziani w pasy, szkarłaty i fiolety, a potem—świta w zbrojach złocistych, od której blasku zażółciły się obszary piaszczyste jak gdyby łany zbóż. I wreszcie zajaśniały srebrem grzywy białych rumaków, przystrojonych w złote uprząże: z pod widnokregu wyniósł się pan dnia,—wróg nocy, twórca życia — zwycięzca śmierci. Posuwał się powoli, poważnie po dobrze znanej sobie drodze i okiem opiekunki troskliwej objął wszystko, od wzgórza wyniesłego do trawki nikłej. Więc cała przyroda witała swego władcę: pierwsze góry złożyły mu pokłon głęboki i zasłoniły kwefem czarnych cieni skromne oblicza dolin; za nimi ptaki wzbijały się szybkim skrzydłem w przestworza, by zanucić mu hymn dziękczynny; potem listki i trawki zwracały się doń wdzięcznem obliczem zieleni i, mrugając filuternie kropelkami rosy, prosiły, by mogły zachować je przez dzień cały. Ostatni witał słońce człowiek: patrzył ku wschodowi ze zdziwieniem i jakby z wymówką, że słońce zbyt pośpieszyło na widnokregi. I po co? By dłużej był świadomym, że nicestwem jest wszystko na co patrzy, co robi, do czego dąży? I Kabył, przetarłszy półsenne oczy, poganiał osła, sprzężonego z krową, by ciągnęły sochę; a Beduin kroczył powoli przy wielbłądzie, który, kołysząc się, dźwigał rodzinę jego i towary i podążał za innemi, ginącemi za wzgórzem na szlaku drogi wydeptanej.

Słońce wzniosło się ponad szczyty gór najwyższych i reszta cieni rozpierschła się przed jego promieniami. Widziałem wtedy, że ziemia bieleje wydmą piasków, które zatopiły okolice w martwym morzu ziarn bezpłodnych. Każde takie ziarnko uważa siebie za świat samoistny, nie-

zależny; nie pociąga go sąsiednia kruszyna, do której jest całkiem podobny, nie łączy go nie z najbliższem rodzeństwem prócz bezwładu. To też byle wietrzyk gna te bryłki piaskowe z jednego miejsca na drugie i każe im być tułaczami wiecznemi, że nie ukochały nic w życiu, że nie zjednoczyły się spójnią serdeczną.

— Możeście wszystkie przyciągnęły tutaj poprzez łańcuchy podwójne Atlasu — myślałem — z martwej Sahary i zjałowiły powodzią bezpłodności ziemię rodzajną?

Lecz oto zaczęły ukazywać się pojedyncze kaktusy, palmy, mirty, wawrzyny, dęby, potem gromadziły się w gaje, potem widziałem całe ich lasy. Zamiast przestrzeni piaszczystych zjawily się zielone łąny przynicy, kukurydzy, sorgo, ogrody figowe, migdałowe, pomarańczowe, cytrynowe. Wartkie strumienie płynęły wesoło ku północy. Krajobraz zmienił się do niepoznania: byliśmy w urodzajnym pasie „Tell,“ który zajmuje podgórze małego Atlasu do brzegów morza.

Po chłodzie poranka zaczęła się piekota, chociaż daleko jeszcze było słońcu do zenitu drogi dziennej. Skryłem się w cieniu wagonu; lecz niebawem zajrzały tam promienie słoneczne, potem znów znikły, by ukazać się za chwilę; bo pociąg biegł po linii wężykowej z wschodu na zachód, wymijając wzgórki, pasma i łańcuchy wyniosłości, które ciągnęły się po obu stronach. Czasami przejeżdżaliśmy przez las dębu wiecznie zielonego, skąd powiewało świeżością ozywczą; chwilami przebiegaliśmy tunel, w którego ciemności świeciła lampka wagonu światłem beznadziejnem; wtedy łoskot pociągu, powtarzany tysięcznem echem, zdawał się głosem w jakichś rozległych podziemiach. Coraz częściej pogrążaliśmy się w tę ciemność, czasem na kilkanaście minut.

Dojechaliśmy do pogranicza Tunisu. Wyniesiono moje rzeczy na komorę i zajęto się nielitościwem ich przetrząsaniem.

— Z jakiej racji jest tu komora? — pytałem celnika i przecież Tunis jest pod protektoratem Francji, a Konstantyna — jej kolonija.

— Właśnie dla tego, — odparł zagadniony, — nie można przecież krzywdzić swej własnej kolonii dla tego, że ma się trochę władzy i poza nią.

— Bardzo słuszne urządzenie—myślałem:—jedno niech płaci, bo jest kolonią, drugie niech płaci, bo jest pod protektoratem; — no i basta. A ty, podróżniku, jeżeli wiesziesz cokolwiek w walizce, co razi oczy celników, zostaw to im lepiej na pamiątkę, bo przekniesz chwilę, gdyś dał skusić się na kupno.

Jechaliśmy po płaskowzgórzu. Na południu rysował się na widnokregu łańcuch Wysokiego Atlasu, na północ ciągnął się Atlas niski. Pas ten, wzniesiony 800 do 1,000 metrów nad poziom morza, przedstawia step rozległy, ciągnący się równolegle do pasa nadbrzeżnego ziemi rodzajnej (Tell) na całej przestrzeni Tunisu i Algierii. Południowy spadek wysokiego Atlasu stanowi początek Sahary.

Znowu zaczęły szeregować się wzgórza i doliny, strumyki i małe jeziora, łąki, pola, lasy i wydmy, wąwozy i tunele. Wreszcie wzrok znieczulał na te obrazy, podobnie jak słuch na łoskot pociągu. Tylko odczuwanie gorąca, zwiększającego się coraz bardziej wskutek napływu podróżnych, wypełniało świadomość.

Słońce zbliżało się do zachodu. Długie cienie gór pełzły szybko po powierzchni ziemi, rade pochwyć ją w swój ucisk na noc całą. Chwilami góra zasłaniała plecami tarczę słoneczną, mówiąc: przecież nie jestem mała, jeżeli mogę zaćmić takiego olbrzyma — a zarysy jej promieniały radośnie jaskrawymi blaski. Trwało to krótko; znów ciemność i chłód ogarnęły ziemię, choć niebo jaśniało jeszcze płowym lazurem, ozdobione, jak młoda dziewczyna, złotymi, różowymi i czerwonymi wstęgami obłoczków. Prędko zbladły te barwy, a błękit nieba stał się ciemny. Na nim połyskiwały brylanty migocące gwiazd, w które strojna dama-noc przybiera się co wieczór. Co chwila przybywały nowe świecidła: więc dyadem z wielkich kamieni, to spinka, nausznik, bransolety połyskujące, a w końcu naszyjnik z pereł, który olbrzymią wstęgą drogi mlecznej złączył dwa krańce nieba.

Noc była piękna, lecz zimna, jak kobieta strojna w brylanty.

Z nad widnokregu dźwigał się wóz Dawidowy; był jakiś niezmiernie wielki, włókł się pomału, jak gdyby wioził wielkie ciężary, może podarki dla pięknej nocy. Tylniem kołem ugrzązł za górami i nie mógł go wyciągnąć. Jedna z planet, zdaje się Jowisz, patrząc na to

nieszczęście, śmiała się z Wozu do rozpuku i świeciła mu w oczy jak olbrzymia latarnia.

Koło północy przybyłem do Konstantyny znużony czterystu kilometrami drogi. To też z prawdziwą rozkoszą powierzyłem łożu hotelowemu zmęczone ciało.

VIII.

Jeszcze przed wschodem słońca budziła mnie kilkakrotnie głucho wrzawa, która dochodziła z pod okien, przerywana chwilami przez głośnie okrzyki i kłótnie. Gdy rozwidniało, ujrzałem, że okna sypialni wychodzą na rynek i halle targowe. Snuły się tam tłumy, zajęte sprzedażą i kupnem. W mozaice różnych barw przeważał kolor biały burnusów, płaszczów i zawojów.

Była niedziela, z którą współcześnie wypadalo święto arabskie. To też Konstantyna miała od rana wygląd uroczysty. Tłumy strojne Europejczyków, Berberów i Arabów snuły się po ulicach, dążąc do świątyń i za miasto.

Na placu rynkowym wznosi się kilka ważniejszych budowli, między innymi teatr; ztąd też zaczynają się trzy główne ulice dzielnicy Europejskiej, rozchodzące się pod kątem ostrym. Po za teatrem plac przechodzi spadkiem łagodnym w dolinkę, w której leży niewielki ogród miejski.

Na głównej ulicy znajduje się kościół, przerobiony z meczetu; nowa wieża, która go upiększa, nie odpowiada stylowi arabskiemu budowli. Wnętrze o siedmiu nawach, stworzonych przez piękną kolumnadę, jest bardzo ciemne; świece i lampy iskrzą się, jak robaczki świętojańskie.

Szybko poznano we mnie przyjeźdnego; to też na każdym kroku zaczepiali mnie Arabi i Europejczycy, oświadczając się z chęcią poka-

zania różnych osobliwości miasta, sprzedania przedmiotów pamiątkowych i t. d.

Domy dzielnicy Europejskiej nie zdradzają zamiłowania i potrzeb estetycznych, natomiast często rażą brakiem porządku; nieznac, by Europejczycy byli tu zupełnie ustaleni, by ich wiązało coś naprawdę z tem miastem. Bo też są to w znacznej części tylko urzędnicy na posadach i wojskowi.

Idąc za wskazówkami małego planu i przewodnika po mieście, minąłem ogromne koszary, w których kręcili się turkosi w barwnych strojach i dotarłem do wąwozu, utworzonego między dwoma prawie prostopadłymi skałami. Malowniczo wygląda z góry ta rozpadlina, mająca paręset metrów głębokości i zaledwo kilkadziesiąt szerokości. Na przeciwległej stronie wznosi się nad samą przepaścią kilka budowli murowanych, które patrzą okiem obojętnem na głębię, ciągnącą je do siebie. Skała, porysowana wrębami, szczelinami i uwarstwieniami, razi w wielu miejscach ceglastą czerwonością, gdzieindziej przechodzi przez różne odcienia żółte, siwe, lub zieleni się mchami i trawami, które czepiły się dzikiego kamienia.

Widok wzdłuż parowu zmienia się co chwila, bo skały zbliżają się niekiedy bardzo znacznie, tak, że rozpadlina mierzy zaledwo parę dziesiątków metrów; gdzieindziej skała stercząca do wnętrza, zakrywa widok i pograża dno parowu w cieniach; to znowu zjawia się rozszerzenie o łagodnym spadku, po którym możnaby na upartego spuścić się do dołu.

Z pod ziemi dochodzi jakiś głuchy głos, jak gdyby wrzenie w olbrzymim garnku; zwłaszcza w jednym miejscu słychać to wrzenie bardzo wyraźnie, tak dalece, że poznaje się plusk wody.

-- Co to takiego? — rozglądam się zdziwiony.

W głębi parowu na tle bujnej zieleni widnieje kilka ciemnych plam eliptycznych o wyźebionych zarysach: to wielkie otwory, prowadzące do pieczar, przez które przepływa pod ziemią rzeka Rumel.

Wszystko, com czytał i słyszał o tym dziwotworze natury, skłoniło do wzięcia pierwszego lepszego przewodnika, który nawinął się teraz, by

przejsć t. zw. drogę turystów, ciągnącą się szlakiem parowiorstwowym poprzez pieczary nad falami i wodospadami Rumla.

Młody Arab prowadził po tarasach i schodach, wyrąbanych na pochyłości skały do dna parowu. Słońce nie zdołało jeszcze przeniknąć doń, choć była już jedenasta przed południem; to też owiała nas świeżość i chłód po spiekocie w mieście, a bujna roślinność dzieliła się z nami swą obfitą rosą. Przeszliśmy pod mostem żelaznym, wiszącym w postaci olbrzymiego łuku nad przepaścią, której uchwycił się z obu stron i złączył potęgą sztuki, co rozdzieliła przyroda. Po schodach, wykutych w skale i nowych tarasach, prowadzi droga jeszcze niżej do wielkiej pieczary. Rozproszone promienie, wpadające przez niewielki otwór w jej sklepieniu, wypełniły część górnego odcinka takim blaskiem, że chwilami zdawało się, że tam na wysokości czterdziestu metrów leży śnieg. Wnętrze pieczary było nawpół ciemne; tylko od przeciwległej ściany odbijało się nieco promieni, nadając jej blasków srebrzystych. A dno białało kropelkami wód Rumla, który pędził na oślep, spadając ze skał i rozbijając się o liczne głazy i kamienie. W sklepionej przestrzeni słyhać było zda się plusk każdej kropelki, uderzenie każdej fali, które rozbrzmiewały harmonijnymi dźwiękami setek instrumentów. Szum wody ciągnął staccato monotonne:

Z ponurych gór
I dzikich skał
Goni nas szal
Hen... w morza dół.

Słuchając tej pieśni od wieków, rozstały się skały olbrzymie, by nie tamować porywów młodzieńczych strumyka, który w zapale niepowstrzymalnym odrywał bryły kamienne i, rzuciwszy je bezwładne w swe nurty, szydził z potęgi nieruchomej, którą zwalczała potęga czynu.

Weszliśmy na dróżkę wykutą w skale i oddzieloną od wód Rumla ogrodzeniem metalowem. Pył wodny wypełniał powietrze; na ścianach pieczary skropił się on, jak gdyby skała oblała się zimnym potem stra-

chu. Bo też było czego obawiać się, patrząc na wody, które pędziły na-
oślep, pieniać się w gniewie, że może kto stawiać im przeszkodę.

Droga turystów wiedzie z jednej pieczary do innej, ciągnąc się
w postaci pasemka, przylegającego do ścian i ginącego gdzieś w oddali
w cieniach. Co chwila zmieniały się obrazy i widoki, bo coraz inne
otwory w sklepieniach przepuszczają promienie słoneczne, coraz innych
kształtów bryły kamienne leżą w toniach rzeki, coraz inaczej płyną
i spadają jej wody. Oto weszliśmy do pieczary, której sklepienie zapa-
dło się. Był to ten wielki otwór, który widziałem z góry w postaci pla-
my ciemnej o wyzębionych zarysach. Prawdziwa ulewa promieni ską-
pała nas w swem cieple i świetle. Po ciemności i chłodzie odurza ta
nagła zmiana. I Rumel zdał się nią odurzony; biegł powolnie, rozlał
się szerszą strugą, nie pieniał się, lecz wpatrywał lustrem wód w błękit
nieba i rośliny na skraju parowu, chłonał kryształem toni ciepło i świa-
tło i szeptał:

Po ciężkiej pracy
Szukam wytchnienia
I zapomnienia.
Żywot tułaczy
Jeszcze przedemną
Droga się znaczy
Zimną i ciemną.

Więc się tu poję
Słońca promieniem,
Malują ziemię
Zwierciadła moje.
— W drogę daleką
Za mną uciekają
Czuć tęsknych roje.

I pieczara spoglądała pogodnem obliczem: jej ściany, choć po-
marszczone, jak twarz staruszki, jaśniały wdziękiem i spokojem.

Mimowoli przechodzień wstrzyma się w tem miejscu, bo przyku-
wa go jakiś urok; zda mu się, że błędził długo, długo w ciemnościach
i że tu czeka go ukojenie.

Posuwaliśmy się dalej przez szereg pieczar ciemnych i jasnych
naprzemian; rozwierały one gościnnie swe wrota ostrołukowe i zapra-
szały pod sklepienia, które z wysokości kilkudziesięciu metrów patrzyły
na mizerną kruszynę — człowieka. Jeden kamyk, który spadnie z tej
wysokości, gotów zmiażdżyć to nikłe stworzenie, którego kres istnienia
mierzy się kilkoma dziesiątkami lat.

— Istniejemy tysiące wieków — mówiły pieczary, — byłyśmy przed czterema tysiącami lat schronieniem dla Getulów, uciekających przed Armeńczykami; Medowie i Persi szukali w nas zasłony; pomną nas Kartagińczycy, Rzymianie itd. Wszyscy oni przeminęli; i chwała przebrzmiała, twory ich rąk zginęły, olbrzymie budowle leżą w gruzach... A wiesz dla czego? — Bo kruszyną jest człowiek i twory jego są kruszyną.

Słuchałem tej nauki pieczar w milczeniu. Mówiły prawdę. Tak; czułem się marnym tworem wobec tych wielkich arcydzieł przyrody, istotą, która, jak miliony podobnych, bez śladu przejdzie przez wiek i zginie bez śladu. A jednak nie chciały być głazem, ni skałą, choćby wieki miały pisać na nich dzieje! Przeraza mnie ich oziębłość i chłód, jak gdyby obcem im było wszystko do koła, jak gdyby nie nie kochały.

Czyż nie tak? Na tych skałach pękały czaszki, gruchotały się kości niewolników, jeńców, zwyciężonych; krew ofiar zlewała kamienie i barwiła wody Rumla. Tu ginęli ludzie, dla których życie było brzemieniem nad siły... Ani śladu po nich na tych głazach! Stoją nieme, bezduszne, nielitośne — tylko dumne swoją wielkością...

Wszak ja, kruszyną marna, mam czoło pokryte brózdami; każda z nich — to dzieje mego ducha; tam są:

„...Myśli moje—gwiazdy moje!
Czucia moje—wichry moje!
W pośrodku was, jak ojciec wśród rodziny stoje!
Wy wszystkie moje!..“

Wy, głazy, nie pojmujecie w waszej martwocie, co znaczy życie ducha. A ja za jedno wrażenie oddałbym wiek waszego istnienia, za jedną myśl — dałbym całe tysiąclecie, za jedno uczucie — wieczność.

Tak; jestem kruszyną, lecz w mej małości czuję się większym nad was, skały potężne, bo jestem mocen objąć duchem „świat cały od końca do końca.“

One pojęły moje myśli i — patrzyły na mnie twarzą pobłażliwą wychowawcy doświadczonego. Nie straszyły mnie gniewnie hukami i łoskotem, ani karały razami kamieni spadających; lecz spoglądały do brotliwym uśmiechem pomarszczonego oblicza, jak gdyby chcąc powiedzieć: dzieckiem jesteś; nie umiesz wznieść się ponad swój mały światek, w którym dla ciebie wszystko zaczyna się i kończy; może lepiej z tem tobie, bo, kruszyno, zginąłbyś marnie w przestworzach, do których skrzydła twe zamałe, pierś za słaba; a szkodaby cię było. Może kiedyś dowiesz się, że twe wrażenia i uczucia są nicestwem, że twa myśl jest pęcherzem nadętym, który płynie po powierzchni wód w mniemaniu, że wzbił się nad poziomy. Daremnie chcesz w bliznach na naszej piersi szukać śladów zagłady twego małego świata; bo w tych bliznach spisane nasze, a nie twoje dzieje.

Słuchałem opowieści skał. Mówiły o swych narodzinach; matka ziemia wiła się w strasznych bólach, które szarpały jej wnętrzności. Z ran lała się lawa jak krew, a łono ziało ogniem. Całem ciałem trząsł straszny dreszcz, od którego potworzyły się szczeliny — nowe rany, a powietrze wzburzone niosło nawałnicę z chmur. I trwało to długo, strasznie długo. Tysiące razy obiegła ziemia w koło rodzica swego — słońca, zanim ucichły burze w jej łonie: ustały jęki, wyschły łyzy i rany pokryły się bliznami; a wtedy przysły potoki wód i szarpały ledwo zabliźnione ciało. Przez najmniejsze szczeliny przesiąkały one do głębin i pruły je nielitośnie, wymywały trwałe pokłady, przobrażały istotę skał¹⁾.

Każda kropla dżdżu, spadająca po naszej piersi, każda fala morza, uderzająca o brzeg, każdy strumyk, biegnący po nas w podskokach wesołych, niszczą nasze ciało, złością zmarszczki wieku na naszym obliczu.

— A czy wiesz, do czego to prowadzi? — pytały skały.

Myśmy zmieniły się: zapały nasze ostygły, że zwiesz nas bezdusznymi; ciało nasze skruszało — że opadają z nas kamienie i głązy; — lecz najwięcej ucierpiałeś ty i twój świat, który, zarozumiałcze, zwiesz

¹⁾ Wietrzenie skał polega na wypchnięciu kwasu krzemnego (stanowiącego ważną część składową skały) przez kwas węglany rozpuszczony w wodzie.

ożywionym, przeciwstawiając go nam — światu martwemu. Zginiesz wraz z nim bezpowrotnie! ¹⁾).

Zasłuchałem się w tę opowieść i groźby skał; a gdy ucichły, zabrzmiały mi słowa wieszczka:

...„Czem jest me czucie?
Ach, iskrą tylko
Czem jest me życie?
Ach, jedną chwilką...“

Szliśmy dalej. Wązki pomost z desek, wiszący na prętach żelaznych nad nurtami Rumla, ciągnął się wstęgą parowiorstową, przytulony do skał, szukając przy nich osłony. Podziwu godną jest ta droga turystów, stworzona przez inżyniera Rémès'a: zawiesić na skale pionowej, wysokiej na sto kilkadziesiąt metrów pomost na przestrzeni paru wiorst nad wartkim strumieniem o wielkim spadku i dnie kamiennym — na to trzeba wielkiej rzutkości i odwagi. Dopóki drogę można było wykuć w skale, trudności były stosunkowo łatwe do pokonania; lecz ogromną przestrzeń stanowią skały gładkie i prostopadłe.

Minałem szereg pieczar i dostałem się do wąwozu, który ciągnie się krętą linią, jak ulica arabska. Skały z licznymi wrębami i wyraźną warstwowością, grożą, zdaje się, lada chwila oberwaniem bryły kamiennej, jakich masa leży w wodach Rumla. W szczelinach i wrębach skał zbudowały sobie gołębie gniazda, dokąd zlatują się całymi stadami, jak na placu Ś-go Marka. Są tu bezpieczne, bo do przepaści nie zbliży się człowiek i zwierz drapieżny, a od strony rzeki nikt ich nie dosięgnie. To też swoboda i wesołość rozbrzmiewa w siedzibach skrzydlatych mieszkańców skał.

¹⁾ Kwas węglowy, stanowiący podstawę życia organicznego (roślinnego i zwierzęcego), wstępuje przy wietrzeniu skał w związki z zasadami krzemianów; przez to zasób materiału do budowy ciał organicznych zmniejsza się i z biegiem czasu wyczerpie się zupełnie. Wiele wygaśnie życie organiczne na naszej planecie.

W dalszym przebiegu parów staje się coraz płytszym i bardziej rozwartym; gdzieniegdzie ściany jego są pochyłe o tyle, że można wdrapać się na nie. Tu kończy się część północna Drogi turystów.

Napatrzywszy się do syta widoków, wracałem po tym samym pomoście przeciw biegowi Rumla. Mijałem parów, pieczary, grotty i dotarłem do wyjścia. Jest to jednak ledwo połowa Drogi turystów, która ciągnie się ku południowi długim szlakiem. Nie ma tu już pieczar, lecz za to skały są wyższe i bardziej pionowe. W kilku miejscach Rumel tworzy znaczniejsze wodospady; gdzieniegdzie małe źródło sączy po ścianach parowu sznurem pereł krople migocące, lub spada deszczem kryształowym z wystającego głazu wprost do rzeki.

Doszliśmy do końca drogi, gdzie ujęto w zbiorniki kilka źródeł gorących i zimnych i urządzono w nich kąpiele. Jeszcze nie zdołałem rozejrzeć się tu, a mój młody przewodnik pływał już w jednym zbiorniku i zachęcał mnie do współki z Arabem kąpielowym, bym także spróbował tej rozkoszy. Choćby dla samej oryginalności na kąpanie się w styczniu pod gołym niebem w miejscu uroczem, w wodzie ze źródła gorącego można było dać namówić się; lecz po szeregu głębokich wrażeń estetycznych byłoby w tem zadowoleniu zmysłowem tyle prozy, że nie mogłem zdobyć się na ten krok, tembardziej, że co chwila było coś godnego widzenia. Oto kamień, który omywały wody rzeki, wyglądał, jak wielki krzak koralowy, inny — jak olbrzymi szkielet gąbki, lub jak zbity mech o barwie białej. Dno rzeki zdawało się bardzo blisko, pomimo dużej głębokości w niektórych miejscach. Tu woda była przezroczysta, że widać było wszystko w toniach; o krok dalej wody wspienione olśniewały białością, za którą kryły się tajemniczo nurty, jak oblicza Arabki za kwefem.

Po paru godzinach rozkoszowania się tworam i przyrody, do których sztuka otworzyła na oścież wrota, zęgnąłem się z Drogą turystów. Szliśmy po ścieżce, wykutej w skale: ja z pełną głową obrazów wspaniałych, w nastroju zachwyty, mój przewodnik w usposobieniu wesołym, że zarobił kilka su i wykapał się na mój rachunek. Stopniowo wychylały się nad poziomem domy mieszkalne, warsztaty, fabryki; wi-

działem ludzi, uwijających się nad brzegiem urwiska, dzieci, bawiące się na głazach, zachodzących do przepaści. Ludzie zrosli się z temi niebezpieczeństwami, które mnie obcemu zdawały się mieczem Damoklesa, mogącym spaść lada chwila na głowę.

— Nie zdarzają się teraz przypadki z ludźmi w tym parowie? — pytałem mego Arabczyka.

— Owszem — odrzekł — nawet niezbyt rzadko.

— Czemuż więc nie zabezpieczą się mieszkańcy przy pomocy płotów; czemu pozwalają dzieciom bez dozoru zbliżać się do przepaści?

— E, komuby to chciało się wyrzucać pieniądze na ogrodzenia — prawil mój mały przewodnik — bieda u nas wielka, często brak chleba. Co za nieszczęście, że tam jaki bęben lub pijaczyna spadnie na łeb?! Gdyby nawet połowa mieszkańców Konstantyny potrzaskała sobie czaszki na głazach Rumla, to nie wielkie stałoby się nieszczęście, bo reszcie byłoby zaraz łatwiej zarobić na chleb i żyć.

Nie dziwiłem się tym zapatrywaniom dwunastoletniego wyrostka. Nie sędzę, żeby zaczerpnął je od jednego z naszych pisarzy i dziennikarzy, choćby dlatego, że nie wie nic nie tylko o polskiem piśmiennictwie, ale wogóle o Europie. Bo i skąd miałby wiedzieć, że bogactwo społeczne wyraża się w ilości głów i rąk, zdolnych do pracy, a nie w ilości zapasów, przeznaczonych do spożycia. Przecież ów pisarz, pouczający tłumy, również nie wie o tem.

Chcąc z parowu udać się do miasta, trzeba było przejść przez most. Nie trzeba mieć obawy przestrzeni, by nie módz przejść po tym moście, mierzącym zaledwo kilkadziesiąt metrów. Wsparłszy się na lekkim sklepieniu, przerzucił się on na brzegi parowu, który wygląda z góry jak przepaść bezdenna. Wpobliżu znajdują się szczątki dawnego rzymskiego mostu z kamienia; usunął się on skromnie z drogi przed lekkimi wiązaniami żelaznymi, jak wiek kamienny przed wiekiem brązu, i jakby zawstydzony spogląda na wielkie głazy, które można było zastąpić przez lekkie spojenie z trwałego kruszcu.

Do domu wracałem przez tak zwane Bulwary. Zajmują one brzeg skały, spadającej tarasami do doliny. Miasto, zbudowane na tej skale,

jest naturalną fortecą, która przeszła setkę oblężeń, sto razy odpierała różnych najezdników.

Na bulwarach było dość pusto; za to na placu przed teatrem snuły się tłumy prawie wyłącznie Europejczyków, bo Muzułmanie o tej porze oddają się drzemce poobiedniej. W klimacie, w którym w połowie stycznia ciepłota dochodzi w godzinach południowych do 25° R., staje się taki tryb życia koniecznością. Tak przynajmniej patrzyłem na tę sprawę, będąc porządnie zmęczony kilkogodzinną przechadzką. Gdyby nie czas ograniczony, jaki miałem na Konstantynę, byłbym chętnie sprawdził, czy porządek dnia arabski jest mądrze obmyślany. Jednak dla braku czasu wypadło połączyć wypoczynek z posiłkiem.

IX.

Ucieszyła mnie wiadomość, że można zwiedzić meczet; w Tunisie nie mogło być o tem mowy, bo Muzułmanie przestrzegają ściśle przepisu, by nie puszcać niewiernych do swych świątyń.

Na rubieży dzielnicy Europejskiej i Arabskiej wznosi się jeden z większych meczetów, wyglądający zewnątrz dość skromnie. Odźwierny ubrał mnie w sandały, — bo w obuwiu nie wolno wchodzić do świątyni, — i prowadził przez ciemnawe kurytarze, dziedziniec wewnętrzny, opasany podsieniami. Znajdują się tu zbiorniki do obmywań (haram), które odbywają Muzułmanie przed przestąpieniem progów świątyni. W ciemnym jej wnętrzu, niezbyt obszernem, przedzielonem sześcioma rzędami kolumn, rozgościł się chłód i wilgoć. Z niskiego płaskiego pułapu zwieszają się liczne świeczniki, które podczas nabożeństwa mają rozpędzić tę przygnębiającą ciemność. W ścianie tylnej znajduje się wgłębienie w rodzaju ołtarza, pośrodku zaś wzniesienie na słupach (mahsil), skąd odbywa się czy-

tanie Koranu. Kilkunastu Arabów siedziało na dywanach i, kiwając się, wystawiali Allaha półgłosem. Przesunąłem się pomiędzy pobożnymi; żaden nie podniósł na mnie oczu i nie przerwał modlitwy. Żałuję, że nie mogłem uczestniczyć podczas spełniania obrzędów religijnych; ma tam panować głębokie zatopienie w modlitwie, po za którą Muzułmanin nie widzi, nie słyszy, nie czuje nic w świątyni.

— Jak inaczej dzieje się w naszych kościołach!

— Bardzo ubogi ten wasz [meczeta, — mówiłem do odzwiernego, gdy weszliśmy do krużganka.

— Kiedyś były w Konstantynie piękne i bogate meczety — odparł zagadniony, — lecz w czasach wojennych poszły w gruzy. Jeden z piękniejszych przerobili zdobywcy na kościół. Lecz my jeszcze z czasem zbudujemy piękny i bogaty meczeta!.. Allah jest wielki i potężny.

I poznawszy z łatwością z mej wymowy, że nie jestem Francuzem, ciągnął dalej urywanemi zdaniem: — czy to jeden wiek, jeden naród niszczyli Konstantynę. Czy to raz była ona zwyciężona, a jednak rzucała jarzmo. Allah jest wielki i potężny!..

Arab dał ujście swym uczuciom patryotycznym, a potem patrzył na mnie wylękniony, czy nie powiedział zawiele. Zdejmował mi sandały z nóg, odbierał kilka su napiwka i patrzył wciąż w oczy, jak gdyby czekając odpowiedzi.

Cóż miałem mu powiedzieć? Pewno historyk i polityk wytknąłby Konstantynie niezgodę z Algierją i Tuniszem, walki wewnętrzne, rewolucye pałacowe, brak ładu wśród obywateli, chciwość, żądze władzy; gdyby był stronnym — to oplwałby to państewko mianem głupców bezrządnych i zakończył nauką moralną: przyszła pokuta za grzechy.

Ja zaś życzyłem Arabowi, by Allah pozwolił Konstantynie stać się państwem potężnem.

I Arab wiódł za mną wdzięcznemi oczami.

Po schodach kamiennych, tworzących wąską uliczkę, opuściłem się do dzielnicy muzułmańskiej, która leży na łagodnym spadku skały. Zaczął się szereg małych domków białych, bez okien lub z nielicznymi otworami, zasłoniętymi szczelnie. Linia uliczek i zaułków wije się ła-

mie i przecina, podnosi się, i opuszcza po schodach. Na szerokiej ulicy, na której mogłyby wyminąć się dwa wozy, było rojno od przekupniów i kupujących.

Mężczyźni odziewają się w białe płaszcze, zarzucone fantazyjnie na ramiona i białe zawoje. Kobiety mają niekiedy odsłonięte twarze, a po większej części tylko zasłaniają się poniżej oczu kwefem białym; czoła mają tatuowane farbą błękitną, palce barwią koszenillą, a paznogie i brwi pociągają jakąś czarną masą; odzienie ich składa się z długich płaszczy alpagowych, chust na głowie i pantofli safianowych. Ludność ta jest berberyjskiego pochodzenia; zowią się Kabyłami, są mieszkańcami Afryki z czasów poprzedzających najazdy arabskie; zachowali po części własną mowę i żyją z Arabami w niezgodzie, za to łatwo poddają się wpływowi francuzkim.

Z 48,500 mieszkańców w Konstantynie wypada na Francuzów 12¹/₂ tysiąca, na Żydów 3 tysiące, a reszta na ludność muzułmańską, która, podług zwyczaju, ciśnie się w swej dzielnicy, jak gdyby po za nią nie było miejsca na małe domki. Ta ciasnota ma podobno na względzie wytworzenie większej ilości cienia w upały.

Po półgodzinnej wędrówce wydobyłem się z ciasnych uliczek na wielki plac, gdzie były składy węgla, stragany z owocami, przekupnie z używanem ubraniem i t. d. Przy różnorodności tych przedmiotów targu pod gołym niebem, gdzie komu podobało się rozłożyć kram, całość przedstawiała się malowniczo, zwłaszcza z bulwaru przyległego.

Po drugiej stronie bulwaru widnieje ogród spacerowy. Ulica przecina go wpoprzek. W jednej części zebrano trochę pamiątek starożytnych z kamienia; są to nagrobki, rzeźby z czasów Kartagieńskich i Rzymskich. Stoją one bez wszelkiej osłony na powietrzu, którego wpływ ujemny widać na nich; mogą jednak uważać się za wybranki losu, bo przecież właśnie w Konstantynie poniszczono masę zabytków przeszłości nawet w ostatnich dziesiątkach lat.

Ogród przedstawia się dość ubogo i co do rozległości i co do za-
drzewienia, pomimo żyzności dolinki, która zda się prosić o zasadzenie roślin. Widocznie mieszkańcy miasta nie odczuwają potrzeby wyciągania korzyści przez zbliżenie się do świata roślinnego.

Nie mając dokąd schronić się przed siekotą, uciekłem do cukierni pod werandę. Na placu snuły się tłumy. Wyrostki głośno zapraszali do kupna ostatnich dzienników. Jakiś roznosiciel wetknął mi w rękę prawie przemocą obwieszczenie. W cieniu werandy zabrałem się do czytania go. Była to odezwa niejakiego Pochat'a, robotnika w drukarni, do obywateli Konstantyny, w sprawie jego wyboru do rady miejskiej: pół arkusza druku zawierało program bardzo obszerny robót i ulepszeń w mieście dla zdrowia, wygody i upiększenia, oraz dla dania zarobku rzemieślnikom francuzkim. Odezwa napisana spokojnie bez próśb i uniżoności, miała charakter wyraźnie demokratyczny i kończyła się nieodzownymi okrzykami:

„Vive la Republique! Vive Constantine!

Nie doczytałem jeszcze tego druku, gdy wetknięto mi inny. Chodziło też o wybory do rady miejskiej. Niewiadomy autor piornnował na Żydów, którzy wyzyskują i demoralizują ludność i ostrzegał przed wyborem którego z nich. Strzelając z za płota, nie przebierał autor odezwy w środkach i wyciągał działa najgrubszego kalibru, by zmiażdżyć przeciwników: była więc poruszona i sprawa Dreyfusa, i zżydzenie Francyi, i przekupstwa żydowskie i t. d. Podobne druki widziałem potem na ścianach domów.

Trudno, rzecz prosta, przybyszowi, nie znającemu stosunków miejscowych, ocenić, czy nienawiść, jaką ziała odezwa, miała jakie podstawy, czy też była wyrazem partyjności, gotowej na wszystko, byle dopiąć celu. Jednak samo zestawienie liczebności Żydów i Francuzów (stosunek 1 do 4 z ułamkiem) wskazuje, że wpływy Żydów muszą sięgać głęboko, jeżeli trzeba przeciwdziałać im tak energicznie.

Przed zdobyciem Konstantyny przez Francuzów, Żydzi byli uciskani strasznie przez Arabów; teraz otrzymali obywatelstwo i zbogacili się bardzo prędko. Ani wierzenia religijne, ani narodowość, ani nawet poglądy państwowe nie odgrywają tu takiej roli, nie są przedmiotem nienawiści i prześladowań, jak to dzieje się w niektórych krajach Europy. Jeżeli zatem społeczeństwo powstaje przeciw obywatelom, których nie może wydzielić w inne grupy prócz: narodowości, pochodze-

nia, religii — to z pewnością broni się ono przeciw jakimś cechom tej grupy, zgubnym dla siebie.

I łatwo domysleć się, że tą cechą jest zaprzędanie się żydów w służbę złotego cielca, za co karcił ich i karał już Mojżesz, za co znie-nawidziły ich wieki i ludy i co urobiło tak ich myślenie, dążności, mo-ralność i cały świat duchowy, że nie umieją wznieść się ponad mar-ność i znikomość.

Pod werandą było dużo gości, którzy posilali się i chłodzili. Byli to przeważnie Francuzi, w znacznej mierze w mundurach woj-skowych. Przy sąsiednim stoliku jeden z nich zapewniał jakąś młodą niewiastę, że w jej towarzystwie zapomina, że nie jest w Paryżu.

— Bodaj to życie paryzkie! — unosił się — jest się ciągle w we-sołej kompanii, bo Paryżanki lgną do mundurów jak mole do książek. A co za wybór ich! Brunetki i blondynki, panny, wdowy, rozwódki, mężatki, aktorki, śpiewaczki i t. d.

I, spostrzegłszy rozczarowanie na twarzy współbiedniaczki, — prawił pomrugując jednym okiem i uśmiechając się znacząco: — pomi-mo to, błogosławię chwilę, gdy mnie tu przysłano, bo wolę ciebie, kochana, nad nie wszystkie.

I na dowód swej wdzięczności dla państwa, że polecilo mu słu-żyć w Konstantynie, wznosił szklankę z winem w górę i zawołał: „Vive a Republique!“

— „Vive l'armée“ — odrzekła jego towarzysza.

Przedstawiciel zaś armii złożył w jej i swoim imieniu gorący pocałunek na pulchnej rączce wielkiej patryotki.

Co chwila nachodzili mnie przekupnie arabscy, częstując różnemi wyrobami ze skóry, safianu, jedwabiu, drzewa i t. d. Natręctwo ich ma specjalny charakter: stają spokojnie przed ofiarą, która wpadła im w oko i, nie zważając na protesty, pokazują cały zasób swych towarów; jeżeli odwrócisz od nich głowę, zachodzą z drugiej strony, jak gdyby chcieli doprowadzić cię do wściekłości i dopiero wtedy wyzyskać.

Będąc w opałach, przypomniałem sobie opowieść jednego z mych przyjaciół. Jakiś Grek w Odessie napastował go na ulicy i prawie prze-mocą oczyścił mu obuwie; po skończeniu czynności zażądał pół rubla

zapłaty. Przyjaciel mój oburzył się na to oszukaństwo, a nie mogąc od-
czepić się od Greka, uderzył go laską. Ten zaś, zda się, czekał na takie
rozwiązanie: narobił krzyku na całą ulicę, ściągnął zbiegowisko i poli-
cję i zmusił stropionego przestępcę do zapłacenia półtora rubla... za swe
krzywdy pod grozą pociągnięcia do odpowiedzialności.

Zdaje mi się, że spokojne natręctwo kramarzy arabskich jest obli-
czone na podobny sposób zdobycia pieniędzy.

Zbliżał się zachód. Słońce chowało się za wzgórze piaszczyste i po-
wietrze ochładzało się szybko. Tłum Arabów i Europejczyków ciągnął
w stronę bulwaru północnego, i na sąsiednią dolinę. Podażyłem za in-
nymi, dowiedziawszy się, że ma mieć miejsce wielkie wydarzenie
w Konstantynie — mianowicie: strzelanie z armat na początek świąt
mahometańskich.

Działo ustawiono w dolinie. Otoczyli je wojskowi i liczne tłumy
przeważnie muzułmańskie. Z bulwaru obrazek wyglądał malowniczo.
Paru oficerów i kilku żołnierzy otaczali armatę i rozsuwali widzów, by
zostawić wolne przejście dla wyższego wojskowego, który miał wydać
rozkaz strzelania. On zaś, w poczuciu swego ważnego stanowiska, świa-
domy, że tysiące oczu patrzy na niego, kiedy powie epokowe: „już,“ —
chodził po dolinie z głową wzniesioną, spoglądając, czy rychło schowa
się za widnokrąg oblicze słońca, które, jako wyższe o jedną rangę, po-
wierzy mu wyrzeczenie tego doniosłego „już.“

Białe płaszcze pospołu z barwnymi burnusami oczekiwały tego
wielkiego wydarzenia. Nawet kobiety pospieszyły na tę uroczystość,
a dzieci, biegając z jednego miejsca na inne, szukały najdogodniejszego
punktu obserwacji.

Z sąsiednich koszar oficer wywołał turkosów. Ustawili się w dwa
szeregi i pomaszzerowali do doliny, mieniając się barwnymi kurtkami, sza-
rawarami i białymi zawojami.

Po chwili adjutant doniósł, że starszy oficer dał rozkaz strzela-
nia, — i trzy wystrzały jeden po drugim wstrząsnęły powietrzem.

Dostojnicy wojskowi byli radzi, że spełnili należycie swą powin-
ność; widzowie byli zachwyceni, że głos dział brzmiał donośnie jak
grzmot, że wstrząsnął całym miastem; a wzgórze okoliczne powtarzały so-

bie głucho, że niema co bać się tych strzałów. Nie takie strzały sły-
 szały! Padały wtedy ciężkie bryły ołowiu na miasto, niszcząc jego bu-
 dowle, szerząc pożogę. Było to już dawno; — lecz one pamiętają i daw-
 niejsze dzieje: dziesiątki razy grzmiały działa pod murami Konstan-
 tyny, a kiedy dział jeszcze nie było, niszczyły ją katapulty i tarany,
 a wprzód jeszcze dzikie hordy, które wrywały się z wyciem i zgieł-
 kiem, nie bacząc na ogień, kamienie i strzały, jakimi bronili się oby-
 watele miasta.

— Co stało się z wami, ludzie? — mówiły wzgórza okoliczne; —
 zapomnieliście już wszystko i bawicie się teraz głuchym głosem ślepego
 naboju, gdy wasi przodkowie walczyli na śmierć i życie? — Skarleliście!

Tłum rozchodził się wesoły do domów. Miał z czego cieszyć się:
 zaczynały się wielkie święta...

Przed oczami stanął mi odźwierny meczetu i słyszałem, jak mó-
 wił: Allah jest wielki i potężny.

I owiał mnie chłód nocy... Słońce było już za widnokregiem...

X.

Było jeszcze nawpół ciemno, gdym podązał na dworzec kolejowy.
 Na rynku panowała już wrzawa, choć ulice dzielnicy europejskiej były
 puste. Przed mostem kazałem zwolnić, by przypatrzeć się raz jeszcze
 parowowi. Z jego głębin podnosiły się białe opary, lecz nie mogły wy-
 dobyć się na zewnątrz; jak dusze potępieńców borykały się z ciemno-
 ścią, która więziła je w swych objęciach. I zdawało się, że to otchłań
 bezdenna, dokąd nigdy nie przenika światło, wejście do posepnego Ha-
 desu, gdzie błędzą cienie umarłych. Z pod ziemi dochodził huk stłu-
 miony, który w tej ciemności wydawał się płaczem i jękiem nieszczę-
 śliwych cieni.



Jakiś lęk niewytłómaczony obejmuję podróżnego w takiej chwili i stają mu przed oczami obrazy tajemnicze, które kiedyś w jego dzieciństwie opowiadała stara niańka. Tak, wtedy w pokoju było ciemno, przy jednej świeczce rysowały się jakieś długie cienie na ścianach, aż strach było pozostać samemu, bo zaraz zaczynały się szept, głosy i ruchy niepojęte, a na dworzu wył pies. Jak to było dawno! Jakiem innym stworzeniem było się wtedy, a jak jednak odczuwa się teraz, choć myśl chodzi już nie po tych drogach!

Pod wpływem takich obrazów musiał człowiek pierwotny stworzyć cały swój pogląd na świat pozagrobowy, a człowiek społeczny przejął się nim, jak dziecko opowiadaniem niańki i — odczuwa po dawnemu, choć myślą szybuje ponad tajemniczo-chaotycznymi tworem przeszłości.

Dlaczego w życiu duchowym człowieka i ludów powtarza się ten dziwny atawizm uczucia? Czyż myśl nie powinna, jako pani wszechwładna wyzwolić go z pęt zabobonu?

— Nie może, bo jest dzieckiem uczucia, związanem z niem pochodzeniem, krwią. Bo był czas w życiu pierwotnym wszystkich tworów ożywionych, w życiu ludzkości i każdego poszczególne człowieka, że cała ich duchowość była tylko odczuwaniem, a wszystkie przejawy nerwowe — odruchem. Potem dopiero wyrobiło się uświadomienie ich osobowości i otoczenia i wtedy zrodziła się myśl. Naprzód biegła krokiem chwiejnym, trzymając się fartuszka matki — uczucia, potem wyrwała się sama w świat szeroki, pochłonięta jego powaby, i wreszcie kroczyła poważnie przez wiek dojrzałości. Jednak zachowała na zawsze cześć i szacunek dla swej rodzicielki i nie odstępowała jej do ostatniego tchnienia.

Na dworcu było pusto. Siadłem sam do wagonu, drżąc od przejmującego chłodu. Podążaliśmy na południe, by ominąć skalisty wąwóz Rumla, przebiegając tunele, krążąc koło stóp gór, unosząc się nad szumiącymi potokami. W ciemnościach wczesnego ranka wyglądały zarysy gór na tle jaśniejszego już nieba, jak olbrzymy.

Nagle zrobiło się całkiem widno, jak gdyby spadła ogromna zasłona, otaczająca słońce — wyjechaliśmy z doliny. Przed oknami wagonu przesuwały się pola zielone, łąki, ogrody owocowe, lasy; potem

wzgórza i doliny, skały nagie, parowy i wąwozy. Co chwila zmieniał się widok.

Do wagonu napłynęło trochę podróżnych. Mówiono o różnych banalnościach, gdy oczy aż rwały się od cudów, jakie odsłaniała nam, przyroda. Oto na szczytach Atlasu leżał śnieg, otaczając je aureolą błasków, koroną z pereł, jak głowę króla, który wzniósł się w obłoki, by widziano go zewsząd. I skromne doliny zasłoniły oczy kwefem cieni nie wając się patrzeć na majestat królewski, a palma wchodziła na wyżyny, by wpleść swe pierzaste liście w jego świetną koronę. Król zaś, potężny, widząc w koło siebie miłość i uznanie, rzucał ręką szczodra perły błyszczące, które spływały do dolin strugą w radosnych podskokach, z nutą pieśni wesołej. Łany szmaragdowe młodej oziminy wdzięczyły się uśmiechem niewinnym do ciemnego błękitu sklepienia niebios, które patrzyły w cichej zadumie na budzące się życie. W tej uroczej okolicy nie było prawie widać ludzi. Tylko gdzieniegdzie Kabyl zamieszkał w szałasie, lub namiocie, albo w małym domku białym z dachem czerwonym. Od czasu do czasu widniała gdzieś w dali grupa budowli, które chowały się w cieniu palm, cedrów, dębów, jak gdyby raziła je linia kolejowa i pociąg, ziejący dymem i parą, który przebiega przestrzenie, deptane niedawno przez konia i wielbłąda.

Pod wieczór dojechaliśmy do Algieru, przebywszy koło 350 kilometrów. Góry śnieżne zostały na południu, i tylko niewielkie wzgórza i falistości pokrywały powierzchnię ziemi. Na widnokregu rysowała się sina linia morza, poprzerrywana strzępami skał nadbrzeżnych. Znowu wzgórki zasłaniały widok, a gdy minęliśmy je, było już całkiem ciemno, tylko w oddali bielełało wzgórze, przybrane tysiącami błyszczących punkcików. Po chwili byliśmy w Algierze.

Pociąg zatrzymał się na wybrzeżu, gdzie panował jeszcze ruch, pomimo zbliżającej się nocy. Tysiące beczek, skrzyń, koszów ładowano na okręty i setki ludzi uwijało się przy pracy. Port jeżył się masztami okrętów i świecił licznymi latarniami.

Do miasta podążały pojazdy po pięknym wiadukcie na arkadach, który przebiega dwoma równiami pochyłymi przestrzeń 1,200 metrów,

by dosięgnąć bulwarów miasta, położonych kilkadziesiąt metrów nad portem.

Po kwadransie dojechałem do hotelu i, rozgościwszy się w numerze, zeszedłem do jadłodajni na dole. Sala urządzona z wielkomięjskim przepychem świadczyła, że Algier jest nawiedzany i zamieszkały przez bogatych przybyszów; bo tuziemcy nie mają niewątpliwie takich wymagań co do wygody i wykwinu.

Wymyślne potrawy nie smakowały mi całkiem; byłbym ustąpił je wszystkie chętnie, nie wyłączając wysławianych homarów za kawałek wołowiny i talerz klusek po polsku. Wciągu kilkomiesięcznej podróży przejadły mi się kuchnia niemiecka, włoska i francuzka tak dalece, że prawie z obrzydzeniem kołem głód. I gdybym poddał ściślej analizie uczucie tęsknoty za krajem, które trapiło mnie oddawna, to pewno znalazłbym w niem — nie gorszcie się, moi mili, — i odczuwanie braku prostego, swojskiego pożywienia.

Nigdy dawniej nie śnił o jedzeniu, ucztach i t. p. A jednak zostanie mi na całe życie wspomnienie, z jaką rozkoszą i pożądlivością pochłaniałem we śnie kluski kartoflane; czułem ich smak i zapach i zdawało mi się, że ma poczciwa żywicielka z uśmiechem mówi do mnie: a, żarłok! Budzę się zawstydzony... Jestem na okręcie w drodze z Palerma do Messyny. Przypominam sobie wstrętą sepię, którą spożyłem na obiad, zachęcony przez kapitana i towarzyszków podróży. Brr!!! Co za obrzydliwa potrawa! Skurczone wyrostki tego głowonoga rozwijały się mi w ustach... rosły... Ciemny barwnik kałamarnicy wylał się z jej wnętrzości... Współbiednicy wychwalali świetny smak podania, którego przełknąłem ledwo kęsek.

Tak! W tęsknocie do kraju jest prócz odczuwania braku swoich ludzi, swej mowy, swego powietrza, swej ziemi — wszystkiego, co swoje — prócz tych idealnych odczuwań są i odczuwania materyalne, związane z naszym cielesnem jestestwem... Bo powstaliśmy z prochu.

Goście przy sąsiednich stolikach jedli z wielkim apetytem, jak gdyby chcieli dowieść, że Francya i Algierya, kolonia francuzka, nie mogą różnić się niczem — przynajmniej pod względem kucharskim. Ba, — i pod innemi względami: naprzeciwko mnie siedziały dwie damy,

rozglądając się po sali, kto z gości zapłaci za ich obiad i szampana. I, rozumie się, znalazły prędko litościwą duszę. W drugim końcu sali kelner pośredniczył przy podobnych układach.

Świetna ta restauracya na wybrzeżach Afryki nie powstydziłaby się z pewnością bulwarów paryzkich, rynków wiedeńskich i berlińskich „pod lipami“.

Francuzi przenoszą z sobą wszędy swój Paryż choćby mały, jak dawni Rzymianie lary i penaty.

XI.

Przez żaluzye przebijały się promienie słoneczne do pokoju, gdym przetarł oczy ze snu. Skoczyłem do okna i otwarłem je na oścież. Prawdziwa powódź światła wypełniła mieszkanie. Przed oczyma roztoczył się szeroki widnokrąg morza, ujętego w siną linię na rubierzu z błękitem nieba i w półkole bulwaru kamiennego i skał zębatych, broniących mu napaści na ląd.

W pierścieniu kamiennym portu roiło się od okrętów, które wyładowały i zabierały towary. Po wiadukcie uwijały się wozy ładowne, ciągnione przez cztery i więcej koni w linię, lub przez woły zaprzężone końmi i osłami. Obraz ten tchnął ciepłem, życiem i wesołością, że nie czuć było w nim ani dymów kominowych, ani łoskotu maszyn, ani potu, złorzeczeń i utyskiwań ludzkich. Był to pochod tryumfalny człowieka—pracownika, zespolonego z piękną przyrodą.

Pierwsza przechadzka była, rzecz prosta, na bulwary. Słońce piekło, chociaż ledwo minęła dziewiąta, a blask rozchodzący się od zatoki oślepiał. Rue h na ulicy był wielki: co chwila przesuwał się tramwaj elektryczny, wóz ładowny, powóz, dużo pieszych Europejczyków

i Arabów. Domy na bulwarach wysokie, o jednakowym wyglądzie, mają wszystkie podsienia szerokie, tworzące jeden długi chodnik pod arkadami, gdzie przechodzień znajdzie zawsze dość cienia. Tam też odbywa się główny ruch pieszy, albowiem, że wielu bardziej zaciekawiają liczne wystawy sklepowe, niż widok na morze.

Minąłem wiadukt, prowadzący do portu, i wyszedłem na tak zwany plac Rządu. Naprzód rzuca się tu w oczy kredowo-biały meczet Dżama-el-Dżedid (rytuały hanefi, zachowywanego przez Turków); przy sąsiednich trzypiętrowych domach wygląda on, jak wrosły w ziemię, bo nawet środkowa kopała nie dorównywa im wysokością, a minaret czworoboczny ledwo wznosi się nad ich dachy. Jednak niepokalana białość tej świątyni, wielka harmonia linii ścian zębatych i trzech kopuł, robi wielkie wrażenie.

Meczet jest zbudowany w formie krzyża. Podobno niewolnik włoski, który pozwolił sobie na tę śmiałość przy wznoszeniu świątyni (r. 1660) został stracony przez paszę.

Na tle białych ścian meczetu wygląda okazale pomnik brązowy księcia Orleańskiego, przylegający do świątyni.

Na placu Rządu panuje ruch prawdziwie wielkomięjski. Tu właśnie znajduje się stacya węzłowa tramwajów elektrycznych i omnibusów, które rozchodzą się stąd w różnych kierunkach. W kilku bankach i kantorach kipi życie kupieckie. Liczne sklepy w podsieniach zciągają gapiów przed bogate wystawy i kupujących do wnętrza. Włóczędzy, żebracy, kramarze, pośrednicy i przewodnicy zjawiają się tu na każdym kroku.

Mały skwer pośrodku placu jest oazą cienia w przestrzeni światła i blasków; stąd budowle nowoczesne dzielnic Europejskiej wyglądają okazale, choć motywy budowlane powtarza się jednostajnie. Podsienia ciągnące się przez wszystkie ulice długim szeregiem arkad, na których wznoszą się trzy piętra mieszkalne, stanowią prawdziwą osobliwość.

W przeciwległym końcu placu zebrała się grupa palm daktylowych; blizkie sąsiedztwo ścian miasta nie poszło im na zdrowie, bo wyglądają suchotniczo-mizernie: liście pierzaste żółkły i poschły do połowy, lub pospadały całkiem, kiście owocu zmarniały. Palma zda się wo-

łać: powietrza, światła i ciepła dajcie mi na swobodzie, bo zginę w tem więzieniu!

Górna część miasta, widziana ze skweru, zlewa się w jedną masę białą, w której tylko na bliższym planie można odróżnić pojedyncze domki bezokienne. Zalały one cały wzgórek i zstępują z niego amfiteatralnie.

U podnóża rozłożyło się kilka większych budowli, między innymi meczet rytuału maleki (arabi, murzyni) Djema-El-Kebir, wzniesiony w X-y m wieku. Otaczają go prześliczne podsienia z arkad ostrołukowych koronkowej roboty ze szlakiem mozaikowym i gzemsem zębatym. Czworoboczny minaret o podobnych motywach dopełnia tej pięknej całości. Zaciszne, zacienione drzewami podwórze i bogate wnętrze meczetu godne są obejrzenia. Podobno podczas nabożeństw, gdy Arabi leżą krzyżem, zatopieni w modłach, obraz ten ma być wzruszający.

Dzielnica Europejska zajęła całe wybrzeże. Ciągnie się ona długimi szerokimi ulicami, równoległymi do bulwaru na przestrzeni paru kilometrów. Starano się stworzyć z tego miasta arcydzieło; i rzeczywiście, można powiedzieć, że sztuka podniosła tu urok natury, a Francya nie zrobiła Europie wstydu przed Afryką. Główny motyw w budowie Algieru stanowią arkady, które spotyka się prawie wszędzie, najczęściej w postaci podsieni. W ciągu 70 lat od czasu zawojowania Algierii przez Francuzów, wzniosło się tu dużo pięknych budowli, jak przystało na stolicę wielkiej kolonii. Nie dla chwilowych celów, nie dla szybkiego wzbogacenia jednostek włożył tu rząd ogromne sumy w budynki, bulwary, port, fortecę, szkoły (liceum, szkoła prawa, szkoła lekarska, wszechnica, kilkanaście szkół początkowych wszystkich wyznań i t. d.) bibliotekę, muzeum starożytności: chodziło o utrwalenie panowania w bogatej kolonii, której posiadanie zostało okupione wielkimi stratami w ludziach i pieniądzech na wojnę i powstania krajowców w ciągu szeregu lat. Jednak dotychczas główny cel nie został osiągnięty w całości: ludność muzułmańska nie może zapomnieć, że była przez długie wieki władczynią potężną i choć pozornie godzi się z nowym biegiem spraw, jednak korzysta z wszelkiej sposobności, by przypomnieć Francyi, że nie sprzedała swego pierworodztwa za miskę soczewicy. Zwłaszcza w chwilach zawikłań politycznych np. w roku 1871 miała Francya

twardy orzech do zgryzienia i w Afryce, bo cała Algierya powstała i zdołano uspokoić ją zaledwie po ośmioletniej wojnie. Niema roku, żeby nie zdarzyły się i teraz jakie zaburzenia. W jakiś czas po moim wyjeździe z Algieru wybuchły tam namiętne rozruchy, które trwały kilka tygodni. Nie znając stosunków miejscowych, nie przypuszczałem nigdy, podczas kilkotygodniowego pobytu w mieście i jego okolicach, że zanoszą się na jakie niepokoje, chociaż Europejczycy miejscowi spodziewali się czegoś, niepożądanego dla siebie; ostrzegano mnie też, bym nie puszczał się sam do dzielnicy arabskiej, zwłaszcza w porze wieczornej, bo nie jest się nigdy pewnym, czy się ztamtąd wróci.

Na Algierze sprawdziło się setki razy, że zdobyć i posiadać — to nie to samo. Odkąd, podług podań, Herkules wylądował na brzegach Afryki, a jedenastu jego towarzyszy, upodobawszy sobie piękną przyrodę, założyli tam miasto Icosium (miasto jedenastu), zaczęły się walki i wojny o posiadanie tej pięknej krainy. Więc Fenicyanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wandalowie, państwo Bizantyjskie, potem Arabowie, Turcy niszczyli ją kolejno żelazem i pożogą. Odkąd Algierya dostała się w ręce Arabów (649) zaginęła kultura chrześcijańska; plemiona tubylcze (Berberzy, Kabyle) zostały nawrócone na mahometanizm; z biegiem wieku część ich zlała się z Arabami, choć większość żyje dotąd z nimi w stosunkach nienawiści. Od czasu wypchnięcia Maurów z Hiszpanii (1492) zaczyna się szereg prób, by zwalczyć ich i w Afryce i zawsze powtarzała się ta sama piosnka, że łatwiej zdobyć Algier, niż go utrzymać. Trzy wieki walczyły państwa Europy z dejami, by stłumić korsartwo, które zabijało handel Europy; Algier był zdobywany dziesiątki razy, a jednak dopiero w początku XIX-go stulecia zdołano opanować rozbójników morskich.

Dzielnica arabska zachowała staroświecki charakter. Małe, niskie domki cisną się w wązkich uliczkach, ułożonych przeważnie w postaci schodów kamiennych w różnych kierunkach. Od czasu do czasu spotyka się niewielki plac, na którym rozłożył się rynek, lub wznosi się kopuła meczetu. Wszystkie te uliczki zmiierzają w kierunku Casbah, dawnej fortecy arabskiej, panującej nad miastem, którą przerobiono obecnie na koszary.

Po za temi budowlami na szczycie góry rozłożył się lasek cieniisty, który spuszcza się po pochyłości i przechodzi w części południowej w park Isly.

Któregoś dnia pogodnego błądziłem w tej okolicy, chcąc zwiedzić wszechnicę i ogród botaniczny. Jakiś przechodzień, którego spotkałem w lasku, nie umiał dać mi wskazówek, w którą stronę zwrócić kroki. Sam przybył tu z Francyi zaledwo przed kilkoma dniami za chlebem i nie znał okolicy.

— Powiadali u nas — mówił — że tu o chleb bardzo łatwo; więc sprzedałem swoje mienie i przyjechałem z najlepszymi nadziejami; a tu jeszcze trudniej o pracę, niż we Francyi.

— A jakie ma pan przygotowanie? — pytałem przechodnia.

— Byłem wyrobnikiem — odparł tamten, — ale tu chcę dostać jakie dobre miejsce, bo przecież nie po tom przyjechał, by klepać biedę. Algierya, to nasza kolonia, więc musi nam tu być lepiej, niż w ojczyźnie, bo inaczej nie wartoby zdobywać obcych ziem — tłómaczył mi, spostrzegłszy me zdziwienie.

Niezaprzeczone zdolności do polityki ujawniły się u tego przybysza. Gdyby los niesprawiedliwy chciał pozwolić mu, by zrodził się w innej kołysce, to może byłby drugim Bismarkiem. A tak gotów zmarnować się człowiek, któremu powierzą w najlepszym razie jakiś marny urząd, jak gdyby nie posiadał najważniejszej kwalifikacyi do każdego stanowiska w ziemiach zdobytych przez Francję — był Francuzem.

Wbrew socyologom, którzy utrzymują, że emigrują zawsze najdzielniejsze jednostki, stwierdził ten przybysz, że do krajów zawojowanych garną się przeważnie najmarniejsze siły, często wyrzutki społeczeństwa, których nie wiąże nic z ojczyzną, a chęć wyzyskania przypadkowych przywilejów popycha do szukania łatwego i smacznego chleba.

Po chwili spotkałem jakiegoś młodziana, który podjął się poprowadzić mnie do ogrodu botanicznego. Spuściliśmy się ze stromej góry, porosłej bujną roślinnością, by po chwili wdrapywać się na tę samą wyniosłość z innej strony. Przewodnik widocznie sam nie znał drogi. Blizko po godzinie takiego chodzenia tam i z powrotem, przełazenia przez płoty i skakania przez rowy dotarliśmy do gmachu wszechnicy

zmoczeni obfitą rosą. Jak na potrzeby Algierii, liczącej zaledwo 4 i pół miliona ludności, w tem 2 i pół miliona Francuzów, wygląda wszechnica okazale.

— Dużo też słuchaczy uczęszcza do zakładu?—pytałem spotkanego studenta.

— Na wszystkich wydziałach jest ich koło tysiąca — odrzekł.

— A czy są pośród nich i przedstawiciele ludności miejscowej? — badałem.

— Jest trochę Arabów i dużo Żydów — mówił — ale przewaga jest po stronie Francuzów.

— A jakież prawa mają wychowawcy zakładów naukowych arabskiego pochodzenia? — dopytywałem się.

— Takie same, jak i wszyscy inni — odrzekł.

— A czy przyjmują uspołecznienie, związane z chrześcijaństwem, czy też trwają w swych porządkach muzułmańskich? — zaciekawiały mnie pytania;—jakież jest położenie kobiety w ich rodzinie, czy zachowują wielożeństwo, wypełniają obrządki religijne i t. d. i t. d.

— Bywa bardzo rozmaicie—tłómaczył student;—najrozumniejsi przerabiają się prędko na Francuzów, przyjmują chrześcijaństwo i zrywają z dawnymi tradycjami; inni godzą, jak umieją, nasze uspołecznienie z zasadami Islamu; wreszcie nieliczni stosują się ślepo do wymagań swej religii.

Najrozumniejsi wypierają się swego społeczeństwa, mówił mój młody współbiedak. Dlaczego nazywa ich najrozumniejszymi? Czy ta wiedza, którą dała mu wszechnica, czy szkoła życia nauczyły go, że rozumniej jest wyrzec się ustroju mniej doskonałego, niż dźwignąć go do wyższego poziomu? Przecież człowiek, który wyrzekł się swego społeczeństwa, jest przedewszystkiem zdrajcą. W sferach, do których wszedł, będzie uważany jako „homo novus“—człowiek bez przeszłości — i życie jego osobiste najeży się cierniami politowania i pogardy, więc nie da mu zadowolenia. A społeczeństwo, z którem zerwał, straciło jedynostkę, mogącą przynieść mu pożytek.

I takich ludzi zmarnowanych dla siebie i społeczeństwa, może nazywać człowiek z wyższem wykształceniem: „najrozumniejszymi!“

Przez sień i kurytarze gmachu przedostaliśmy się do ogrodu botanicznego. Rozległość jego jest niewielka, lecz utrzymanie porządne. Spotkałem tu dużo nieznanym mi roślin. Przewodnik chwalił się, że zna pysznie świat roślinny: lecz pokazało się, że nie odróżnia nawet miejscowych drzew, a o obcych nie ma zupełnie pojęcia. Początkowo zbywał mnie byle czem i stwarzał na poczekaniu nazwy, których nie umiał powtórzyć przy podobnym okazie. Złapawszy się parę razy na bladze, umilkł i mieszał się przy pytaniach, jak uczeń przed mędrcom, który lada chwila gotów wykrzyczeć, ukarać ucznia, postawić mu zły stopień, ale nie nauczy go, nie oświeci.

Czułem się w stosunku do mego przewodnika, jak taki nauczyciel do ucznia, bom nie umiał sam odpowiedzieć na pytania, jakie zadawałem. Jednak nie zmieniłem tonu, chcąc w ten sposób odstręczyć chłopca na przyszłość od blagi. Nie łudzę się, żeby ta nauuczka miała przerobić mego przewodnika, bo wada rozwojowa, że wstydzimy się bardziej niewiedomości, niż kłamstwa, jest u nas bardzo pospolitem zjawiskiem.

Jak na miasto o 75-cio tysięcznej ludności, z której zaledwo trzecia część wypada na Europejczyków, przedstawia się Algier wcale okazale. Położenie prześliczne, natura bogata, klimat zdrowy, budowle piękne, port obszerny i świetnie urządzone, połączenia kolejowe i okrętowe dogodne, zakłady i pomoce naukowe zogniskowane, rozrywki bardzo urozmaicone czynią krótki pobyt przyjemnym, a stałe zamieszkanie prawdopodobnie zadawalniającem.

— A jak tam teatr? — zapyta zawsze Europejczyk.

— Zupełnie dobry — odpowie zwłaszcza taki podróżny, który po dłuższym pobycie we Włoszech zdołał już zapomnieć, że teatr winien być przybytkiem sztuki.

Kilka przedstawień opery zadowolniły mnie zupełnie; teatr bywa stale przepełniony. Na operze widzi się przeważnie Europejczyków; zawoje i fezy spotyka się rzadko. Za to roi się od nich tam, gdzie muzyka lekka, a przedstawienie usposabia do wesołości. Takim zakładem jest „Casino Musical“ przy ulicy Isly. Jestto café chantant, utrzymywane dość porządnie i przyzwoicie, jak na zakład francuzki.

Na paru przedstawieniach poznałem wcale dobre siły, zwłaszcza w dziedzinie komizmu. Nieporównaną jest łatwość, z jaką Francuzi dopatrują się stron śmiesznych w najprostszych i najpoważniejszych stronach życia; lecz i niewstrzeźliwość w chłostaniu satyrą wszystkiego, co na polu, bez względu na powagę i cześć, jaką niektóre osoby i sprawy winny być otoczone — jest nieporównana. Nieliczenie się z warunkami, w jakich sztuka jest dawana, z publicznością, która słucha, jest wprost karygodne. Bo jeżeli słuchacz obojętny (jakim byłem naprzykład ja), wychodzi pod wrażeniem: ci wielcy działacze nie mają żadnych przekonań prócz jednego — napełnić kieszenie i użyć życia — to cóż za wrażenie musi doznawać słuchacz, któremu przyjdzie przeciw na myśl, że to napełnianie kieszeni musi odbyć się jego kosztem, że on jest i będzie zawsze krzywdzony. Lecz komu by tam chciało się zastanawiać, że odbieranie ideałów jest zbrodnią, że zniechęcanie do działalności podnioslejszej ludzi, którzy rwą się do niej, jest wielką krzywdą, wyrządzoną społeczeństwu? Komu tam chodzi o takie drobiazgi? Śmiać się, weselić, wszystko lekceważyć, nie brać na seryo — oto hasło, z którym wstępuje się w życie.

Zajmujące pytanie, co dzieje się pod czaszkami, przybranemi w zawoje i fezy, gdy widzą ośmieszanie władzy najwyższej, zasad najwznioślejszych, działaczy poważnych. Pewno połączenie niechęci tajonej z oceną, podaną przez widowisko, nie może usposobić przychylnie narodu podbitego dla jego władców. Z zachowania się przedstawicieli świata muzulmańskiego, którzy stanowili przynajmniej trzecią część widzów, można wnosić, że to ośmieszanie wszystkiego i wszystkich podobało się im bardzo: oklaskom z tańszych miejsc nie było końca, a twarze promieniały zadowoleniem.

Jedno z takich przedstawień ośmieszało świeżo zamkniętą wystawę paryżką. Materiału do satyry nie zbrakło autorowi i, przyznać należy, wyzyskał go z wielką umiejętnością, wyciągnawszy na scenę głośnych działaczy.

Jeden ustęp przedstawienia wzbudził wielką sensację: na scenę wystąpili dwaj siłacze: biały i czarny. Widzowie zrozumieli odrazu, że ma walczyć Europa z Afryką. To też napięcie uwagi było ogromne

i dawały się słyszeć ciągle zbiorowe protesty przeciwko zabiegom, do których uciekali się zapaśnicy: gdy biały uczynił jaki zwrot nieoczekiwany, Muzułmanie krzyczeli przeraźliwie; gdy murzyn próbował podstawić nogę, Francuzi gwizdali i wyli. Wreszcie biały powalił czarnego. Europa biła oklaski, Afryka podniosła straszny zgiełk. Zdawało się, że lada chwila widzowie rozdziela się na dwa obozy i zabiorą się do walki.

Murzyn nie dawał za wygranę: próbował zerwać się, a gdy to nie powiodło się, wbił paznogie w plecy zwycięzcy, które zboczyły się krwią. Francuzi podnieśli protest, a Arabi śmieli się szyderczo.

Z trudnością rozbrojono napastników. Zwycięzka Europa była zlana krwią i wołała: „vae victis“; zgnębiona Afryka patrzyła z pod oka zjadliwie, jak gdyby chciała powiedzieć: „vae victoribus! veniat dies irae!“

XII.

Na północnych krańcach wybrzeża wznosi się na szczycie góry wspaniała bazylika. Jej kopuła arabska i wieża w rodzaju minaretu widać na wielkiej odległości, a piaskowa barwa budowli wygląda poważnie na tle błękitu niebios i zieleni góry.

Tramwaj elektryczny wiozł mnie z placu Rządu przez dzielnicę Francuzką. Wjechaliśmy na przedmieście, zamieszkałe wyłącznie przez Hiszpanów. Zaczęły się małe brudne domki z wielkimi oknami; przed nimi bawiły się nawpół nagie dzieci o czarnych wielkich oczach i kudłatych czarnych włosach. Panował tu nieład i brud nie gorszy, niż w miastach Włoch południowych. W sklepach stały łóżka, na nich leżała część towaru na sprzedaż; w ciasnocie i ciemności krzątali się lu-

dzie. Nad brzegiem morza wyrostki łąwiły ryby i homary, wdrapawszy się na pobliskie głązy, sterczące ponad wodą.

Dojechaliśmy do stóp góry, na której wznosi się bazylika pod wezwaniem Matki Boskiej (Notre Dame d' Afrique). Rozłożył się tu wielki szpital wojskowy, który pamięta lepsze czasy, bo był siedzibą Dejów.

Wejście na górę jest trudne z powodu wielkiej spadzistości. Skorzystałem więc z omnibusu, który zabiera podróżnych za 30 centów. Podczas oczekiwania na pojazd byłem świadkiem zaciętej walki pomiędzy chłopcem i dziewczyną Hiszpanami. Musiałem rozbroić ich, bo nikt z obecnych nie uznał za stosowne pogodzić dzieci; owszem, śmiano się z nich i podsycano do walki. Po chwili podniósł się straszny krzyk, bo dziewczyna ugodziła chłopca kamieniem pod oko. Twarz dziecka zbroczyła się krwią, a mała zbrodniarka, nie nasyciwszy się zemstą, krzyczała jeszcze: będziesz teraz pamiętał, że nie wolno brać mej wędki!..

Otoczenie zachowało się obojętnie wobec tego zajścia, a matka pokrzywdzonego chłopca, przywołana na pobożowisko, nie szczędziła razów swemu dziecku.

Przykro było patrzeć na tych przedstawicieli uspołecznienia europejskiego, przesiedlonych na wybrzeże Afrykańskie.

Cztery konie ledwo ciągnęły nasz pojazd po kamienistej, stromej drodze, słabo ocienionej krzakami i drzewkami karłowatymi. Gdzieniegdzie wychylał się jakiś jaskrawy kwiatek, którego nazwy nie znałem, gdzieniegdzie z za płota widniały sady i ogrody owocowe, czasem mijaliśmy laszek dębowy; reszta góry była prawie naga. W końcu stanęliśmy na szczycie.

Dziwna rzecz, że z dołu bazylika wydała mi się znacznie większa i piękniejsza. Uległem złudzeniu, jakie stanowi częsty błąd naszego rozumowania; bo odległość zmniejsza przedmioty i ludzi tylko dla oka, lecz powiększa ich dla wyobraźni. Życie nauczyło nas, że co wielkie, potężne, piękne — to odległe, niedostępne, niedoścignione. I na tych wstecznych zasadach wyrobiło się nasze odczuwanie i myślenie: wielkość przygniata nas, potęga obezwładnia i upadła, piękno stawia nam przed oczy naszą brzydotę i wywołuje szyderstwo. Bezsilni wobec tych wyżyn, czołgamy się po padole, zamiast dążyć do nich.

Ogromny widnokrąg roztacza się z góry kościelnej. Cały Algier leży jak na dłoni; na zachód wznoszą się łańcuchy gór, a na wschód i północ ciągnie się morze, spowite w muślinach mgieł. Jaskrawe słońce rozprasza promienie w tych mgłach, a one bieleją, jak świeży śnieg grudniowy, który ledwo przypruszył pola i nie pewnym jest, czy jutra doczeka.

Wejście do kościoła oblegli ślepcy i kalecy, dopominając się o jałmużnę. Zdziwiony byłem ich ilością, choć dzień był powszedni. Prawdopodobnie kościół musi być odwiedzany przez licznych pobożnych.

Wnętrze świątyni przedstawia się skromnie. Uderza w niem masa wotów, króremi upiękzone są ściany i ołtarze. Począwszy od serc, nóg, rąk ze srebra, kluczy, orderów, a skończywszy na strzelbach, szpadach, kulach i t. p., można znaleźć tu różnorodne ofiary, złożone czasem przez ludzi zasłużonych, szczególniejsz wojzkowych z czasów zawojowania Algierji.

Do kościoła weszły dwie Arabki, pewno matka z córką. Były całe w bieli. Twarze, przysłonięte kwefem poniżej oczu, zakrywały im lekkie chusty, spadające z głowy na obnażone ramiona i tułów; szerokie spódnice przepołowione obciśnięte były poniżej kolan.

Starsza szeptała do młodszej, wskazując jej ołtarz, posągi, wota. Nie mogłem dosłyszeć ich rozmowy, lecz dostrzegłem, gdy dziewczyna podniosła zasłonę, że ma silne zapalenie łącznic. I zrodziła mi się śmiała myśl, czy nieszczęśliwa matka nie przywiodła córki do świątyni nieznanego Boga, by uzdrowił chore oczy jej dziecka, bo zawiodły ją już wszystkie leki, stosowane przez znachorów, cyrulików i kapłanów.

Kobiety obchodziły w koło świątynię, przystając co chwila i szepcząc. Do puszek na cele miłosierdzia wrzuciły parę miedziaków i, wychodząc z kościoła, obdzieliły ślepców drobnymi datkami.

— Na intencję wyzdrowienia — mówiła starsza — dając sou ze-brakowi.

Gdybym miał dość odwagi, by zbliżyć się do nieznanomych kobiet, niedostępnych dla Europejczyka, kto wie, czy nie opowiadano

by teraz w Algierze o uzdrowieniu cudownem, jakiego doświadczyła Arabka w świątyni chrześcijańskiej. Lecz ogarnęła mnie jakaś dziwna nieśmiałość, jak gdyby chęć pomożenia nieznajomej chorej była jakimś wykroczeniem.

* * *

Okolice Algieru są przepiękne. Szereg miejscowości pociąga wymarzonem położeniem, bogactwem świata roślinnego, natchnioną twórczością rąk ludzkich. Siedziałoby się tam godzinami w marzeniach i upojeniu, gdyby żądza zobaczenia czegoś nowego nie pchała dalej i dalej.

Tramwaj elektryczny dowiózł mnie do lasku Bulońskiego na szczycie góry, położonej parę kilometrów za miastem. Przestrzeń 23 hektarów zalesiono drzewami różnych gatunków. Poznałem zaledwie kilka: oto wiecznie zielony dąb korkowy i kamienny rozłożyły swe potężne konary; tam mirty i wawrzyny dźwigają tyle liści, że mogłyby przystroić wszystkie orszaki weselne, wszystkich sławnych i nieboszczyków na całej kuli ziemskiej przez długie wieki; dalej rozłożyste fikusy zwieszają swe skórzaste liście, zmrożone w noc zimową; gdzieniegdzie oleander patrzy dumnie na przechodnia, który zna tylko niewolnika karłowatego, zamkniętego w cieplarni; tam cyprysy chełpią się smukłymi kształtami i strzelają żywą wieżą gotycką zieleni w obłoki; i znów wonne eukaliptusy o prostych gładkich pniach, zwieszają swe liście pergaminowe na długich korzonkach nad głową przechodnia, mówiąc mu, że żyć można i na pochyłościach Atlasu, choć najlepiej w ojczyźnie Australii; agawa, rozłożywszy mięsiste liście tuż nad ziemią w postaci gwiazdy, myśli, że wszystkie oczy zwrócone są tylko na nią.

Błądząc po licznych drogach lasu, widziałem różne drzewa, po raz pierwszy w życiu. Jakieś olbrzymie kadłuby z poschłymi liśćmi lub całkiem nagie, to piramidalne rośliny iglaste, przypominające naszą jodłę, znowu jakieś cielska bezlistne, z których opada kora połyskująca i zwiesza się płatami kilkometrowymi w postaci warkoczy. Setki nie-

znanych roślin patrzyło na mnie obojętnie, choć podziwiałem w ich różnorodności twórczość przyrody.

Wtem wśród obcych twarzy spostrzegam jedną, która wygląda jakoś swojsko: Gdzieś ją widziałem, ale gdzie? Gruby pień najeżył się z bitą masą gałęzi, obsypanych drobnymi igiełkami; między nimi tkwią ciemne jagody... Ach! to jałowiec, stary znajomy z naszych pól nieurodzajnych, z naszych lasów karłowatych. Tu jesteś drzewem okazałym, a tam na mojej ziemi zmałałeś i pędzisz nędzny żywot krzaku marnego, bo skąpa jest twa karmicielka... Nie, nie skąpa, lecz uboga, biedna. Ona chciałaby nakarmić ciebie, radaby widzieć cię wielkim, szczęśliwym; lecz z nędznej piersi nie może dać dość pokarmu. Wierz mi!

A jałowiec mówił obojętną twarzą przesiedleńca, w którym dobrobyt zabił ducha: sama sobie winna, bo zmarnowała soki życiodajne... A zresztą, cóż mnie teraz obchodzi? Tu mi dobrze...

Słuchaj: widziałem nędzarzy spanoszonych, co tęsknili za siermięgą; widziałem tułaczy, co usychali z westchnień za krajem; widziałem przestępców, co wracali z obczyzny, by oddać się w ręce sprawiedliwości i skonać na swej ziemi... I ty zatęsknisz.

Jałowiec śmiał się śmiechem szyderczym, aż rozbrzmiewało świstem po lesie, jak gdyby wył wicher.

— Jestem z rodziny cedrów potężnych, — wołał, — nie mnie być krzakiem mizernym!

Więc przypomniałem, zem widział i takich, co kochają każdą ziemię, byle była piękna i bogata. Wielum ich widział!!

I szedłem dalej, bojąc się patrzeć, bym nie spotkał znowu ojczystego drzewa.

Skończył się lasek Buloński. Z placu, gdzie wznosi się kolumna generała Voirol'a, jednego z pierwszych gubernatorów Algierii, wracałem tą samą drogą, którą podziwiałem przed paroma godzinami, pędząc w tramwaju elektrycznym. Tonie ona w zieleni ogrodów, ciągnących się po obu stronach nieprzerwanym szeregiem cyprysów, dębów, eukaliptusów, cedrów, palm, fig, pomarańczy, cytryn, oliw. Na tem tle zieleni, przechodzącej wszystkie odcienia, wyglądają różnobarwne kwiaty

i owoce, jak świecidełka na bogatej szacie, a białe ściany willi i hotelów przeważnie w stylu maurytańskim, robią wrażenie szczelin w szmaragdowych toniach. Na zakrętach i poprzecznicach widać brzegi skaliste zatoki i siną linię morza, lub białe wzgórze Algieru.

Jedną z najpiękniejszych budowli na tej drodze jest siedziba letnia gubernatora. Jestto pałac piętrowy w stylu Arabskim o jednakich motywach budowlanych na dole i na piętrze. Ogromny dziedziniec przybrany jest wielkimi gazonami, ocienionymi przez palmy. Niektóre z nich z gatunku olbrzymich rozrosły się wspaniale, chociaż ogród leży niżej pasa 1200 metrów nad poziomem morza, ponad którym zaczyna się dopiero palma olbrzymia. Jej pień strzelisty pokrył się łuską, jak pancerzem, utkanym misternie z tysiącznych blaszek, ułożonych spiralnie w desenie; a głowa przybrała się setkami wachlarzy, które rozbiły namiot zieleni na wysokości dwudziestu metrów.

Skromnie wygląda przy niej palma daktylowa; rozłożywszy pierzaste skrzydła, stoi zawstydzona, że los odmówił jej wzrostu, którym szczyci się olbrzymka.

— Nie wstydź się, nie smuć — pocieszałem ją — jesteś piękna: z twej królewskiej korony bije źródło świeżości, twe skrzydła, wyciągnięte do słońca, unoszą się w marzeniach nad poziomy, twój owoc słodki karmi rzeszę zgłodniałą. Nie myśl, że wielkim, pięknym jest i szczęśliwym, kto głowę trzyma wysoko. Przyjdzie wichur — i zniży głowę wznieścioną, złamie, upokorzy i podepce wielkości; przyjdzie słońce skwarne — i opali głowę nieocienioną; przyjdzie głód na ziemię, zbraknie jej soków odżywczych — i uschnie namiot z liści zielonych.

Nie słuchała palma daktylowa; stała skromna, zamyślona, smutna.

Wracalem dalej po drodze spadzistej. Coraz więcej willi, pałaczków i domków wynurzało się z zielonych toni ogrodów.

Na jednym z zakrętów wznosi się niewielki gmach, mieszczący muzeum starożytności Algierskich. Z ogrodu roztacza się śliczny widok na miasto i zatokę. W kilku salach zebrano sporo kamieni i grobowców z napisami, szczątki rzeźb, skamieniałości i t. d. z różnych czasów. Dozorca dawał mi wskazówki co do tych pamiątek, a potem poprowadził do swego mieszkania, obwieszzonego wyrobami mozaikowemi z drzewa.

— To moja robota — mówił, wskazując mozaiki. — Czy pan pozna je?

— To kopje mozaiki rzymskiej z posadzki kamiennej, którą pokazywał mi pan przed chwilą — odrzekłem — przyglądając się z zajęciem wierności rysunku i doborowi drobnych kawałeczków drzewa, z których stworzył wykonawca piękny obraz. Gdzież pan uczył się tej sztuki?

— Sam z siebie, zacząłem się bawić, potem nabrałem zamiłowania do tej roboty, a wreszcie oddałem się jej z zapałem — mówił dozorca muzeum.

— Pan robi na sprzedaż? — pytałem.

— Coś niecoś trzeba sprzedać — odrzekł, — bo z nędznej pensyjki trudnoby wyżyć. Lecz większych rzeczy szkoda mi wyzbywać się. Człowiek przywiązuje się do swych utworów. Ot nad tą mozaiką przesiedziałem dwa lata z górą, więc zżyłem się z nią. Przez kilka miesięcy była na wystawie paryzkiej i było mi bez niej, jak bez ukochanej istoty.

— To pan wysyłał swoje dzieła na wystawę wszechświatową? — pytałem zaciekawiony losami artysty z Bożej łaski; — jakiegoż doznały przyjęcia?

— Panie, — uśmiechnął się gorzko artysta; — ludzie są dziwnie zazdrośni. Jeśli współzawodniczą z sobą, to jeszcze zrozumiały, że jeden chce zgnębić drugiego. Lecz mnie przysłużył się człowiek, który tylko dlatego męcił się ambicjami artystycznymi, że był zarządzającym naszym muzeum. Czy pan uwierzy, że moje mozaiki, które powierzyłem jego opiece, przestały w pace przez cały czas wystawy?!

— Ależ to niemożliwe; musiało zajść coś nieprzewidzianego, jakaś pomyłka — uspokajałem artystę. — Cóż mogłoby zależeć dyrektorowi muzeum na tem, by jego podwładny nie dostał odznaczenia? Przecież uznanie, wyrażone panu, to poniekąd wyróżnienie tutejszego muzeum z pośród innych.

— I ja tak rozumiałem, — zapalał się dozorca; — lecz dyrektora bolało widocznie, że te mozaiki są nie jego roboty. Pytam jednego, pytam drugiego, dziesiątego, kto wraca z wystawy: widziałeś? — Nie wi-

dzieli. — Przeglądam katalogi — niema moich utworów. Piszę do dyrektora — niema odpowiedzi. Wreszcie piszę do zarządu wystawy i dowiaduję się, że po długich poszukiwaniach znaleziono moje mozaiki i umieszczono po zamknięciu sądów gdzieś w ciemnym kącie. Było kilku znawców, którzy dawali za tę mozaikę rzymską, pięć tysięcy franków; lecz nie sprzedam jej.

— A cóż pan tworzy teraz? — pytałem — chcąc odwrócić uwagę pokrzywdzonego artysty od myśli, które trawiły go gorączkowo.

— Nie tworzę już nic, — odrzekł, — bo i po co miałbym wysilać zmordowane oczy, trawić się zapałami, cierpieć po raz tysięczny w życiu, że utwór materialny nie może oddać ducha nieuchwytnego. Nie warto!

— Ależ bierze pan rzeczy zbyt gorączkowo — uspakajałem artystę. — Nie tylko w dziedzinie sztuki, lecz w każdym zakresie działalności człowieka przychodzi nań chwila, gdy powiada beznadziejne: nie warto! A wie pan, co znaczy psychologicznie ten okrzyk zniechęcenia? Znaczą: jestem zmęczony, wyczerpany pracą jednostajną, wstrząśnieniami; więc trzeba wypocząć, uspokoić się, zapomnieć i znowu wrócić się po jakimś czasie do pracy z nową myślą, nowymi zapałami, nową wytrwałością i dawnym doświadczeniem i wiedzą. I pan wrócisz!

— O nie! — zarzekał się artysta; — jestem niezdatny do niczego, przestałem odczuwać piękno, myśl ma niezdolną już wznosić się ponad banalność życia. Duch zamarł; niedaleki już mój koniec. Siedzę tu po całych dniach, patrzę na moje mozaiki i wspominam, wielem włożył w nie trudu, niepokoju, nocy bezsennych... I po co to wszystko? Nie warto!

— Pan przypuszcza, — pocieszałem artystę, — że ten stan ponury pozostanie stale. W tem właśnie tkwi cały błąd, cała przyczyna przygnębienia. Nie tylko człowiek, lecz wszystko, co żyje, ma swój okres: „nie warto“, lecz on przechodzi. I palma opuszcza skrzydła beznadziejnie, a one schną, zwątpiwszy, czy zaświeci jasne słońce; i morze usypia swe fale zapalczywe i pograża się w martwocie bezgranicznej, i gwiazda dnia zakrywa swe oblicze kirem czarnych chmur. A jednak życie wraca do nich; — i palma znów wznosi skrzydła zielone, morze

cieszy się pluskiem fal, słońce promienieje światłością. I z pańskiego ducha opadną kiry zwątpienia.

— I będę mógł znowu odczuwać piękno, tworzyć! — wołał gorączkowo artysta. — Czyż to podobna? Czy prawda? Więc może powrócić radość mego życia?

— Powróci napewno, — mówiłem; — bo kochasz swą sztukę, bo stworzysz dlatego, że nie tworyć nie możesz. Pcha cię siła wewnętrzna do uzmysłowania myśli i czuć, które opanowały twego ducha. Nie dla poklasku, nie dla złota, nie dla ludzi, lecz dla siebie mozolisz się i cierpisz, by widzieć oczy cielesnemi, co nieuchwytnie, niepojęte tkwi w tej duszy.

— Pan mnie zrozumiał, — mówił artysta; — czuję, że masz słuszność; zabiorę się znowu do pracy i zacznę żyć szczęśliwy, jak dawniej... Dziś, zaraz!

— Powoli, powoli — przerwałem mu — jesteś znużony, wyczerpany. Trzeba wypocząć, nabrać sił. Przyroda odrodzi cię; oddaj się całkiem pod jej opiekę. Patrz: tu stoi drzewo pomarańczowe, pogrążone w smutku, że ogołocoło je z kraśnego owocu; tam latorośl winogrodu przypadła w rozpacz do ziemi, że pozbawiono ją jagody; dalej palma oplakuje kiście daktylowe, które jej odjęto; owca beczy za jagnięciem, które poszło na rzeź... Wszystko, co istnieje, chciałoby żyć dla siebie; lecz los każe każdemu stworzeniu poświęcić coś ze swego jestestwa, coś ukochanego, najdroższego. W tem zwartem kole poświęceń tkwi harmonia przyrody. Wsłuchaj się w nią — i znajdziesz, że to symfonia przepiękna. Lecz strzeż się, by twój głos nie brzmiał zbyt silnie, bo harmonijne tony staną się dla ciebie zgiełkiem bezładnym. Będziesz odrodzony, gdy usłyszysz hymn dziękczynny, śpiewany przez chór wszystkich tworów, sławiących przyrodę, że mają coś do poświęcenia.

— Już słyszę go, — mówił mój współbiednik, — a oczy jego nabrały blasku.

Jest prawdziwym artystą, — rozmyślałem, — żegnając się z górą ogrodów, lasów, zieleni. Czuje — więc tworzy, tworzy — więc żyje, żyje — więc cierpi. Tak; tworzy to, co czuje — bo tworzy dla siebie.

I pomarańcza, i winograd, i palma tworzą też dla siebie; i ziemia, i słońce tworzą dla siebie; bo każde z nich tworzy to, co czuje i kocha... I są wielkimi artystami... A płody swe serdeczne poświęcają na ołtarzu przyrody, bo tak żąda harmonia świata. Dziwna harmonia z bólów, cierpień, ofiar, łez, które twórcy-artyści zlewają w hymn dziękczynny.

A cizba bezmyślna słucha tej pieśni... i mówi: wszelkie stworzenie istnieje, by nas zadowolnić...

XIII.

Na południe od Algieru leży w pobliżu wybrzeża piękny ogród, zwany: „jardin d'essai du Hamma.“ Tramwaj elektryczny dowozi gości do samych jego wrót.

Koło południa było dość pusto w ogrodzie, pomimo że był dzień świąteczny, choć trudno wymagać, by 80 hektarów ziemi zarzewionej w pobliżu osiemdziesięciu tysięcznego miasta mogło wyglądać, jak — nieprzymierzając — nasz ogród Saski w dzień sobotni, albo w inne święto. Na tej ogromnej przestrzeni, poprzecinanej alejami i szpalerami, giną tysiące ludzi, jak krople deszczu w oceanie. Pewno dlatego nie szeleszczą tu jedwabie, nie powiewają fantazyjne podogonia strusia na głowach, nie zaduszają powietrza tumany kurzu, które wdychają tłumy „dla zdrowia“, nie zakłóca spokoju natury wrzawa rozmów. Słowem, jesteś w tym ogrodzie dla zbliżenia się do pięknej przyrody, a nie dla pojenia się powszedniością życia.

Aleja dębowa przecina aleję eukaliptusów, ta graniczy z aleją fikusów, palm. Co za różnorodność tych tworów roślinnych!

Olbrzymie kaktusy tasiemcowate wyniosły pnie drzewiaste na parę metrów i rozraczają namiot z mięsistych liści kolczastych, które, jak członki tasiemca, wyrastają jedno z drugich. Tam kolonia bananów rozpostarła swe panowanie; pień drzewa, po-

kryty dużemi łuskami, które chowają się za szerokimi parometrowemi liśćmi, zwieszającemi się z korony w postaci parasola: spośród nich opuszcza się ciężka łodyga, dźwigająca parę wianków owoców paluszkowatych. Dalej palma olbrzymia chłodzi się swemi wachlarzowatemi liśćmi. Na brzegu alei drzewo wawrzynowe schyliło konary sławodajne, jak gdyby mówiąc: pójdź do mnie, skroni zasłużona! Sąsiadka najbliższa, róża wysokopienna, przerzuciła doń cienkie gałązki i, objąwszy konary w uścisku, zakwitła na szczycie wawrzynu wonnemi kwiaty; a one powychylały pasowe twarzyczki z zieleni, by stwierdzić, że ze sławą idzie w parze miłość... O tak! do sosny skromnej, zapomnianej, nie przytuliłabyś się, różo wonna, bo nie nęca cię igły kolące, któremi los uwieńczył jej głowę! Tak, sława i miłość idą w parze; a nasz los cichych, skromnych, nieznaných?—skracać dni samotne zapomnieniem...

Miłości! dla uroku twych powabów niejedna sosna chciałaby wznieść się ponad tłumy, choćby cały bór miał zabrzmieć śmiechem szyderyczym... Lecz nie może: do jej głowy przyrosła ciernista korona—i dola jej jest ciernista...

Wszedłem do alei, która z jednej strony przedstawia gąszcz nie do przebycia. To bambusy, olbrzymie rośliny trawiaste, wyrosły tu ścianą, przez którą nie może przebić cię oko, jak przez łań oziminy na polu. Ich źdźbła potężne, gładkie, kolankowe, wyrastają kępiasto i wybiegają kilkanaście metrów nad ziemię, a ze szczytów zwieszają się kłoski i drobne, krótkie listki modrawe. Gdzieniegdzie źdźbło złamane odsłania puste wnętrze, jak dudkę słomy.

Patrząc na te rośliny tak podobne do naszych zbóż, uciekasz myślą do podań i klechd, które gdzieś, kiedyś słyszałeś, pewno w latach dziecięcych. I odzywają ci w pamięci owi olbrzymi, którzy ongi zaludniali ziemię, wspominasz tytanów, walczących z bogami na śmierć i życie o władzę i panowanie nad światem. Więc myślisz, że te olbrzymie rośliny trawiaste musiały wtedy pokrywać wielkimi łańami ziemię, a wielkoludy czyniły na niej zniwo. Źdźbła przetrwały tych, co je żeli...

A cóż po nich zostało?—Wieść głucha, bajeczne podanie. Ziemia przechowała kości olbrzymiego mamuta, przeddziejowych potworów

morskich i lądowych,—ani śladu wielkoluda.—Lecz on istniał,—zapewniają cię bambusy kępiaste.

— Czy wyginał, czy też skarłał? — badasz je.

— Skarłał — mówią.—I myśmy skarłały; nasze potomstwo szumi teraz na stawach, jako trzcina, zielenieje na łąkach trawką nikłą, złoci się na polach pszenicą, srebrzy żytem.

— I czemu? — pytasz.

— Bo wszystko maleje,—mówią; — zmałyły lądy, wymyte przez morza, zmałyły góry, żłobione przez wody, zmałyły rzeki, pochłonięte przez oceany, zmałała ziemia, wyziębivszy swe ciało, zmałało słońce, zrodziwszy świat planetarny...

— Więc takim jest los wszystkiego, co żyje! Nic nie ujdzie potężnej ręki czasu, która dławi życie, by je zdusić, unicestwić! Przyroda twórcza wyzwoliła świat z chaosu, a Kronos¹⁾ posepny miałby go pograżyć w niebycie?

— Tak! — mówiły bambusy.

— A duch ludzki, który wylata nad poziomy, czy także skarłał czy czeka go również zagłada, nicestwo?

— Był zawsze tak mały, że nie mógł skarleć, — mówiły.

— O nie! były czasy Prometeuszów, którzy dla światła skazywali się na męczarnie wiekuiste; Ikarów, którzy ginęli, zbliżywszy się do zazdrosnego słońca; były czasy Pryjamów, płaczących na gruzach Troi, choć mogli ratować życie ucieczką; były czasy Antygon, Tezeuszów, A dziś?..

— Więc i duch ludzki skarłał!!.. — Kronosie, zwyciężasz!..

Potężne bambusy ustawiły się w zbite szeregi, jak pułki wojsk. Były gotowe do walki. Kronos nie spieszył się; szedł powoliście, chwila po chwili, lecz posuwał się wciąż naprzód. Wiedział, że zwycięży powolnością, jak Kunktator.

Szedłem w głąb ogrodu. Jakieś szeregi roślin karłowatych zastąpiły mi z dwóch stron drogę. Nigdy w życiu nie widział podobnych potworności: z krępego, niskiego pnia, połamanego w tysiącne garby

¹⁾ Czas.

wyrastały pokrzywione, pogięte grube gałęzie, jak ręce paralityka, pozaciskane kureczowo. Kora potrzaskana obnażała rany tych kalek zniekształconych. Bogata zieleń liści świadczyła, że drzewo zadowolone jest z istnienia i nie odczuwa swej brzydoty i ułomności.

— Co to za drzewa? — pytałem ogrodnika, który był zajęty opatrywaniem ran jednego z tych karłów zwyrodniałych.

— Nie wiem,—odrzekł;—niech pan spyta się w kancelaryi, gdzie sprzedają rośliny doniczkowe.

— Pracujecie w ogrodzie przy tych roślinach,—dziwiłem się, — i nie wiecie nawet, jak się nazywają?

— Co mnie to może obchodzić? — mówił; — nie zapłacą mi przecie za to ani jednego sou więcej. Robię, co mi kazano — i basta; jeżeli będę zbyt ciekawy i zbyt mądry, to wezmą kogo innego na moje miejsce.

Przy skarłowaciałych roślinach pracował człowiek skarłowaciały. One były zadowolone, bo miały bogactwo liści zielonych; on był rad z siebie, bo zarabiał półtora franka dziennie.

A Kronos cieszył się ze swych zwycięstw.

Wróciłem do głównej alei. Snuło się tam dużo Arabów w barwnych burnusach. Siadłem na ławce w cieniu eukaliptusów. O parę kroków grało w karty paru młodych Arabów. Rozsiedli się na ziemi w koło ławki z podłożonemi pod siebie nogami. Z oczu tryskała im namiętność, a spojrzenia, które rzucali na siebie, ziały zazdrością i nienawiścią. W tem zjawił się dozorca ogrodu, wzywając graczy do rozejścia się. Nie obeszło się bez złorzeczeń, pogroźek, przekleństw, zanim Arabi opuścili stanowisko.

A Kronos śmiał się wesoło.

Przez aleję szedł francuz z blaszanką na plecach i nawoływał przechodniów do słodyczy. Otoczyło go kilku chłopców. Wnet blaszanka znalazła się na ziemi i posiadacz dwóch sou miał prawo spróbować, czy los jest łaskawy dla niego, bo skrzynka była poprostu ruletką, która mogła przynieść szczęśliwcowi kupę ciastek wartości pół franka, lub też orzec, że niema szczęścia i odprawić z kwitkiem.

Arab kilkunastoletni puścił z rozmachem korbkę z gałką; wirowała ona w koło tarczy z cyframi, a oczy obecnych było wlepione w nią,

dech zaparty w oczekiwaniu, gdzie też stanie. Wreszcie zatrzymała się na jakimś numerze. Gracz otworzył gorączkowo wieko blaszanki. Wygrał dwa ciastka i był uszczęśliwiony.

Po nim zaczęli inni poszukiwać szczęścia; los obchodził się z nimi po macoszemu: wzbogacał ubranych w jedwabie i atłasy, a krzywdził bosych. Zapał rósł, choć słodycze nie były zjadane z łakomstwem. Grano dla grania — sztuka dla sztuki.

Francuzi są genialnymi popularyzatorami, — myślałem; — uprzętnie szaremu tłumowi ruletkę i to w tak niewinnój postaci, że ani opinia publiczna, ani władza nie może cześcić się tego hazardu, bo tu chodzi o miedziaki, dla których nie warto wojować, — na to trzeba dużej inteligencji. Nie jest to, co prawda, nowy wynalazek, bo uprawiają go dawno we Włoszech i Francyi; lecz w zastosowaniu do Arabów, ufających ślepo losowi, przyjął się on świetnie. Gdzieindziej wyzyskuje się wiarę w los przy pomocy totalizatorów, loteryi, koszów szczęścia i podobnych sztuczek, które mają za zadanie zciągnąć pieniądze ciężko zapracowany od czarnego tłumu; lecz opinia publiczna oburza się, moralści powstają, dziennikarze i pisarze psują papier i czernidło — podnosi się zgiełk i wrzawa, bo chodzi o wielkie sumy, o ruinę rodzin, o przestępstwa, upadek moralności i t. d. Tu nie przychodzi nikomu na myśl, że miedziak jest wielką sumą dla biedaka, zwłaszcza dziecka, a hazard jest bezwzględnie szkodliwy dla młodych dusz.

A Kronos śmieje się i cieszy z głupoty ludzkiej.

Główna aleja prowadzi do oazy palmowej na wybrzeżu. Olbrzymie królowe drzew zebrały się tu w dużą kolonię. W ich cieniu rozłożyły się stoliki restauracyjne, oczekujące na gości. O kilka kroków fala zatoki rozbija się o głazy. Z tego uroczego kątką wygląda Algier, tonący w słońcu i błyszczący białymi ścianami, jak otchłań żaru i światła. To też zbierają się tu zawsze liczni mieszkańcy na wypoczynek.

Na drodze powrotnej do miasta zatrzymałem się u podnóża góry, na którą zachodzi park Isly. Koło placu oparkanionego panował duży ruch; rozdawano ogłoszenia, wykrzykiwano obwieszczenia. Jakiś przedsiębiorca sprowadził kilka rodzin Eskimosów, które można było zobaczyć za niewielką opłatą.

Koło parkanu było rojno. Arabi i Europejczycy odczytywali z przejęciem ogłoszenia o Eskimosach; niektórzy wchodzili na sąsiednie wzgórza, by choć liźnąć oczami, czego nie można było poznać dla braku pieniędzy: inni wybijali sęki w deskach ogrodzenia, wiercili w niem dziury, wdrapywali się na wierzch—słowem, uciekali się do sposobów, stosowanych z powodzeniem przez uliczników na całej rozciągłości kuli ziemskiej.

I nie dziwota; zobaczyć pod 36-ym stopniem szerokości przybyszów z dalekiej północy z krainy ciągłej zimy, śniegów wiecznych, to pokusa tak wielka, że niejeden mieszkaniec Algieru odżałował franka z centymami, wyrzekł się strawy, by przekonać się naocznie, że mogą istnieć tacy ludzie.

I mnie zapędziła ciekawość, jak znoszą dzieci mrozu upał trzydziesto stopniowy.

Na sporym placu stało kilka namiotów sporządzonych ze skóry renifera. W ich cieniu siedziały kobiety, zajęte pracą. Twarze ich płaskie, policzki wystające, czoła niskie, wargi grube, oczy skośne odbijały rażąco od rysów Europejskich i Afrykańskich; odziane w skóry renifera, przylegające do ciała, ociekały z potu i upadały z gorąca. W paru namiotach pokrzepiali się wyczerpani Eskimosi snem, jednak większość zajęta była pracą: kobiety szyły ubrania skórzane, naprawiały namioty, krzątały się koło dzieci, wyrabiały zabawki i przedmioty pamiątkowe z drzewa, kości; mężczyźni popisywali się swą siłą i zręcznością.

Próbowałam rozpocząć rozmowę z jedną przedstawicielką płci nadobnej. Siedziała w namiocie, zajęta szyciem, podwinawszy nogi pod siebie. Z paru języków, któremi przemawiałem, rozumiała trochę po niemiecku i dała mi parę odpowiedzi. Dowiedziałem się, że jest mieszkanką Ameryki północnej, że wożono całą ich kompanię na wystawę paryżką, a teraz jeżdżą z przedsiębiorcą po świecie, by za jednym kosztem zarobić więcej.

— A cóż, gorąco tu bardzo? — pytałam.

— Ciężko odychać, brak sił—mówiłałamanyim językiem. — W Paryżu było gorzej, bo było lato. Unas tam teraz śnieg, na równinie, a tu le-dwo gdzieniegdzie w górach. Dziwna tu ziemia: bogata, piękna!

— No, to może zostaniecie tu na zawsze?— badałem kobiecinę.

— Nigdy! — wołała. — U nas ziemia biedna, często głód; lecz tam najlepiej żyć i umierać! Och, gdyby wrócić najprędzej!

— Czemu więc przyjechaliście tutaj? — mówiłem; — trzeba było siedzieć u siebie.

— Człowiek był głupi, — tłumaczyła, — nie wiedział, że może żyć bez swych radości i cierpień, bo zrosł się z niemi. Przyjechali przedsiębiorcy, obiecywali bogactwa, namawiali i zdurzyli głupiego człowieka. Lecz teraz, gdy wrócimy, nie wyruszę już nigdy ze swej ziemi.

Łzy cisnęły mi się do oczu. Tęsknota żywiołowa do kraju trawiła i mnie już dawno...

Przed namiotem stanął młody murzyn, przysłuchując się naszej rozmowie, której nie rozumiał. Wlepił swe czarne oczy w Eskimoskę i oglądał ją od stóp do głów. Grube wargi obnażyły dwa rzędy zębów perłowych, czarne policzki zciagały się w liczne fałdy, płaski nos spłaszczył się jeszcze bardziej, wysokie czoło zmarszczyło, aż nastroszyły się czarne kędziory. Murzyn śmiał się serdecznie.

Zdało mi się, że ten śmiech miał znaczyć: — Allachu, Allachu! jacy to potwornie brzydcy ludzie zdarzają się na świecie!

— Co za szkaradne twarze tych murzynów, — mówiła Eskimoska, — aż ma się wątpliwość, czy to ludzie.

Każdy z przedstawicieli pewnej rasy uważa ją właśnie za piękną, stwierdzając w ten sposób względność wrażeń i uczuć estetycznych. Bo każde środowisko wyrabia swoje własne poglądy na całość spraw życiowych więc i pojęć o pięknie.

Wzdłuż płotu popisywali się mężczyźni. Byli to ludzie nizcy o płaskich czaszkach ¹⁾, wystających kościach policzkowych, małych, czarnych, skośnych oczach, grubych nosach, czarnych, gładkich, bujnych włosach, podciętych nad karkiem, grubych, wywiniętych wargach, czerwono-żółtej cerze; przy grubych karkach, rozrosłej klatce piersiowej raziły nogi drobnością i słabym rozwojem. Małości rąk i nóg

¹⁾ Eskimosi płaszczą dzieciom czaszki, żeby miały tę samą szerokość, co policzki.

mogliby im pozazdrościć nie tylko przedstawiciele krwi błękitnej, lecz i niejedna mieszkanka państwa Niebieskiego.

Sześciu Eskimosów było zajętych grą, polegającą na kolejnym strącaniu długimi rzemieniami miedziaków, rzucanych przez publiczność na pomost. Kto zrzucił pieniądz na ziemię, zabierał go na własność i gra rozpoczynała się na nowo, gdy kto z widzów poświęcił znowu miedziaka. Pomiedzy współzawodnikami odznaczał się młody chłopiec, liczący koło 18 lat o pogodnym wyrazie twarzy. Za trzecim lub czwartym uderzeniem, a często i wcześniej, strącał pieniądz nawet z dużej odległości, a oczy promieniały mu wtedy radością.

Kilku Arabów przyglądało się z przejęciem tej grze; paliły się im do niej oczy. Niektórzy nie szczydzili miedziaków, by podtrzymać przyjemny nastrój. Urządzili też na poczekaniu totalizatora, uważając zabawę za bardzo odpowiednią, by i sami mogli pohazardować nieco.

Z poza ogrodzenia wyszedł młody przedsiębiorca, zdaje się francuz, i wydawał rozkazy. Eskimosi zaprzestali wnet trzaskania rzemieniami, paru pobiegło po psy, które zaprzężono do sanek. Sześć niewielkich kudłatych psiaków ciągnęło po piasku w całym pędzie sanie z Eskimosem w nich z taką łatwością, jak gdyby to odbywało się na śniegu. Gdy dobiegano do końca ogrodzenia, woźnica zeskakiwał z pojazdu i przewracał go bokiem, bo nie można było powstrzymać inaczey rozbrykanych pociągowców.

Było to prawdziwie zajmujące widowisko dla Arabów, bowiem w Algierze widuje się psy rzadko, a zużytkowania ich siły nie spotyka się nigdy i to dla prostej przyczyny, bo najwdzięczniejszym pracownikiem jest osieł: pracuje wytrwale, a żywi się byle jakim zielskiem.

Po kilkakrotnej przejażdżce zaczęło się żywienie psów. Trzeba było przywiązać je na łańcuchach, tak pociągał je zapach kartoflanki z gnatami, które przyniesiono w kotle. Zgłodzone zwierzęta, zasmakowawszy w potrawach gotowanych, rwały się do nich, aż łańcuch szarpał im kudły i dusił gardziele. Na północy dostawały resztki foki surowej, świeżych lub suszonych ryb i ptaków, kości upolowanego renifera, nie dojedzone przez Eskimosa;—to była ich zwykła kuchnia w czasach łowów; a wieleż to dni i tygodni upływało w głodzie zupełnym, bo

śniegi i mrozy nie pozwalały upolować zwierza, ani schwytać jakiego mieszkańca wód.

Psy dopadły misek i osuszyły je w jednej chwili, gotowe rzucić się na śmiałka, który odważyłby się skrzywdzić je o jedną kroplę strawy. Skończyła się uczta i zwierzęta wróciły na łańcuchy ze spuszczo-nemi uszami, smutne, przygnębione. Czy bolały nad tem, że czarki ze strawą — prawdziwą królewską strawą — były małe, czy ta jaskrawa ku-la na niebie odbierała im siły, czy może tęskno im było do tych prze-strzeni bezgranicznych, pokrytych śniegiem, gdzie oddycha się pełną piersią? Radbym zobaczyć te psy, gdy wrócą do Grenlandyi; wiele py-tań z psychologii zwierzęcej dałoby się tam rozwiązać.

Zaczęły się nowe popisy na pomoście. Dwaj Eskimosi, odziani w skóry fok, przedstawiali polowanie na te zwierzęta. Jeden grał rolę foki, która przeczuwając niebezpieczeństwo, podnosiła łeb do góry i rozglądała się po okolicy; drugi był myśliwym i podsuwał się ostro-żnie z włócznią do zwierzęcia; wreszcie zatopił ostrze w jego ciele.

— Wielka sztuka, — mówił Arab do Francuza w moim sąsiedz-twie, — polować na takie niemrawe stworzenia, do których można zbli-żyć się o krok, nie narażając siebie. U nas myśliwy spotyka lwa, tygry-sa, panterę, krokodyla i daje sobie radę z niemi; ale tacy dzicy nawet nie przypuszczają, że są jakie zwierzęta, prócz fok, ryb i reniferów. Strasznie głupi ludzie na tej północy.

— Rzeczywiście, — odparł Francuz, — dość spojrzeć na ich ubra-nie, by przekonać się, jak im daleko do uspołecznienia. Czy słyszane rzeczy, żeby kobiety i mężczyźni ubierali się jednakowo i to w skórzane odzienie. Przecież można upiec się w niem. I oni podobno pokazywali się tak na wystawie paryzkiej!.. Bezwstydni!

Francuz i Arab przytaczali coraz nowe dowody na stwierdzenie, że hiperborejczycy (ludzie polarni) są jakimiś dzikimi stworzeniami, niesłusznie uważanemi za ludzi. Z przykrością musiałem stwierdzić, że te sądy nie przynosiły zaszczytu ani europejskiemu, ani afrykańskiemu uspołecznieniu, bo myśl współbiedników nie wybiegła nigdy po za gołe fakty, nie starała się poznać i zgłębić ich przyczyny. Potępiano ludzi za to, że los i przyroda były dla nich nielitościwą macochą.

Zaczęły się nowe przedstawienia w tem żywym muzeum, które niejeden z widzów nazwałby menażeryą. Na pomoście popisywali się Eskimosi ze swemi zabawami narodowemi. Najbardziej podobała się walka stopami, polegająca na tem, że dwaj przeciwnicy, przeciagnawszy kije pod zgięciem kolanowem i nad łokciowem, starali się w pozycji siedzącej przewrócić nawzajem stopami i stoczyć na ziemię. Ten sam młodzian, który zdobywał najwięcej miedziaków w walce z rzemieniami, zwyciężał teraz napastników.

Po popisach zręczności i siły przyszły popisy estetyczne: śpiew i tańce. Nie rozumiałem nic pieśni, która miała wysławiać czyny człowieka, pogromcy przyrody. Śpiewał ją chór męzki nutą posępną, jednostajną, jak krainy bezsłoneczne, gdzie ta pieśń powstała. Po każdym okresie minorowym, malującym zapewne trudności, jakie człowiek ma do zwalczenia, następował okres majorowy radosny, śpiewany solo przez młodego Eskimosa; był to okres ośmiotaktowy, w którym dźwięki: „aje, aje“ odpowiadające prawdopodobnie naszemu „la, la“... podnosiły się stopniowo do tonów wysokich i wracały do pierwotnego niskiego. W takt tej pieśni podskakiwał cały chór w wesołych podrygach.

— A te zabawy, ten taniec, śpiew,—mówił Arab,—czyż nie dowodzą, że to zupełnie dziecy ludzie?

— Oni podobno jedzą żywe ryby,—dodał Francuz,—surowe mięso zwierząt, piją ich krew, wstrętny tran, nie znają drzewa, ognia.

— I było też co nam pokazywać,—oburzał się Arab,—jak gdyby nie zachwycał się nigdy tańcem brzuchów, tańcem z węzami, sztukami kuglarzy, jak gdyby nie przyszło mu nigdy na myśl, że i o nim, Arabie, mógłby kto powiedzieć pogardliwie: dziki człowiek.

Dziwną jest pogarda w stosunku do ludzi, od których czujemy się wyżsi dla tego jedynie, że ich nie rozumiemy. Skrzywdziła ich przyroda, los był dla nich nielitościwy; więc i my musimy dopełnić czarę ich cierpień. Czy to pogardliwe „dziki“ nie jest słuszniejsze w stosunku do nas, zaślepionych w wątpliwej mądrości i wielkości?

Na placu były poustawiane różne proste narzędzia gospodarcze Eskimosów, przyrządy myśliwskie, szkielety wielkich zwierząt i t. d.

Przyglądano się z wielkiem zajęciem łódce męzkiej jedno osobowej, zwanej kajakiem: mierzyła ona 4 metry długości, pół metra szerokości i była zbudowana ze skór i fiszbinów.

— Ledziutka, — mówił jakiś Francuz, — sunie pewno po wodzie, jak piórko.

— Jak świetnie spojone skóry, — mówił inny, — ani jedna kropla wody nie przedostanie się do środka.

— Co? skórzana łódka! — śmiał się Arab, pierwsze słyszę, żeby kto robił ze skóry łódki! Z czegoż będzie szył pantofle i tłómczki? Pewno z drzewa, lub żelaza?

— Ależ zrobiona tak dobrze, — wtrącił inny, że wygląda zupełnie, jak drewniana. Nigdy nie pomyślałbym, że to skóra.

— Głupi ludzie, — postawił wniosek Arab, — żeby robić łódki skórzane!

— Kiedy nie mają drzewa na północy, — zauważył Francuz.

— To niech sobie kupią, — prawił Arab.

Miał słuszność podobnie, jak bogacz, który pokrzepiał nędzarza, zebrzącego o chleba kawałek ciepłemi słowy: „Niech Pan Bóg opatrzy. Bądź zdrow i kup sobie wszystko, czego ci potrzeba.“

W jednym ze skórzanych namiotów przy świetle lampki tranowej nuciła młoda matka piosnkę swemu dziecięciu przy piersi. Pewno cieszyła się myślą, że jej maleństwo wyrośnie na mądrego i wielkiego człowieka, bo zetknęło się już w zaraniu życia z wysoką kulturą.

Nie przypuszczała, że zwano ją, jej dziecię, jej współobywateli pogardliwie: „dzikimi.“

XIV.

Od rana mówiono o wielkiej uroczystości arabskiej, która miała odbyć się za miastem. Na rogach ulic rozlepiono ogłoszenia, a właściciele hotelów zaopatrywali przyjezdnych w bilety wejścia, zciągając za nie opłatę pięciofrankową.

Stawiłem się punktualnie w porze wskazanej w miejscu zbornem, lecz, jak się pokazało, po to jedynie, by przekonać się, że brak słowności nie jest cechą, właściwą wyłącznie nam polakom, jak to utrzymują nasi wrogowie niemcy, lecz że inne narody Europy umiały zaszcześcić tę wadę nawet w części świata, odległej od nich o całą szerokość morza Śródziemnego. Upłynęła godzina z górą, zanim gospodarze usadowili gości w czterech brekach, które miały powieść nas na plac Hussein-dey.

Koło biura wycieczek tłoczyły się tłumy, by przyjrzeć się wyjazdowi. Wreszcie ukazał się pochód. Kilkunastu arabów konno przemknęło przez plac Rządu; za nimi toczył się powóz z dostojnikiem arabskim, który kłaniał się na wszystkie strony; na koźle obok woźnicy siedział murzyn, dzwigający wielką chorągiew barwną, haftowaną z półksiężycem na drzewcu. Dalej toczyły się karety i powozy zakryte z zakwefionemi arabkami, potem wózki, dorożki i na końcu piechurzy w podskokach i tłum różnobarwny. Cały pochód przystanął na chwilę, by dobrą resztę gości, poczem wyruszyliśmy wszyscy razem przez bulwary, wybrzeże, miasto do miejsca przeznaczenia. Jeźdźcy pędzili na przedzie. Ich konie rasowe, przeważnie białe, pokryły się pianą. Oni zaś, przybrani w barwne burnusy i białe zawoje, pochyłili się do przodu, że widać było plecy głębokich siodeł bogato haftowanych; grube strzemiona i złożone poślizki, błyszczały na słońcu.

Za jeźdźcami podążał, kto mógł: więc ciągnęły powozy i breki, biegli piechurzy. Patrzyłem z podziwem na tych ostatnich; zdało się chwilami że ten ruch naprzód narówni z kłusem końskim na przestrzeni kilku wiorst, to nie bieg, lecz lot; stopy ledwo dotykały ziemi, mięśnie kurczyły się sprężysto, a pierś odychała spokojnie, jak gdyby serce nie wymagało przyspieszenia jej czynności.

Z domów okolicznych wylegli mieszkańcy, by przyjrzeć się pochodowi. Oczy błyszczały im zazdrośnie, że nie mogą brać udziału w uroczystości; niejeden nie powstrzymał się, rzucił wszystko i biegł za tłumem, lub, nawróciwszy konia z wózkiem, ciągnął za innymi. Na drodze ustał ruch, bo pochód płynął rzeką, wychodzącą z brzegów.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia zakurzeni, spoceni, lecz pochłonięci myślą, co też ujrzymy. Prowadzono nas na plac,

otoczony krzakami. Kilku Arabów robiło honory; wskazywali posiadaczom biletów pięciofrankowych miejsca siedzące. Z trudnością znalazłem krzeselko, bo widzów zebrało się już parę setek. Byli to prawie wyłącznie Europejczycy, mówiący różnymi językami. Arabi zajęli miejsca bezpłatne za płotem, który otaczał krzesła. Pośród nich było dużo kobiet o iskrzącem spojrzeniu, tatuowanych czołach, brwiach oblepionych jakimś połyskującym czernidłem, barwionych palcach i paznogiach; z pod lekkich, białych zarzutek, które spływały z głowy na tułów, wychylały się nagie ramiona i gors, również tatuowane. Zamożniejsze, lub większe strojnisi obwieszane były świecidełkami, które mieniły się na czołach, na szyjach w uszach, na ramionach. Nielicznym Arabkom towarzyszyli mężczyźni, lub dzieci.

W drugim końcu placu ustawiły się szeregiem powozy z zamężnemi niewiastami, które siedziały w nich, jak w łóżach, oddzielone od tłumu, niedostępne.

Widzowie dawali oznaki zniecierpliwienia, że zaczęcie zabawy opóźnia się. Po jakimś czasie wyruszył z końca placu pochód z kilkudziesięciu arabów. Na przedzie szło kilku muzykantów, grających na pisaćkach, trąbkach i bębnach jakąś rozdzierającą uszy melodyę, która robiła wrażenie czegoś zaimprovizowanego na oczekaniu przez wykonawców, mających po raz pierwszy w życiu instrumenty w rękach. Za nimi wyskakiwał, kręcił się w koło, wykrzykiwał Arab o bardzo nędznym wyglądzie; potem tęgi murzyn dźwigał chorągiew, połyskującą od haftów i półksiężycą. Pochód zamykali arabci, zbrojni w strzelby, samopały, gardłacze, z których dawali salwy od czasu do czasu.

Widzowie arabscy byli zachwyceni. Prawdopodobnie z tym pochodem łączyły się w ich wyobraźni jakieś obrazy wzniosłe zwycięstwa, tryumfu, potęgi. — Kto zwyciężał? kto tryumfował? kto był potężny? Oni, Arabi. — Półksiężyc jaśnieje nad tłumem głów, kapela grzmi pieśnią radosną, grzmot strzałów wstrząsa niebem... Już nie są narodem zwyciężonym... Znów wróciła im wolność... Już wyginęli ich wrogowie... Niema już niewiernych..

— Allach jest wielki i potężny! — mówił mi głos dozorca meczetu.

Widzowie na miejscach płatnych ruszali ramionami i wyrażali głośne niezadowolenie.

— Co za dzika wrzawa! — oburzała się niemka w mem sąsiedztwie.

— Prawdziwe błazeństwo — twierdził brzuchaty jej towarzysz.

— Nie! to uszukaństwo — wołała stara niemka; — kazać zapłacić po 5 franków za takie głupstwo — to prawdziwe złodziejstwo; 5 franków to przecież 4 marki z fenigami. U nas za takie pieniądze w Berlinie można zobaczyć coś ładnego.

— Masz słuszność — prawil niemiec. — To ten francuz hotelarz wywiódł nas w pole! I tu chcą byśmy kochali Francuzów!

Po chwili zaś, nawymyślawszy do syta na nikczemność zwycięzonych z 1871-ego roku, zauważył: — Wiesz, Emmo, że tu jest bardzo gorąco; usycham z pragnienia. Ach, gdyby tak można dostać kufel piwa!

I pragnienie nektaru berlińskiego zatarło na twarzy Niemca nienawiść i gniew na francuzów.

Co za łagodne usposobienie przedstawiciela narodu, który za największy patryotyzm uważa nienawiść tego, co cudze! Jeden kufel piwa może zmienić jego nastrój! Czemu losie nie pozwoliłeś, by w Poznańskim rodzili się tacy Niemcy! Zapewne piwo wytępiłoby niepowrotnie hakatyzm.

Inni przedstawiciele świata europejskiego byli również niezadowoleni. Po drugiej stronie miałam rodzinę francuzką, która wyrażała zdziwienie, że Arabi zadawalniają się jeszcze dziką bezmyślnością, jak gdyby w ciągu 70-ciu lat panowania Francuzów w Algierii nie mieli możności przejąc się uspołecznieniem europejskiem.

W rzędzie przedemną dzieciaczek paroletni wszedł na krzesło i przypatrywał się z zajęciem zbliżającemu się pochodowi. Oczy dziecka błyszczały zachwytem, rączka wskazywały matce błyszczącą chorągiew, a usteczka szebiotały zapytania.

Czyżby pośród tych przedstawicieli wyższego uspołecznienia nikt prócz dziecka nie był w stanie odczuć i zrozumieć ducha ludu, który nie odskoczył daleko od pierwotnego rozwoju?

Nagle zahuczały salwy w pobliżu i... wyraz twarzy dziecka zmienił się od razu: oczki przymrużyły się; brewki zciągnęły, główka schyliła do łona matki, a usteczka wystraszone wołały: uciekajmy boję się!..

I matka usunęła się w głąb, złorzecząc Arabom, że wystraszyli jej dziecinę dziką wrzawą.

A w powietrzu błyszczała chorągiew z półksiężcem na drzewcu; bębny, piszczałki i trąbki dźwięczały nieharmonijnie i nędzarz arabski wyskakiwał przed sztandarem.

Arabi byli zachwyceni.

Skończył się pochód. Widzowie oczekiwali czegoś więcej. Gospodarze robili przygotowania. Rozpędzono publiczność bezpłatną z końca placu i rozebrano płot w tem miejscu. Po chwili ukazali się jeźdźcy na białych koniach i przebiegli w całym pędzie przestrzeń paru set metro-
wą pojedynczo, lub po dwóch. We wgłębieniu po zwinęciu ogrodzenia osadzali raptownie rozpędzone konie i wracali znowu w pełnym pędzie na początek placu. Potem zaczęły się strzały podczas jazdy. Arab zrywał rusznicę, zawieszoną na plecach, w pełnym biegu odwodził kurek, mierzył i palił w powietrze, rzucał strzelbę w górę, łapał ją jedną ręką, wywijał nią młynka i rzucał znowu na plecy. Cała ta sprawa nie trwała dłużej nad pół minuty, tyle, wiele było potrzeba do przejechania paru set metrów co koń wyskoczy.

Po tych popisach konno wystąpiły szeregi piechurów, uzbrojonych w strzelby, samopały, gardłacze. Biegli, jak do szturmu, gromadą, potem rozbiegali się kołem, jak gdyby chcieli otoczyć przeciwnika i, przypadłszy do ziemi, dawali strzał prawie jednocześnie; wreszcie zerwawszy się, biegli gromadą nabijać swe narzędzia mordu.

Zwłaszcza jedna grupa tych wojaków zwracała na siebie uwagę: dźwigali potężne gardłacze, których wyloty rozszerzone, jak trąby, miały po kilka centymetrów szerokości. Narzędzia te, zarzucone całkiem w praktyce wojskowej, grzmia, jak armaty, że chwilami ogłuszają do omdlenia, Wojacy byli przejęci swoją rolą i co chwila spieszyli z nowymi ładunkami. Po każdym strzale wznosiły się tumany dymu, od którego ciemne twarze wojaków stały się całkiem czarne. Pomimo zmęcze-

nia, powtarzali swe popisy raz po raz, zmieniając tylko miejsce. Tuż przed mojem krzesłem huknęło sześć gardłaczy; zatyczka naboju uderzyła mnie w nogę, a silny pęd powietrza ogłuszył zupełnie.

Widzowie opuszczali gromadnie miejsca, wyrażając głośno niezadowolenie. Oszołomiony, usunąłem się w głąb—pod płot, gdy nowy huk zagrział mi nad samemi uszami. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, jakiś lęk chwycił mnie ręką potężną za piersi i zdusił gardło; czułem niemoc w członkach, przez mózg przemknęła myśl: cóż ty dzieciak jesteś, czy baba, że zabierasz się do zemdlenia — a potem: sam jesteś, uciekaj, póki czas, bo któż zajmie się tobą, gdy cię zmysły opuszczają...

...I nagle! — a może to było tylko złudzenie przyćmionej świadomości? — nagle słyszę po przez huk strzelb i gardłaczy dźwięczną, mięką, śpiewną mowę polską... Biegnę oczyma w tę stronę...

Prawdziwa wiochna stoi przedemną: główka jej w aureoli jasnych włosów, wysokie czoło alabastrowe przechodzi linią prostą w nosek grecki, a po bokach promienieją dwa nieba błękitów, ujęte w ciemne widnokregi rzęs; świeżość róży wieje od jej buziaków, zdrowiem tryska kształtna pierś, powagą rysuje się cała postawa... a nadewszystko pieści ta dźwięczna, śpiewna, kochana mowa. Jakem dawno jej nie słyszał! Tyle czasu kołacząc się pośród obcych, porozumiewam się językiem łamanym, i nigdzie nie zasłyszę mowy ojczystej!.. I dziś tu, wśród huku, ogłuszającego ziemię i niebo, zadźwięczałaś mi, kochana, głosem lutni śpiewnej...

Towarzysz polki był w nią zapatrzony; ścisnął jej drobną rączkę i czuł pewno, że w tym wielkim tłumie niema nikogo, prócz nich dwojga. Byli sami... Wystarczali sobie zupełnie...

Więc nie śmiałem zbliżyć się do nich. Bo i cóżbym mógł im powiedzieć? Czy — że sam jestem na obczyźnie? Czy — że pali mnie tęsknota za swoimi płomieniem, zwęglającym duszę? Czy — że jasnowłosa o błękitnych źrenicach i śpiewnym głosie mogłaby stworzyć i mnie piękny świat?

Nie śmiałem zakłócać chwil szczęścia... Niech cieszą się, że w tym wielkim tłumie niema nikogo, prócz nich dwojga...

Znikli w oddali. Przy mnie grzmiały znowu strzały ogłuszające.

I czułem się strasznie samotnym.

W krzesłach było już prawie pusto; za to za płotem tłoczyły się tłumy Arabów, którzy przyglądali się widowisku z niekłamanym zajęciem, robiąc uwagi. Nagle zabrzmiał wesoły śmiech z za płota: widzowie wyszydzali wyrostka, który nie zdążył wystrzelić jednocześnie z innymi. Potem śmiano się z Araba, który zgubił stempel od strzelby, z garbusa, który, chcąc prześcignąć prostych w zręczności, rzucał strzelbę do góry i łapał ją w podskokach w powietrzu — bo właśnie nie udało mu się sztuka. Nastrój wesołości panował wśród rzeszy.

Przez siatkę ogrodzenia zaświeciły mi czarne oczy dziecka, które spoglądało pożądliwie na słodczyce, obnoszone przez kelnera. Ofiarowałem malcowi ciastko. Rzucił się na nie z łakomstwem i znikł w jednej chwili z oczu, broniąc się od współtowarzyszów, którzy rościli sobie prawa do ciastka, jako najbliżsi sąsiedzi szczęśliwca, z podobnej racji, jak Anglia do kopalni złota Boerów.

Z łóż swych w powozach wychylały się bogate Arabki. Twarze prawie odsłonięte promieniały zadowoleniem, a oczy roznamiętione wlepione były w widowisko.

Więc myślałem: Tam wre turniej; tam młodzież popisuje się swą zręcznością i siłą; tam walczą o nagrody, które będą udzielane tu przy tych powozach. Szczęśliwy zwycięzca odbierze z rąk swej wybranej...

— Ha, ha! — zadźwięczał mi głos szyderyczy. — Przecież to nie damy średniowieczne, lecz muzułmanki! Przecież to nie turniej, lecz igrzysko arabskie.

Na widok pana rodziny spadły kwefy na twarze; na jego rozkaz ruszyły powozy, choć tam na boisku brzmiały jeszcze wesołe głosy i grzmiały strzelby i gardłacze.

Wojacy wracali zmęczeni, pokryci kurzem i dymem.

W powozach było cicho; tylko z pod zasłon iskrzyły się oczy.

Siadłem do breku na swe miejsce. Towarzysze podróży czekali już na mnie. Ujechaliśmy kilkanaście kroków, gdy ujrzałem raz jeszcze młodą parę polaków. Wyjechali z tłumu, którego zdawali się nie widzieć; byli we dwoje, wystarczali sobie zupełnie...

Słońce chyliło się do zachodu. Rychło tarcza jego zginęła za górami. Jechaliśmy nad brzegiem morza, otoczonego ścianą zębatą skał. Fala wrywała się na nie z rozpędem namiętym, a potem spadała bezwładnie, jak trup z okopów, rozbita na biały pył i pianę. Za to morze tam na północ, gdzie teraz leżą śniegi na równinach, leciałem myślą. Dość mi już życia, którego nie rozumiem, nie odczuwam, dość bezbronności samotnej, tęsknoty beznadziejnej. Morze! Nie odstraszysz mnie twą falą wspienioną, jękiem toni. Wrócę do swego kraju, gdzie czeka mnie...

...Nikt nie czeka!..

Na wzgórzach bielał przy ostatnich promieniach słońca Algier, przyglądając się zacisznemu portowi i spokojnej zatoce. Był rad, że przeżył całe wieki w tem uroczem otoczeniu.

Drogą płynęły tłumy, powracające z Hussein-Dey. Moi towarzysze nie mogli uspokoić się, że ich namówiono na tę wycieczkę.

— Nie dziwię się Arabom — kończył jeden z nich, — bo to dzieczo zupełna, lecz Europejczycy żeby mogli uważać bezmyślną strzelaninę za zabawę — to mnie oburza.

— Czego nie zrobi przedsiębiorca — zauważyła żona mówiącego — dla wyzyskania ciekawości i łatwowierności ludzkiej!

— A cóż państwo właściwie spodziewali się zobaczyć? — wnięszałem się do rozmowy. — Przecież to miała być wielka uroczystość arabska; mieliśmy przeto zobaczyć, jak bawią się Arabi.

— No tak — odparła dama — ale to wcale nie zajmujące.

— Jak dla kogo — zrobiłem uwagę. — Nie rozumiemy obcej nam postaci życia i dlatego zwiemy ją wprost dziką, głupią. Czy słyszycie? Czy to nie ten sam błąd, który popełniamy tak często w stosunku do dziecka, nie umiając zniżyć się do jego poziomu umysłowego? Mądry wychowawca nie zna dzieci niegrzecznych, nieposłusznych, zakutych głów i t. p., bo wie, że każde takie określenie dowodzi tylko jego własnej nieudolności.

— Być może — mówiła dama, — lecz to nie przekonywa mnie, by taka zabawa arabska była zajmująca.

— Inteligentnego człowieka — mówiłem — zajmuje wszystko, co budzi w nim myśl, następuje pytania, pobudza do zastanowienia. Ilość tych myśli, pytań jest próbierzem jego inteligencji. Należy jednak pamiętać, że t. zw. oświata i uspołecznienie nie idą bynajmniej w parze z inteligencją, lecz często ją zabijają.

— Pan uważasz nas za nieinteligentnych — wołał towarzysz damy, zrobiwszy ruch, jak gdyby rzucał mi rękawicę. — Proszę wytłómaczyć się, bo...

Nie długo trwało tłumaczenie; zamilkłem jednak potem, by nie narażać prawdziwego Europejczyka na bronienie czci osobistej i czci całej części świata z orężem w ręku.

W pobliżu ogrodu Rzeczypospolitej pożegnałem towarzyszków wycieczki i siedłem zamyślony przez bulwary.

Na ciemnobłękitnym tle nieba rysowały się przepyszne skrzydła palm, cieszących się, że są szczęśliwymi dziećmi bogatego południa. Ciepły wietrzyk wieczoru zimowego potęrał o skórzaste liście fikusów, które dźwięczały, jak odległy głos tamburyna. Żdźbła zeschniętych bambusów grały na fujarkach pieśń dziękczynną, a fala poblizkiego morza wtórowała im szumem i pluskiem. Tej ciepłej nocy zimowej przyświecało niebo miliardami gwiazd ognistych, że oko sięgało w dal nieujętą.

— Szczęśliwa kraino! Przyroda wyróżniła cię ze wszystkich ziem, jak gdyby po to, by reszta czuła wyraźniej swoją krzywdę, by szemrały przeciw tobie i zwały cię macochą. Twemi bogactwami można by obdzielić świat cały, a tyś skupiła je w jednym miejscu, jak skąpiec, który chce mieć wszystkie skarby przy sobie.

Przyroda szeptała głosem tajemniczym; więc starałem się pochwycić ten szept uchem, żadnym odpowiedzi.—I oto słyszę szmer znajomy... Poznaje go odrazu... Tak mówi topola nadwiślańska w noc gwiazdzistą, gdy ją pytasz, czy kocha swoją ziemię. Tak mówi lipa rozłożysta, otaczając cię w godzinę marzeń wonnością upajającą. Tak mówi brzoza płacząca, gdy zwierzasz się przed nią ze swych żalów...

— Co? tu, wśród roślinności podzwrotnikowej jest kto, co umie mówić takimi głosy?!

Cisza przeczyła głuchym milczeniem.

— Więc te głosy przyszły za mną po przez góry i morza, by przypomnieć, że tam na północy przyroda stworzyła cuda, skupiła wielkie bogactwa zapoznane?

Cisza nie dawała odpowiedzi.

— Więc może złudziły mnie zmysły zawodne? Może nikt nie szeptał, nikt nie mówił; może to tylko ułuda?

— Nie! — mówiła moja dusza. — To były moje głosy. Wszak pamiętasz? Dwa szeregi topól i lip splotły ci namiot wspaniały, przybrany w brylanty gwiazd, a tyś chodził pod ich osłoną, marząc o szczęściu nieuchwytnem. Pamiętasz?

— Pamiętam! Było to dawno, bardzo dawno, lecz od tej chwili zacząłem kochać was, topole i lipy i ciebie, nocy gwiaździsta, i ciebie ziemio życiodajna!

— A czy pamiętasz, jak w noc bezsenną, płakała z tobą brzoza współczująca?

— Pamiętam!.. Odtąd łza nie powstała w mem oku, bom poczuł w piersi siłę niezłomną.

— A czy pamiętasz strumyk rozmarzony, jak pięści jeżynę soczystą, strojną kalinę, i wierzbę pochyłą, i bujną leszczyne? I nocne rechotanie mieszkanki jeziora, i odległe szczekanie psa w ciszy tak olbrzymiej, jak rozległość myśli, głębia czucia, bezbrzeżność całunów zimowych... Czy to wszystko pamiętasz? I tych ludzi, co mówią twoją śpiewną mową; i tę biedę oplakaną, co wdziera się pod strzechę powiewem wiatru mroźnego, co niszczy łany złociste pszenicy gradem zabójczym, przedwcześnie spiekotę, co trawi morem dobytek skromny, co upadła człowieka grozą swych okrucieństw... Czy pamiętasz?

Pamiętam, wszystko pamiętam! Kocham je i wzdycham za nimi tęskno!

— A wiesz dlaczego? Bo ja, twoja dusza, z nich się zrodziłam. Tam nauczyłeś się czuć, myśleć, pragnąć — one stały się częścią twojego jestestwa. Obca przyroda, obcy ludzie, obce życie mogą cię zajmować, pociągać, zachwycać; lecz nie zdołasz ich ukochać, bo miłujesz niepodzielnie, niezmiennie, to tylko, co zwiesz swoim. One będą dla ciebie zawsze obce, niezrozumiałe, bezduszne. I gdyby ci na miejscu

lasów sosnowych miały szumieć wawrzyny, mirty, dęby wiecznie zielone; zamiast brzozy płaczącej palma rozkładała ramiona; gdyby krzak jałowcu stał się cedrem potężnym, a trawy polne wyrosły, jak olbrzymie bambusy; gdyby z płaszczyzn rozległych wynurzyły się nagie skały, a wydmy piasku rozlały się w morze faliste; — to płakałbyś, że spokój twej cudnej przyrody zakłóciły obce żywioły, że po twej ziemi ukochanej rozbrzmiewają obce, niezrozumiałe głosy, bo to cię tylko cieszy i raduje, co umiesz objąć myślą i uczuciem...

Prawdę, prawdę mówisz, duszo moja! Dość mi już życia, którego nie rozumiem, dość mi przyrody, która nie budzi nic, prócz zachwytu! Tak dawno już czuję się samotnym wśród ludzi! Jużem zapomniał, co znaczy kochanie, bo tęsknica — to cierpienie!..

Tam w porcie błyszcą różnobarwne latarki okrętów. Pierwszy, który płynie do Europy, niech mnie zabierze z sobą!

Żegnaj mi, Afryko!

ZAKOŃCZENIE.

Za powozem, który wiozł mnie do portu, biegli dwaj chłopcy arabscy, żegnając się, jak ze starym znajomym. Bo też znaleźmy się dobrze! Co rano witali mnie przy wyjściu z hotelu i towarzyszyli nieodstępnie, pókim nie pozbył się ich małym datkiem, lub nie pozwolił oczyścić obuwia za małą opłatę. Mineliśmy bulwar, spuszczaaliśmy się z wiaduktu, a oni biegli wciąż, wyprzedzając konie na zakrętach i przedzierając się przez tłum na wybrzeżu. Daremnie opędzałem się od nich: rozumieli, że to pożegnanie na zawsze, — najlepsza chwila, by coś wyłudzić. Rzuciłem im czworaka, który nie wiem skąd kołatał się trzy miesiące w moim woreczku. Zaczęła się walka o miedziaka. Starszy

zgnębił młodszego i, posiadłszy nieznaną ilość pieniędzy, cieszył się ze zdobyczy. Po chwili prosili znowu o parę sou na pamiątkę.

Starszy miał jakie 8 lat, młodszy koło sześciu; byli bladzi i wątli, a jednak biegli bez zmęczenia, jak charty, powiewając połatanymi burkusikami.

Biedne wytwory bruku wielkomijskiego, zrodzone przez społeczeństwo Europejskie na ziemi Afrykańskiej! Blichtr życia możliwych przybyszów olśnił was; już w zaraniu istnienia stwarzacie sobie przekonanie, że łatwiej żyć żebraniną, niż pracą sumienną, lepiej żywić się odpadkami ze stołu uczyty, niż czarnym chlebem, zdobytym w pocie czoła. Wyrośnięcie z biegiem czasu na przewodników, pośredników, wydrwigraszów, rzezimieszków, żebraków, którzy przepełniają dzielnicę Europejską, gotowi spełnić zawsze przestępstwo z najzimniejszą krwią.

Wjechaliśmy w tłum na wybrzeżu. Chłopcy towarzyszyli mi do łódki. Gdy odbiliśmy od brzegu, ich twarze z wyrazem pokory i uniżoności zmieniły się w oka mgnieniu; śmiech szyderyczy wstrząsnął temi dziecięcemi postaciami, nieklamana wesołość biła im z każdego mięśnia ciała. Śmieli się i drwili ze mnie, że pozwoliłem wyzyskiwać się im niedorostkom, ja syn mądrej, wysoko uspołecznionej Europy.

I zrobiło mi się strasznie żal tych biednych ofiar, którym ludzie zdołali już tak skazić dusze dziecięce, że jest w nich miejsce nawet dla szyderstwa.

Na okręcie było rojno. Coraz nowe łódki przywoziły podróżnych; tragarze dźwigali pakunki, windy parowe ładowały towary, majtkowie kończyli mycie podłogi. Gwar, krzyk, zgiełk.

Przy maszynie siedziała para ludzi, dla których nie istniał świat. On był zapatrzony w głębię jej błękitnych oczu i, tuląc do piersi jasnowłosą jej główkę, szeptał: nie zapomnisz o mnie? nie przestaniesz mnie kochać? — I jej „nigdy w życiu“ pokrywał pieczęcią gorących pocałunków, które spadały na jej usta, buziaki, szyję i rękę.

— Cóż ja samotny pocznę bez ciebie? — zawodził żałośnie, — tyle czasu, tyle tęsknoty, tyle łez, tyle cierpień! I całował ją za te wszystkie czasy, tęsknoty, łzy, cierpienia...

Płakała rozczulona, że dla tego człowieka jest wszystkim na świecie.

— Szczęśliwcy — myślałem;—posiedliście najlepszą częśćkę w życiu. Oby na zawsze! Czemu ona jest udziałem tylko wybranych?

Tubalny głos syreny okrętowej zbudził mnie z zadumy. Słyszałem znów gwar, krzyk, zgiełk; życie tętniło znów pełnią fali, przed którą ginęły nikłe marzenia...

Para roztkliwiona rozstała się. On siedział już w łódce i żegnał ją ruchem rąk i kapelusza, ona powiewała z pokładu chusteczką. A uderzenia wioseł i wir śruby zwiększały między nimi oddalenie i fala wzburzona rzucała łódkę, jak niepokój duszą.

Patrząc na niespokojną łódkę, ginącą w oddali, myślałem: miłości, jeśli przestrzeń i czas budzą w tobie obawy, to nie jesteś uczuciem prawdziwym!

I jasnowłosa musiała myśleć lub przynajmniej czuć to samo, bo powiewała chusteczką nieustannie, choć łódź zginęła już dawno w zaciszu portu, a młodzian rozkochany utonął w ciżbie na wybrzeżu.— Widziała go oczyma duszy...

Z toni wód wynurzały się setki masztów i kominów okrętowych; tysiące łodzi, kryp, barek obsługiwało poważne parowce, krzątając się koło nich z uniżonością służalczą. Po stronie północnej portu ustawiły się wielkie pancerniki, chełpiąc się spiżem olbrzymich dział, których paszcze gotowe każdej chwili szerzyć śmierć i zniszczenie, rozglądały się na wszystkie strony. Koło nich kołysały się zwinne torpedowce małe, jak mrówki, jak osy — zjadliwe.

Z ponad ciemnej linii wybrzeża rozlewały białe ściany Algieru morze blasków oślepiających przy słońcu południowem. Z tej toni świetnej wynurzają się szeregi arkad i piętrzą jedne nad drugimi.

Co za widok! Długie pasmo wysokich arkad zajęło całe wybrzeże i gdzieś, na skraju zatoki, przedzierzga się w brzeg skalisty; do tego pasma dążą dwa szlaki pochyłe arkad wiaduktu, a nad nim wznoszą się arkady podsieni i wnęki okien domów trzypiętrowych, patrzące na morze ciemnymi otworami. Ta wielka masa biała, poprzecinana tysiącnymi plamami na kształt komórek suszu, wygląda, jak misterna korona.

Nad koronkowem miastem arkad bieli się wielka plama dzielnicy Arabskiej. Tylko gdzieniegdzie wystrzeli minaret, lub kopuła meczetu jak gdyby na dowód, że to nie góra kredowa, lecz miasto. Na sąsiednich wzgórzach bieleją wśród zieleni grupki domków i wyniosłe spogląda po okolicy bazylika Notre Dame d'Afrique.

Przebiegam oczyma raz jeszcze wszystkie piękności Algieru, które oddalają się coraz bardziej. Wreszcie już tylko plamka biała na skraju widnokregu świadczy, że tam leży owo piękne miasto. I ona ginie po chwili — i nie widzę już nic po za ciemnym kręgiem, w którym błękit nieba styka się z wypukłością morza.

Jednostajne uderzenia olbrzymich fal pochyliły na bok nasz okręt i kołyszą nim, że trudno usiedzieć na pokładzie. Drobne kropelki przepelniają wilgocią powietrze, a wielkie góry wodne, wdzierają się aż na trzecie piętro parowca, zlewając, podróżnego deszczem wielkich kropli i białą pianą. Śruba jęczy przeraźliwym głosem, a maszyna jak strudzone płuca olbrzyma powtarza, monotennie: ha! ha!

Za parowcem ciągnie się, czarna nieruchoma wstęga dymów, jak welon kirów i biała droga piany i fal rozbitych, które gonią wściekle za parowcem, żadne zemsty, że je podeptał. W czarnym kwefie połyskują białe perły, ruchliwe, jak iskierki; wyciągnęły się długim sznurem, za chwilę skupiają się w jedną masę, coraz która spadnie do morza i znów wzbije się w powietrze. To mewy; ciągną za parostatkiem setki wiorst niestrudzone — za chlebem; wyrzekły się skał ojczystych, rodziny najbliższej, słodkiego wywczasu na wybrzeżu i lecą po czarnej drodze dymów w świat daleki. Biedni tułacze! Po przez morze rozległe, po za ziemię rodzinną, za dymami dusznymi goni was straszne widmo głodu — i zamarło w was wszelkie uczucie i kochanie... Biedni wygnańcy! Czy wróćcie kiedy do siebie, by dokonać dni tam, gdzieście je zaczęli? Nie! wy, jak wyrobownicy dnia, żyjecie, dopóki skrzydło silne i wzrok bystry; gdy one zawiodą przychodzi konanie i śmierć.

Setkę wiorst przepłynął parowiec, setkę wiorst uleciały mewy, chwytając ryby i żyjątką morskie, które wyrzucała śruba. To ledwo siódma część drogi, jaka dzieli nas od Marsylii, a one niestrudzone le-

dwo, że gdzieniegdzie spuszcza się na fale, by chwycić zdobycz i dalej gonią za parowcem.

Przebyliśmy siódmą część drogi do Europy. Za 20 godzin będę na wybrzeżach Francji, za dwa dni ujrzę Alpy, a za cztery doby będę cieszył się widokiem kochanej Warszawy.

Och! gdyby ten czas mógł przyjść jak najprędzej. Spiesz okręcie, spiesz słońce!

Jak gdyby w odpowiedzi na zakłęcie, zaczął parowiec pochyłać się na boki coraz gwałtowniej, a słońce przecięło krwawym słupem pierścień siny widnokregu i po chwili zmrok objął przestworza.

Na pokładzie było pusto. Większość podróżnych złorzeczyła już oddawna w kajutach morzu za jego burzliwość. Czułem, że niebawem przyjdzie kolej i na mnie, bo szumiało mi już w uszach, kręciło się w głowie, nasuwały się myśli natrętne. Więc krokiem chwiejnym posuwałem się po pomoście, trzymając się ławek, sznurów, okien i luftów i nagle!.. — stanąłem, jak wryty: — przy maszcie siedziała nieznajoma, która przed pięciu godzinami żegnała się w tem samym miejscu ze swym najdroższym. Jakiś przedstawiciel siły zbrojnej o wielkich, strzępiastych wąsach i wyzywającym spojrzeniu ujął jej kibić i tulił do jaskrawego munduru. Szeptali. Byli zadowoleni i szczęśliwi, jak ci, co po długiej rozłące spotkali się znowu. Na jej twarzy ani śladu łez, które spływały nie dawno, w oczach ani źdźbła smutku i tęsknoty. Przeniosła rozkosz nad łzy, upojenie — nad tęsknotę. — Uspołecznienie Europejskie nauczyło ją sztuki przywdziewania maski, jakiej wymaga chwila odgrywania roli, w jakiej trzeba wystąpić...

I ta cała obłuda, komedia, które zwyrodniały jej ducha, zowią się uspołecznieniem!

Och, och! — jęczało morze; — ha, ha! — dyszała maszyna; hi, hi, hi — śmiała się śruba.

— Ciała bezduszne! — tonąłem w zadumie; — jak mewy bezdomne nic nie kochacie, nic nie czujecie, gnane głodem, łaknieniem rozkoszy; za rozkosz, za upojenie oddacie wszystko na świecie! I to szarpanie nerwów, drażnienie zmysłów zowiecie życiem, szczęśliwością? Prze-

cież to tylko fułactwo niepocieszone, wychodźstwo beznadziejne upadłego ducha.

— O mewy! — Tam na wybrzeżu skalistem są wasze gniazda rodzinne; tam słońce pieści ciepłymi promieniami osłabione ciała i morze żywi różne zwierzęta, zdatne na żer. A jednak rzucacie to wszystko w pościgu za zdobyczą z mętnych toni.

Kobiety nieopatrne! Tam, w cichej zagrodzie, śmieje się do was życie morzem bezdennem celów wzniosłych i szczęścia prawdziwego; a jednak rzucacie je w pogoni za rozkoszą złudną, szałem nieopamiętania, ułudą zmysłów!

Z zadumy zbudził mnie dzwonek, wzywający na obiad.

Nieznajoma, wsparta na ramieniu węsiała w barwnym mundurze, zaszeleściła jedwabiami i przesunęła się do sali jadalnej.

Och te jedwabie! Wasz szelest przypomina mi szmer pełznącego węża przez gąszcze traw z wyciągniętem żądłem zabójczem. Jak on obwiliście ciało w miękim uścisku zwojów i zatrwały jadem bezmyślności ducha myślącego.

Przy stole siedzieli obok siebie. Na jedwabiu jej stani-ka błyszczała przy świetle elektrycznem spinka z drogich kamieni i takież naszyjnik; palce zdobiły pierścienie brylantowe, ręce — łańcuchy złote.

Och wy jedwabie, brylanty, kruszce szlachetne! Coście zrobili z ducha człowieka?! Dla was żyje.

Przy stole z sześćdziesięciu nakryć zajęte było zaledwo dwanaście. Reszta podróżnych była widocznie w stanie nie do pozazdroszczenia. Oświetlenie rześiste, przestrzeń zamknięta sali jadalnej, woń potraw zwiększyły mi jeszcze bardziej zawrót głowy. Na dobitkę podano jakąś zupę brejowatą, cierpko-kwaśną; po jednej łyżce tej potrawy przypominała się mi wyraźnie przebyta choroba morska. Opuściłem więc coprędej salę i koilem się świeżem powietrzem na pokładzie, dopóki świadomość, że gonię już resztkami sił, nie skłoniła mnie do udania się do kajuty. W sali jadalnej pozostały przy drugim daniu zaledwo cztery osoby wraz z kapitanem. Nie byłem więc odosobnionym, choć sa-

motnym pośród obcych ludzi i pocieszałem się w pierwszych chwilach choroby słowy: „dulce est socios doloris habere“. ¹⁾

W kajucie wszystkie przedmioty poruszały się wahadłowo z nieubłaganą jednostajnością i ja wraz z niemi taczałem się po łóżku, uderzając naprzemian o jego krawędź i o ścianę okrętu. Jednostajność nuży, znużenie wywołuje sen — pocieszałem się twierdzeniami psychologii, łudząc się, że zasnę wreszcie i zapomnę o niedoli podróżnika morskigo. Więc, wsłuchując się w rytmiczny łoskot, liczyłem w takt jego: raaa...z, dwa...a.

Nagle okręt przechylił się tak silnie, że zabrakło mi tchu do dociągnięcia: dwa...a, i stoczyłem się po za krawędzie łóżka na podłogę. Z prawdziwym wysiłkiem wgramoliłem się z powrotem na posłanie, potłuczony, zbrukany, nadewszystko przygnębiony. Nie myślałem już o snie, ani o sprawach społecznych, ani o powrocie do kraju; jedna myśl, jedno pragnienie wypełniały mi świadomość, żeby ten straszny mój bezwład, ta nieopisana bezsilność, to przygnębiające odczuwanie marności cielesnej mogło raz wreszcie skończyć się choćby za cenę życia. Przed tygodniem na tych samych wodach zatonał okręt „Rossya“. Czemuż nie byłem na jego pokładzie, czemu parowiec, na którym jadę, miałby być gorszym. Ach! Czemu nie mam tyle przynajmniej sił, by wdrapać się po schodach z kajuty na pomost i skoczyć w nurty, które wzywają do siebie!

Spojrzałem na zegarek: jeszcze szesnaście godzin tego szamotania się z niemocą, bezsilnością zabójczą. Nie przeżyję tego wieku; lepiej skończyć odrazu.

W tem stanął mi w pamięci starzec o ciele steranem, o myśli młodzieńczo świeżej i błagał: — lekarzu, bądź mym dobrodziejem! Oto cierpię straszne katusze, bom świadom swej niemocy: duch mój zrywa się do lotu, a ciało jest bryłą bezsilną; skróć dni męk moich!

— Nie mogę, — mówiłem mu; — starcze, jeszcze przyjdzie czas, że ciało twe wzmocni się; przyjdzie dzień, — myślałem, — że duch twój zmarnieje; — i będziesz szczęśliw, że po dniu wieczór przychodzi, a po

1) Przyjemnie mieć towarzyszków niedoli.

nocy spokojnej świeci złoty ranek. To, co za grobem nie ominie nas niema do czego spieszyć się. Wszak wiesz, co mówił w Hadesie zwinny Achilles do sprytnego Uissesa: „wolałbym być ostatnim sługą najbiedniejszego pachółka na ziemi, niżli królować wszystkim ceniom po za grobem“.

Byłem niemocen, jak ów starzec. I pojałem, wiele katuszy znosi duch, gdy los nie złamie go narówni z ciałem: cóż dziwnego, że powstaje często przeciw ułomnej cząstce swego jestestwa i podnosi na nią oręż mordu.

Myśli mknęły pędem światła, a czas włókł się ociężale i nieruchawie, jak paralytyk. Zdało mi się, że zegarek stanął, bo nie mogłem przeczekać dziewiątej. Och, nawet w tych czasach, gdy gnębiono mnie gramatykami, prawidłami, wyjątkami, gdy tak zwani pedagogowie czychali, by mnie złapać na jakiej niewiadomości lub omyłce, nawet wtedy nie liczyłem z taką gorączką miesięcy do końca roku szkolnego, jak teraz mierzyłem czas do końca jazdy.

— Dzwoniono na śniadanie — przerwał mi chwilę odrętwienia posługacz — czy pan nie pójdzie do stołu?

Uśmiechnął się drwiąco, patrząc na mój stan oplakany.

— Panu jest trochę niedobrze — dodał z udaną pieczołowitością. — Niech pan zje kawałek mięsa i popije winem, to wszystko przejdzie...

— Czy prędko wylądujemy? — odrzekłem, ledwo dobywając głosu.

— Spóźnimy się o jakie trzy do czterech godzin z powodu burzy — mówił posługacz.

Ogarnął mnie gniew niebywały. Zerwałem się na posłaniu i wołałem głosem „z głębokich wnętrzości wyjętym“ (jak by go nazwał Słowacki): bierzecie 120 franków za przejazd, by spóźnić się o cztery godziny! Jeszcze ośm godzin jazdy!

Biłem pięściami i nogami o ścianę okrętu, jak dziecko, mszcząc się na podłodze, na którą upadło.

— Ze 150-ciu podróżnych, — mówił drwiąco posługacz, — tylko trzech przyszło na śniadanie; reszta choruje; jednak żaden nie gniewa

się, jak pan, bo opóźniliśmy się z powodów niezależnych od nas, — to zrzała siła wyższa.

Zrobiło mi się wstyd przedwczesnego gniewu, więc, spuściwszy z tonu, poprosiłem o porcję herbaty z cytryną i ległem bezwładny na postaniu. — Tylko trzech podróżnych nie choruje, — myślałem, — to zaledwo 2%; a po chwili: — będzie herbata z cytryną, może ustana nudności i zmieni się smak obmierzły... Ach, co za smak! Zdało mi się, że kałamarnica, którą zjadłem przed miesiącem, wypełnia mi usta i zaciska gardziel. Brr!.. Prędeż, prędeż herbaty!

Po chwili posługacz przyniósł płyn upragniony. Z wielkim wysiłkiem zdobyłem się na wlanie herbaty do filiżanki, długom zmagając się z sobą, zanim włożyłem cukier i cytrynę i wreszcie nie mogłem pić, bo była za gorąca. Cierpiałem, jak Tantal, bo nieustanne ruchy okrętu wylewały cenny nektar z łyżeczki, którą drżącą ręką niosłem do ust i z filiżanki, która zdradzała ochotę spadnięcia na podłogę. Więc ległem zniechęcony próbami, wspomniawszy słowa posługacza, że „siła wyższa“ przeciwna się naszym planom i dążnościom! I rozmyślałem, jak mało ma do czynienia ta siła wyższa, jeżeli nie pozwala okrętowi przybyć na czas do portu, a zmarnowanemu podróżnemu — orzeźwić się herbatą. Więc wzięła mnie ochota, by wbrew tej woli nieujętej postawić na swoim, — i jak dziecko uparte, zacząłem parzyć się gorącym napojem naprzekór tej sile.

Walka wyczerpała mnie do reszty; nie zdolny byłem już spojrzeć na zegarek i leżałem bezwładny, bezmyślny. Po przez huk i łoskot słyszając jakieś jęki, dochodzą skądś zbliska. Zdobywam się na energię, nasłuchuję; — jęki milkną. Przestaję słuchać — znów wracają. Po długich dociekaniach przychodzę do wniosku, że sam jęczę bezwiednie.

Wreszcie skończył się ten okres kilkunastogodzinny. Syrena dała znać, że zbliżamy się do portu. Słyszałem kapitana, dającego rozkazy, majtków, biegających po pokładzie, przymocowywanie lin do słupów w porcie; zdawałem sobie sprawę, że to koniec podróży morskiej, że już nie będę widział fal wzburzonych, nie będę odczuwał zabójczego raa...az, dwaaa...a.

— I nie cieszysz się? — mówiłem do siebie, — że skończyła się

a smutna przeprawa, że jesteś już na lądzie stałym, że za dni kilka ujrzysz swój kąć rodzinny?

Byłem nieczuły na wszystko, martwy.

Wbiegł posługacz: — Marsylja! — wołał, — proszę wstawać!

W wyjałowiałej duszy mojej nie pozostało nic, prócz żdźbła poczucia godności: nie zniósłbym, by ciura okrętowy miał przypomnieć mi raz jeszcze, że czas wstawać. Ten ostatni szczątek mej duchowości dźwignął bezsilne cielsko z łoża cierpień i poniżeń. Nie wiem, jak wdrapałem się na schody, jak potem zeszedłem na pomost. Fala podróżnych, steranych podobnie, jak ja, pociągnęła mnie za sobą. Pamiętam, że urzędnicy celni badali zawartość mej walizki z taką dokładnością, jak gdybym jechał nie z kolonii francuzkiej, lecz np. z Niemiec. Potem doróżka rzucała mną, jak okręt, potem winda w zajeździe, ciągnąc na trzecie piętro, sprawiała wrażenie, że spadam w otchłań.

Wreszcie znalazłem się w łóżku. Lecz sen nie przychodził: w pokoju poruszały się wszystkie przedmioty wahadłowo, a ja liczyłem: raa...z, dwa... Przy całej świadomości, że jestem w zajeździe, doznawałem złudzenia, że jadę na okręcie. To przeciwieństwo sprawiło mi straszne cierpienie, tembardziej, że przesuwała się w pamięci cała galeria chorych umysłowych z objawami iluzji.

— A może i ja jestem już obłąkanym? — zaświtała mi myśl.

Zerwałem się z posłania i z prawdziwym wysiłkiem wyszedłem na ulicę, by oderwać się od wyobrażeń natrętnych, które gnębiły mnie w ciszy. Ulica Cannebiér, przedmiot nieusprawiedliwionej dumy Marsylii, wrzała od niedzielnych tłumów, które płynęły tam i z powrotem po chodnikach i przejeździe, zagradzając drogę pojazdom, samochodom i tramwajom elektrycznym. Ten tłum wydał mi się morzem bezgranicznym, a każdy przechodzień — falą olbrzymią, która ma mnie pochłonać. Skręciłem w ulice boczne, by nie widzieć ludzi.

Z jakiejś jadłodajni zaleciał swąd; wstręt nieopisany do jadła ogarnął mnie w tej chwili i w pamięci stanęły, jak wyrzuty sumienia jaja i kawałek mięsa, które spożyłem przed wyjazdem z Algieru.

Długo włóczyłem się po ulicach. Co chwila jakieś wrażenie nasuwało mi wyobrażenia natrętne. Wreszcie przed sklepem z zabawka-

mi dziecięcemi wytchnął mój mózg skołatany. W oknie wisiała strzelba. O takiej strzelbie marzyłem, gdy liczyłem ośm lat. Co to były za czasy! I romysłałem o tym czasie prostoty, i niewinności, gdy potrzeby i dążności były skromne, gdy życie wydawało się rajsłą sielanką. Dzielilo się wtedy ludzi na dorosłych i dzieci. Dorosli nosili wasy i brody, mieli zegarki i scyzoryki; gdy mówili z nami, trzeba było zadzierać głowę, aż bolało w karku, byli okrutni, bo napędzali nas do książki, gdy natura ciągnęła do gry w piłkę, do powietrza, słońca... Wszystkie niedole dziecięce pochodziły od dorosłych, którzy nazywali nas dziećmi upartemi, a sami chcieli zawsze postawić na swoim, nigdy nie przyznali nam racji, a kiedy nie mieli słuszności za sobą, wpadali w gniew i karali doraźnie. Wiele razy myślało się w takich chwilach: gdyby Bozia stworzyła mnie dorosłym człowiekiem, a nie dzieckiem, to byłbym dobrym dla dzieci, bo nie mieściło się w głowie, żeby człowiek, który był sam kiedyś dzieckiem, mógł nie rozumieć tego małego światka. — A mimo to, jakież to były czasy! Gdy udało się wyrwać na wolność, biegało się do upojenia, do szału. Każdy kwiatek, każda trawka, i motylek, i ptaszek pociągało swem życiem i pogodą; wiosna wchodziła powiewem świeżości przez otwarte okno, lato cieszyło wolnością zupełną, jesień syciła dojrzałym owocem, a zima nęciła białymi śniegami, dziwnie ciepłemi, aż paliły ręce przy lepieniu olbrzyma, i radowała sanna, pobrzękując dzwoneczkami i ślizgawką na tafli lodowej.

Jak dziecko, rozczulony wróciłem do zajazdu, rozmyślając o latach ubiegłych. I przyszedł na mnie taki cichy, kojący sen, jak gdybym. nigdy jeszcze stopą niedoświadczoną nie dotknął okrętu, którym spieniona fala życia rzuca po przestworzach beznadziejnie bezgranicznych

* * *

Po paru dniach opuszczałem Marsylję, której francuzi chcą wyrobić najniesłuszniej imię pięknego miasta: ani przyroda, ani ludzie nie stworzyli tu nic, co mogłoby zająć podróżnego, który widział kilka dziesiątków miast portowych. Szablonowy blichtr i szyk w ludziach i ich tworcach, wielkowiejski bezwstyd i wyuzdanie, chorobliwa gorącz-

ka życia, pogoń za podnietami zmysłowemi — słowem wszystko, co cechowało bogate miasto od czasów Babilonu, znajduje tu swój wyraz.

Obliczywszy się z siłami i czasem, postanowiłem zatrzymać się jeden dzień w Genewie, a potem jechać już bez przerwy do Warszawy. Po rozpieszczającym klimacie morza Śródziemnego przejście gwałtowne do mrozów lutowych pod naszym niebem byłoby krokiem zbyt lekko-myślnym; trzeba było otrzaskać się nieco ze śniegiem i zimnem. Alpy nadawały się do tego najbardziej. W Genewie miałem znajomą, studującą w uniwersytecie. Oddawna pragnąłem przypatrzeć się życiu naszego młodego pokolenia kobiecego, rwącego się do samodzielności i równouprawnienia z mężczyzną. Dlatego też uczepiłem się myśli odwiedzenia mej znajomej.

Mijałem starożytnie miasta rzymskie: Arles, Nimes, Orange ze świetnie zachowanymi pamiątkami z czasów, gdy ta ziemia nazywała się prowincją Galią; mijałem pamiętny w dziejach papieztwa Awinion, który zachował wygląd feodalny; mijałem ojczyznę najcenniejszych wyrobów jedwabnych, Ludgun, o którym wiedzą wszystkie elegantki świata, choćby nie słyszały o geografii; mijałem dziesiątki rzek, setki gór, lasów, widoków precudnych, od których kiedyindziej nie umiałbym oderwać oczu — i nie wzięła mnie ani razu chęć zatrzymania się, by zwiedzić, poznać: byłem przesycony wrażeniami trzymiesięcznej podróży; pragnąłem tylko spokoju, codzienności życia, która nie żąda od ducha i ciała wysiłków, lecz pozwala im pędzić dni automatycznie.

Po ciepłym dniu przyszedł chłodny wieczór i zimna noc. Zagadałem się z jakąś nieznajomą, która jechała w stronę granicy. Mijaliśmy wąwozy i tunele, w których noc wydawała się całkiem ciemną. Nagle przez okna uderzył mnie blask łagodny; przez zapotniałe szyby trudno było dopatrzeć się z kąd pochodził. Otwieram okno: równina, przez którą jedziemy i góry otaczające toną w śniegu, w białym, błyszczącym, zimnym śniegu! Zbieram go ręką z framugi okna i bawię się nim, jak dzieckiem. Tak dawno go nie dotykałem!

— Pani! pada śnieg, — wołałem gorączkowo do nieznajomej.

— Istotnie pada, — odpowiada flegmatycznie; — więc niech pan zamknie okno, bo zaziębę się jeszcze.

— Ależ niema niebezpieczeństwa, — zapewniam nieznajomą, — lub zresztą, jeżeli pani obawia się, przejdę do innego przedziału, bo muszę otworzyć okno.

— Czy pan nigdy nie widział śniegu? — zagadnęła towarzyszka.

— Przeciwnie! widywałem go co roku przez trzy miesiące; tylko tej zimy tęskniłem doń z bezśnieżnego południa.

— Jak można lubić śnieg? — dziwiła się nieznajoma, — taki zimny.

— Lubi się wszystko, z czem się zrosło, — mówiłem; — bo nasza dusza powstała z codzienności życia, wyrobiła się i przywiązała do niej. Lubi się i kocha to, co jest częścią naszego jestestwa, choćby ta część była gorsza od innych, miała jakie braki. Przecież i rodzice wiedzą dobrze, że inne dzieci są rozumniejsze, zdrowsze, ładniejsze od ich własnych, a jednak swoje kochają nadewszystko.

— Pan jest pewno rosyjaninem? — pytała nieznajoma.

— Nie, pani, — odrzekłem; — jestem polakiem.

— Ach, polakiem! — mówiła gorączkowo, — kocham polaków, to bardzo szlachetny naród. Mam w żyłach trochę krwi polskiej, bo mój dziadek był Polakiem.

— A czy pani nie mówi przypadkiem po polsku? — pytałem.

— Matka uczyła mnie, — odrzekła — już bardzo dawno, a ojciec kazał mi być Francuzką. Lecz ja bardzo kocham polaków i muszę pojechać kiedy w rodzinne strony mojej matki.

— Jeżeli pani będzie kiedy w Warszawie, — zegnałem moją towarzyszkę, — proszę mnie odwiedzić; będę rad być jej pomocnym w poznaniu tego, co było drogiem dla twych ukochanych.

— Nie omieszkam, — odrzekła, — zegnając się serdecznie.

Jechałem sam. Po czternastu godzinach drogi przebyłem granicę szwajcarską. Nie od razu spostrzegłem, że przeszedłem komorę, bo urzędnicy celni wbrew francuzkim zwyczajom poprzestali na zapytaniu, czy nie mam czego do oddania. W poprzednich podróżach poznałem tylko jeden kraj — Szwecję, gdzie wierzą człowiekowi nieznajomemu i nie upatrują w nim z zasady przestępcy, który ma coś do ukrycia, lub go-tów lada chwila popełnić jakie wykroczenie.

Drugim takim krajem jest Szwajcarya. Trudno nie znającemu stosunków miejscowych orzec, jak takie zaufanie oddziaływa na tubylców: co do mnie, czułem się prawdziwie skrepowanym i zwracałem baczną uwagę, by nie popełnić jakiej niewłaściwości.

* * *

Doczekawszy ranka w poblizkim zajeździe, wyruszyłem na poszukiwanie mej znajomej. Panowała cisza tak wielka, że słyszałem chrzęst śniegu pod stopą. Więc chwilami zdawało mi się, że idę przez płaszczyny ojczyście zadumane, marzące i wymowne milczeniem.

Co za rozkosz wsłuchiwać się w ciszę! Wiele ona ma do powiedzenia! Oto płatek śniegu opuszcza się wolnym, ruchem jak gdyby namyślał się i wahał, i spadłszy na puchy zimowe, mówi: znalazłem was wreszcie, ukochani, nie rozstaniemy się już nigdy — do grobu. Oto mróz w nocy przystroił gałązki drzew pióropuszem, aż zachwycony wiaterek, obiegając je w koło, pokrzykuje: ho, ho! A słońce zazdrosne, pragnąc królować niepodzielnie na ziemi, wysyła swe dzieci promieniste, by zniszczyć cudne twory mrozu; i z gałązek spadają łyzy gorące na całun biały: drzewo szłocha, całun jęczy, a piękno zamiera w szklisztych stalaktytach. I mówią: — nic trwałego, — wszystko przemija!

Oto szary wróbel zaświegotał, że mu głodno i rozbija dzióbkiem bryłkę śniegu, by dobyć zpod niego ziarnko i woła: — zimo nielitosna, plago biednych, bezdomnych!

Z pod lodu jeziora wzywają rybki: powietrza, światła, bo dusi nas ciemność! I człowiek, zdolny słyszeć głosy natury, przebija w lodzie przerębem. Z drugiego brzegu patrzy nań człowiek, ogłuszony wrzawą swego małego światka i dziwi się: że też chce się temu dziwakowi rąbać bez celu lód podczas takiego mrozu!

Doszedłem do brzegu jeziora Lemańskiego. Na małej wysepce łączącej się mostem z lądem, siedzi Jean — Jacques Rousseau z bronzu i woła na człowieka z tamtego brzegu: spójrz, co robi z ciebie tak zwana cywilizacya! Zerwij z nią, bo czeka cię upodlenie i zagłada; wróć do natury, którą opuściłeś, jak syn marnotrawny.

Człowiek na tamtym brzegu był głuchy: nie słyszał głosu myśli, nie słyszał głosu natury. Szedł po drodze wydeptanej, klnąc, że życie jest marne, że świat jest podły.

Ze spokojnych domów wychodziły dzieci i młodzież z książkami, podążając do nauki: rumiani, rośli, weseli w skromnem, czystem odzieniu byli zupełnem przeciwieństwem w porównaniu ze zbiedzonymi, niedokrwistymi, wycieńczonymi wychowawcami naszych szkół. Im bliżej wszechnicy, tem większy panował ruch na ulicach: szły całe grupy młodzieży, rozmawiając, gestykulując. Spotykam kobiety pojedynczo, parami i po kilka; od jednego spojrzenia poznaję w niektórych studentki, kilka mówi po rosyjsku gardłowym, krzykliwym głosem, który sam przez się wystarcza, by poznać w nich żydówki. Jestem w środku życia umysłowego Genewy. Wchodzę do gmachu wszechnicy, gdzie roi się od młodzieży obojej płci. Dochodzą mnie rozmowy w różnych językach; najgłośniej rozbrzmiewa głos żydów rosyjskich.

Po chwili znalazłem moją znajomą w pracowni przy retortach. Ledwo ją poznałem: zeszcupiała, zmizerniała, poczerniała i drobne zmarszczki wkradły się na czoło, a oczy błyszczały fosforycznie.

— A pan co tu robi? — przywitała mnie zdziwiona.

— Przyjechałem panią odwiedzić — odrzeknę i oglądam się po za siebie, bo zdaje mi się, że ktoś stoi za mną i mówi po polsku jakimś dziwnie miękkim głosem. — Niema nikogo. Jesteśmy we dwoje w małej pracowni o nagich ścianach, stole z przyrządami i klapie wentylacyjnej.

— Pan jedzie z Warszawy? — pytała mnie znajoma.

— Nie, pani, wracam z kilkomiesięcznej podróży i... i... Wie pani, że już strasznie dawno nie mówiłem po polsku, nie słyszałem dźwięku tej mowy... Raz tylko niedawno w Algierze spotkałem młodą parę polaków, lecz nie śmiałem przerywać im chwil szczęścia. Dziś zdaje mi się, że to nie ja mówię, że ktoś stoi za mną...

— Rozumiem pana — rzekła — jestem już parę lat na obczyźnie, i mam wielką pociechę w tęsknocie do kraju w tem, że jest tu dużo polaków.

— Wie pani — ciągnąłem dalej, — że wprost boję się mówić, jak gdyby zmienił mi się język, wymawiam jakoś nie po swojemu, brak mi wyrazów do oddania myśli. Jak zdrowiejący po ciężkiej chorobie chwieję się nieufny w swe siły, i nie mogę nacieszyć się, że stanąłem wreszcie na nogi.

— Na długo pan przyjechał? — pytała moja znajoma.

— Dziś nocnym pociągiem jadę wprost do Warszawy — odrzekłem. — Czy może pani poświęcić mi parę godzin na pogawędkę, może na jaki spacer?

Znajoma miała robotę obowiązkową. Sumiennosc, z jaką oddawała się pracy nie pozwoliła oderwać się od badań przed piątą po południu. Na tę godzinę wyznaczyła mi spotkanie.

Skorzysztalem z sześciu godzin, jakie mi pozostały, by przyjrzeć się temu spokojnemu miastu, oddanemu wyłącznie pracy, która nie wprowadza człowieka na kręte drogi uciech, pożądań i pobudzeń, lecz daje mu prawdziwe, rozumne zadowolenie.

O piątej byłem w skromnym mieszkanku mej znajomej. Mała sionka prowadzi do paru pokoików, z których każdy ma inną mieszkanke studentkę, a gospodyni, obsługująca swych domowników, zajmuje zdaje się kuchenkę. Porządek czystosc i smak, w urzadzeniu tej siedziby nie pozostawiały wątpliwosci, że jestem w mieszkaniu panieńskim; to połączenie dziewiczości z samodzielnością tak nie znane mi, a tak požądane w zyciu, oczarowało mnie odrazu.

— Czy nie krępują panią moje odwiedziny? — pytałem.

— A to dla czego? — śmiała się, — czy uważa mnie pan ciągle jeszcze za panienkę, która powinna spuszczać oczy, gdy zobaczy męzczyznę i trzymać się fałdów sukni maminej, pomna na losy owieczki, co oddaliła się od stada?

— Wie pani dobrze, że nawet w owych pięknych czasach, gdy tańczyliśmy na polanie i bawili się w kotka i myszkę, nie myślałem nic podobnego. Ale zawsze widzi pani...

— Och! — śmiała się; — pyszne jest to: „ale zawsze.“ Każdy kto nie ma jasnego poglądu na zycie studentki, zaczyna i kończy na tem klasycznym wyrażeniu.

— Jestem istotnie w podobnem położeniu,—odrzekłem.— Nie sama chęć zobaczenia pani, lecz i pragnienie poznania kobiety, dążącej do samodzielności, skłoniły mnie do przyjazdu do Genewy.

— No, to uprzedzam pana, że w ciągu jednego dnia pobytu nie stworzysz sobie żadnego poglądu, lub całkiem nieprawdziwy. Przyjeżdżali tu pisarze, badacze i po dłuższym pobycie przychodzili do przekonania, że nie poznali życia studentek.

— Nie chodzi mi bynajmniej o studyum w tej sprawie,—odrzekłem;—chciałbym tylko zobaczyć, jak wyglądają osoby, które rwały się do samodzielności i równouprawnienia w miejscu rodzinnem, bo widuję je albo przed studjami, albo po ich ukończeniu, a nigdy w czasie ich trwania.

-- Nie można powiedzieć o nich nic ogólnego,—twierdziła współbiesiadniczka.

— Nazwie mnie pani zarozumialcem,—przerwałem,—lecz stworzyłem sobie na zasadzie spostrzeżeń na ulicy i w jadłodajni jedną grupę studentek. Są to osoby, które na każdym kroku chcą przekonać świat, że mają jednakie prawa z mężczyznami; więc naśladują ich ślepo we wszystkim, nie wyłączając zdrożności, nałogów i t. d. Trudno mi powiedzieć, czy dużo jest takich emancypantek dla zasady; to jednak nie ulega wątpliwości, że one przedewszystkiem rzucają się w oczy i może psują opinię studentkom wogóle.

— Są rzeczywiście i takie,—mówiła moja znajoma,—lecz na szczęście są niezbyt liczne. Kółka i grupy koleżeńskie tworzą się przedewszystkiem zależnie od narodowości i pochodzenia; potem wchodzi w grę przekonania, społeczne programy, rodzaj studyów i t. d. Wszystko to rozbija młodzież na dużą ilość kółek, z których każde ma cechy swoiste.

— Nie wątpię, że niemożliwą jest jednolitość, już choćby ze względu na to, że zbiera się tu młodzież z całego świata,—odrzekłem,—lecz jest jeden punkt styczności tych różnorodnych żywiołów: pragnienia kobiety wyłamania się zpod przewagi męczyzny. Otóż zajmuje mnie pytanie, jak przejawia się u różnych grup to wspólne hasło.

— Bardzo rozmaicie,—tłómaczyła współbiedniczka; —jedne wprost upajają się tem, że są studentkami, że wyrwały się z banalnego bytowania,—i to im wystarcza; inne rwą się coprędzej do działalności samoistnej, inne do zarobkowania, niektóre marzą o połączeniu praw nabytych z oddziedziczonemi, czyli, krótko mówiąc, o zamążpójściu podczas studyów, lub po ich ukończeniu i t. d. i t. d. Zależnie od tych programów układa się i życie studentek.

Słońce zbliżało się do zachodu, gdy wyszliśmy na przechadzkę rozprawiając ciągle o życiu kobiet, walczących o prawa. Białość śniegu otulała wielkie przestrzenie wybrzeży Lemanu płaszczem niewinności; ukośne promienie słońca zaróżowiły rumieńcem zdrowia pasma gór, z których wynurza się olbrzym Mont-Blanc. Szliśmy po brzegu jeziora, które lustrem swej powierzchni dostroiło się do ogólnej ciszy przyrody.

— Co za cisza, co za spokój,—mówiła moja towarzyszka; jak to usposabia do myślenia, do pracy.

— Pani nie tęskni do gwaru dawniejszego? — pytałem, — czy ta cisza i praca wystarczają ci zupełnie? Czy nie przychodzą na Ciebie chwile wahania z pytaniem: „cóż]dalej?“ i chwile zwątpienia z okrzykiem: „po cóż było!“

— Bywało tak w początku,—odrzekła,—lecz ta słabość ducha przeminęła bezpowrotnie. Mam wyraźny cel przed oczami i ten nie pozwala mi wahać się i wątpić. Za pół roku kończę studia, a potem...

— Cóż potem?—podchwyciłem.

— To jeszcze nie wiadomo,—mówiła,—może zostanę w Genewie przy uniwersytecie, jako asystentka, może postaram się o jakie miejsce, bo, widzi pan, trzeba zacząć wreszcie pracować na siebie, ma się już 25 lat...

— A gdzie pani zamierza szukać zajęcia?—pytałem,—w kraju czy zagranicą?

— Gdzie uda się znaleźć,—odrzekła.—Wolałabym w kraju, bo tęsknię do niego; lecz u nas kobieta pracująca samodzielnie, jest jeszcze taką nadzwyczajnością, że musi umrzeć z głodu. Więc prawdopodobnie będę musiała zostać zagranicą.

— I cóż dalej? — badałem, — jakie plany działania zakreśla sobie pani?

— Prócz obowiązków, jakie będę pełniła dla chleba, — odrzekła, — zamierzam stworzyć sobie małą pracownię dla swej przyjemności. Ot i koniec.

— Nic więcej? — wyrwało mi się takim głosem, że aż sam oniemiałem.

— Nie! — powiedziała z całym spokojem. — Praca wystarcza mi zupełnie, daje siły i zadowolenie, pozwala być użytecznym członkiem społeczeństwa, czuć się na prawdę człowiekiem. Czy można wymagać czegoś więcej od życia? Inne kobiety muszą poprzestać na okrucuchach rzucanych z łaski; ja siedzę za stołem uczy...

— Prawda, prawda! — mówiłem; — ale samotność...

— Samotność? — przerwała; — nie czuję się samotną dotąd, bo nie ma czasu na rozmyślenia setymentalne; w przyszłości będzie go jeszcze mniej, bo zapal do pracy wzrasta. Zresztą mam liczną rodzinę, mogę przygarnąć kogo biedniejszego od siebie. Wreszcie czyż nie lepsza samotność sam na sam z sobą, niż samotność pośród ludzi?

— Ma pani słuszność zupełną, — odrzekłem.

— I wsłuchując się w ciszę, pobiegłem myślą w przeszłość. Znałem od dziecka moją towarzyszkę. Zawsze była poważna, myśląca; wiedziała oddawna, że kobieta jest służebnicą mężczyzny, chociaż pozornie otacza ją czciami. Zrozumiała prędko, że ustrój społeczny, zwyczaje odwieczne nie pozwolą kobiecie dźwignąć się z tego pośledniego stanowiska; dla tego już w latach młodocianych zapragnęła wyzwolić się sama. Kilka lat zarobkowania i oszczędności pozwoliły przeprowadzić ten projekt wbrew życzeniu rodziców, którzy widzieli jedyny cel szczęście kobiety w małżeństwie. Dziś jest u celu: kosztem wysiłków energii zyskała część praw, które mężczyzna przynosi na świat przez samo urodzenie.

Późnym wieczorem wróciliśmy do domu, gdzie znajoma podejmowała mnie wspaniałą wieczerzą, jak na kieszeń studencką. Rozmowa nie milkła ani na chwilę i przekonywała mnie coraz bardziej, że kobie-

ta rozumna i energiczna może rozwiązać zagadnienie, nad którym wieki łamią sobie głowy bezowocnie.

Koło północy wyjechałem z Genewy. W półsennych marzeniach zjawiały mi się naprzemian zakwefione twarze arabek, upojone poklaskiem tancerki kawiarni, modlące się w kościele murzynki, kobiety z różnych stanów ze społeczeństwa europejskiego i rozmaite postacie studentek. Jedna z nich, w której dziewiczość zespoliła się z samodzielnością, mówiła do mnie:—niech kobieta dba przede wszystkim o to, by stać się człowiekiem, a świat uszanuje ją na każdym stanowisku, w każdym położeniu.

— Jak to trudno stać się człowiekiem nawet mężczyźnie, a cóż dopiero niedoświadczonej kobiecie!—biadałem.

— Niech ci, co są już ludźmi zespolą się,—odrzekła,—niech wspomogą bolejących a bezbronnych, niech zdejmą zasłonę z oczu zakwefionych.

Pociąg huczał głosem jednostajnym, towarzysze podróży chrapali na ławkach, noc błyszczała białością śniegu i blaskiem księżyca.

— Afryko, Afryko! — myślałem, — Europa wyprzedziła cię istotnie w dziele uspołecznienia. Czy jest na całym twym obszarze choćby jedna postać dziewicza o męskiej energii, wytrwałości i rozumie?

Nad ranem mijałem Zurich, koło południa przepłynąłem przez jezioro Konstancyjskie, pod wieczór byłem w Manachium, a nad ranem w Wiedniu. Nic mnie już nie ciągnęło: ani wspaniałe widoki, którymi szczyli się droga, ani bogate miasta, dokąd dążą miljonowe tłumy, ani wszelkie wytwory umysłu ludzkiego. Pragnęłem tylko spokoju tam—u siebie, takiego spokoju i ciszy, jakie roztaczały się na brzegach Lemanu w koło brązowej postaci myśliciela, który wołał na człowieka: wróć do natury.

Pociąg z Wiednia włókł się nielitościwie długo. Zaledwo po południu dotarliśmy na Szląsk. Coraz częściej słyszałem mowę polską i czeską. W Boguminie wzięła mnie ochota przesiąść się na pociąg do Cieszyna, by zobaczyć raz jeszcze stary gród Piastowski i przywitać czcigodnych działaczy Szląskich: Ks. Świeżego, Ks. Lordzina,

profesora Kukucza i innych, których nie widziałem już pół roku. Jednak czas naglił: więc jechałem dalej. Byłem na polskiej ziemi. Przez okno cieszył mnie śnieg na płaszczyźnie; Tatry pozostały w tyle. I nagle w półsennem znużeniu przesunęła mi się w pamięci postać chłopka, który przed dziesiątkiem lat wioził mnie na wózku do chorego.

— Służyłeś w wojsku na Kaukazie? — pytałem go, — jakże podobają ci się góry?

— Prześliczne! — mówił; — patrzysz i napatrzeć się nie możesz, a jak wejdiesz na nie, to widzisz, zda się bez końca, a ludzie w dolinie i dobytek wyglądają, jak maczki, a powietrze takie lekkie, że, zda się, pofruniesz lada chwila.

— To pewno przykro ci było wracać do płaszczyn ojczystych? — dodałem.

— Panie! — wołał mój woźnica; — gdym wrócił na granicę kraju, padłem na ziemię i całowałem ją z radości, że ją wreszcie ujrzałem. Cudze, jeśli piękne, można podziwiać; — kochać można tylko swoje...

I by pokryć łzę, która stanęła mu w oku, strzelił z bata i wołał: „wišta.“

W szarej sukmanie siedział przedemną myśliciel, którego nauczycielem była przyroda. Więc z przerażeniem spostrzegłem, że wykształcenie i uspołecznienie zabiło we mnie tak dalece myśl i czucie, że nie mogę już dorównać prostakowi.

— Wróć do przyrody!

I znowu ujrzałem na wysepce jeziora Lemanu postać z brązu, wołającą na człowieka na wybrzeżu...

Człowiek był głuchy. Szedł po krętej, wydeptanej drodze, klnąc, że życie jest marne, że świat jest podły...

Warszawa, w Lipcu 1901 r.

KONIEC.

K. 510/51



Spis rozdziałów.

	Strona.
Wstęp. Wyjazd z Palermo.—Postój w Traponi.	
Rozdział I. Przyjazd do Tunisu. — Ogłędziny arabskiej dzielnicy miasta.—Sklepy wyrobów wschodnich.—Sąd duchowny.—Sąd cywilny.—Pałac beja	11
Rozdział II. Dzielnica żydowska. — Rynek arabski przed świętami. — Golarze wędrowni.—Kuglarze.—Taniec z węzami.—Obłåkana.	22
Rozdział III. Święto Ramadana. — Uroczystość w „muzeum“. — „Taniec brzuchów“	29
Rozdział IV. Europejska dzielnica Tunisu.—Kościół katolicki.—Teatr	37
Rozdział V. Wycieczka do Bardo i Belwederu	41
Rozdział VI. Wycieczka do Kartaginy	48
Rozdział VII. Droga do Konstantyny	61
Rozdział VIII. Konstantyna. — Europejska dzielnica. — Kościół.— Parów i rzeka podziemna Rumel.—Droga turystów.—Most nad parowem	65
Rozdział IX. Meczet. — Ogród. — Proklamacye z powodu wyborów do Rady miejskiej. — Ludność europejska Konstantyny.— Strzelanie z armaty na początek świąt arabskich	74
Rozdział X. Wyjazd z Konstantyny.—Droga do Algieru	80
Rozdział XI. Europejska dzielnica Algieru.—Arabska dzielnica Algieru.—Park Isly.—Uniwersytet.—Ogród botaniczny.—Teatr. „Casino Musical“	84
Rozdział XII. Wycieczka do bazyliki „notre Dame d’Afrique.—Wycieczka do lasku Bulońskiego. — Muzeum archeologiczne. — Rozmowa z dozorcą muzeum	92
Rozdział XIII. Ogród doświadczalny Hamma.—Muzeum Eskimosów	101
Rozdział XIV. Uroczystość arabska na placu Hussein-dey. — Pochód, gonitwa, strzelanina. — Spotkanie z parą polską. — Powrót z uroczystości. — Tęsknota do kraju.—Pożegnanie z Afryką	111
Zakończenie. Przejazd do okrętu. — Przygody podczas burzy morskiej.—Przyjazd do Marsylii i pobyt w niej.—Droga do Genewy.—Rozmowa z przedstawicielką europejskiej emancypacyi.—Afrykańskie i europejskie społecznienie	122

Spis rozdziałów.

	Strona.
Wstęp. Wyjazd z Palermo.—Postój w Traponi.	
Rozdział I. Przyjazd do Tunisu.—Oględziny arabskiej dzielnicy miasta.—Sklepy wyrobów wschodnich.—Sąd duchowny.—Sąd cywilny.—Pałac beja	11
Rozdział II. Dzielnica żydowska.—Rynek arabski przed świętami.—Golarze wędrowni.—Kuglarze.—Taniec z węzami.—Obłąkana.	22
Rozdział III. Święto Ramadana.—Uroczystość w „muzeum“.—„Taniec brzuchów“	29
Rozdział IV. Europejska dzielnica Tunisu.—Kościół katolicki.—Teatr	37
Rozdział V. Wycieczka do Bardo i Belwederu	41
Rozdział VI. Wycieczka do Kartaginy	48
Rozdział VII. Droga do Konstantyny	61
Rozdział VIII. Konstantyna.—Europejska dzielnica.—Kościół.—Parów i rzeka podziemna Rumel.—Droga turystów.—Most nad parowem	65
Rozdział IX. Meczet.—Ogród.—Proklamacye z powodu wyborów do Rady miejskiej.—Ludność europejska Konstantyny.—Strzelanie z armaty na początek świąt arabskich	74
Rozdział X. Wyjazd z Konstantyny.—Droga do Algieru	80
Rozdział XI. Europejska dzielnica Algieru.—Arabska dzielnica Algieru.—Park Isly.—Uniwersytet.—Ogród botaniczny.—Teatr. „Casino Musical“	84
Rozdział XII. Wycieczka do bazyliki „notre Dame d’Afrique“.—Wycieczka do lasu Bulońskiego.—Muzeum archeologiczne.—Rozmowa z dozorcą muzeum	92
Rozdział XIII. Ogród doświadczalny Hamma.—Muzeum Eskimosów	101
Rozdział XIV. Uroczystość arabska na placu Hussein-dey.—Pochód, gonitwa, strzelanina.—Spotkanie z parą polską.—Powrót z uroczystości.—Tęsknota do kraju.—Pożegnanie z Afryką	111
Zakończenie. Przejazd do okrętu.—Przygody podczas burzy morskiej.—Przyjazd do Marsylii i pobyt w niej.—Droga do Genewy.—Rozmowa z przedstawicielką europejskiej emancypacji.—Afrykańskie i europejskie społecznienie	122



BIBLIOTEKA
W TORUNIU
UNIWERSYTECKA

